

JO CALLOWAY

**ROZTAŃCZONE
NIEBO**

**Przełożyła
Barbara Orłowska**



Wydawnictwo Mitel
Gdynia 1992

Rozdział I

Jill Danbury, z plaketką identyfikacyjną przypiętą do białego kombinezonu, zatrzymała się na chwilę, zanim otworzyła drzwi sali konferencyjnej. Dzisiaj naprawdę nie bała się, ale także nie cieszyła się na to, co miało nastąpić. Było to jednak nieuniknione a ona, jako doświadczona osoba, nauczyła się akceptować to, co było nieuniknione.

Nie przepadała za reporterami, ale zdobyła się na pogodny uśmiech do tych dziewięciu siedzących wokół stołu. Jej oczom ukazało się siedmiu mężczyzn i dwie kobiety. Rzuciła krótkie spojrzenie na rzecznika prasowego projektu - Paula Tiptona. Podniósł wzrok znad prospektu.

- Dzień dobry Jill - wskazał krzesło stojące przed nim - siadaj tutaj.

Chwilę później, siedząc naprzeciwko niego, Jill położyła ręce na kolana i ponownie spojrzała na reporterów siedzących wokół stołu. Naturalnie przyglądali się jej badawczo. Potarła koniuszek nosa, wdzięczna za to, że na konferencji prasowej nie było kamer telewizyjnych.

Paul zerknął na zegarek i zamknął prospekt.

- Czy możemy zacząć? - wyciągnął rękę z szeroko rozstawionymi palcami. - Trzydzieści minut - powiedział i zamilkł na chwilę. - Przypuszczam, że wszyscy macie pytania, więc może zaczniemy od Rona.

Ron Shelton z UPI uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Dr Danbury, myślę, że pierwsze pytanie będzie naturalnie o to, czy jest pani podekscytowana swoją przyszłą podróżą?

Uśmiechnęła się.

- Tak, nawet bardzo.

Ron rzucił okiem na swoje notatki, po czym znowu spojrzął na nią.

- Jak długo przygotowywała się pani do tego lotu?

- Formalne przygotowania trwały cztery lata - mogłaby wyjaśniać dalej. Mogłaby powiedzieć, że przygotowywała się przez całe swoje życie, od chwili, kiedy jako dziecko otworzyła oczy i zobaczyła pierwszą gwiazdę. Jednak nie chciała opisywać swojej miłości do wszechświata. Odpowiadała po prostu na pytania rzeczowo i zwięźle.

- Pani doktor - Iris Sappington z czasopisma „News in Review” przerwała Ronowi, zanim zdążył zadać następne pytanie - napisano tutaj, że ma pani dwadzieścia dziewięć lat. Czy nie jest to trochę za dużo jak na pierwszą kobietę astronautkę?

- Miałam dwadzieścia pięć lat, kiedy weszłam do grupy realizującej ten program.

- Ale teraz ma pani dwadzieścia dziewięć lat - oczy Iris zwężyły się.

- Wiek nie świadczy o zdolnościach. Jak pani prawdopodobnie wie, większość moich kolegów ma ponad trzydzieści lat, wielu z nich ma czterdziestkę.

Po tych słowach Iris oparła się o krzesło, a jej oczy zwężyły się jeszcze bardziej.

- To nasuwa mi na myśl następne pytanie, droga pani. Proszę nam powiedzieć, co skłania kobietę taką jak pani do wejścia w męski świat, zamiast pełnić tradycyjną kobiecą rolę? Wielu naszych czytelników jest poruszonych tym, że kobieta, jakakolwiek kobieta, woli latać w kosmos niż wyjść za mąż, mieć dzieci i robić karierę bardziej pasującą do jej płci.

Oczy Jill zamknęły się na chwilę a jej ręce złożone na kolanach zacisnęły się mocniej. Nie lubiła być nazywana drogą panią i szczerze nie znosiła takich pytań. Dziennikarze tacy jak Iris zawsze zajmowali się sprawami płci pisząc o jej karierze. Mając dyplom z meteorologii, Jill zdawała sobie

sprawę z tego, że mogłaby pracować podając prognozę pogody w TV, ale zdecydowała się wejść do programu badań kosmicznych. Z wyboru.

Odchrząknęła i otworzyła oczy. Spojrzała prosto na Iris i powiedziała:

- Nie uważam, żeby badania przestrzeni kosmicznej były światem mężczyzn, tak jak nie wydaje mi się, żeby przestrzeń należała wyłącznie do mężczyzn. Gdybym nie była przekonana o tym, że mogę wnieść coś do programu badania przestrzeni, zapewniam panią, że nigdy bym się nie ubiegała o miejsce w nim. Wierzę jednak, że mam do tego kwalifikacje. Mam teraz potrzebne doświadczenie i jestem przygotowana zarówno psychicznie jak i fizycznie do przyszłego lotu.

Zanim Iris zdążyła odpowiedzieć, wtrąciła się inna dziennikarka - Pearl Goodson.

- Dr Danbury, czy pani wierzy w miłość i małżeństwo?

Jill spojrzała szybko na Paula i, nie znajdując u niego pomocy, zwróciła się do Pearl Goodson.

- Oczywiście - starała się, aby jej słowa nie brzmiały zbyt lodowato - jak najbardziej wierzę w miłość i małżeństwo. Sama jestem produktem miłości i małżeństwa jak, mam nadzieję, większość z was tutaj - ostatnie słowa dodała po namyśle, ponieważ była pewna, że zanim te pół godziny przeznaczone na konferencję dobiegnie końca, znajdzie tutaj paru bękartów. Jeździli za nią. Dlaczego? Dlatego, że robiła w swoim życiu coś takiego, czego nikt z nich nie akceptował? Dlatego, że miała lecieć w przestrzeń za trzy tygodnie, a kobieta nie powinna latać w kosmos? Może gdyby postanowiła chodzić boso, byłoby to łatwiejsze do przyjęcia dla tych, którzy byli przeciwni jej przyszłej podróży. Mogą chodzić za nią, ale nie dopadną jej. Poczowała, że odzyskuje panowanie nad sobą i uśmiechnęła się znowu.

Michael Graves, lokalny dziennikarz, jako następny uderzył w czułe miejsce.

- Słyszałem, że pani i pani dowódca mieliście pewne problemy podczas przygotowań. Czy jest coś w tych pogłos-

kach? Doniesiono, że jego życie rodzinne cierpi z powodu tego, iż został wybrany, aby towarzyszyć pierwszej amerykańskiej kobiecie w locie w przestrzeń kosmiczną. Czy jest w tym jakaś prawda?

- Oczywiście, że nie. Kapitan Meadows i ja nie mieliśmy żadnych problemów.

Michael roześmiał się.

- Czytałem w zeszłym tygodniu w jednym z mniej renomowanych tygodników, że jego żona bardzo niepokoi się faktem, iż wy dwoje spędzicie razem czternaście dni okrążając ziemię. Czy jest jakaś prawda w tej pogłosce? Przytoczono jej słowa: „Nie jestem zadowolona z tego, że Gerald został wybrany, aby towarzyszyć dr Jill Danbury w locie w kosmos”.

Paul Tipton odchrząknął głośno i wtrącił się.

- Najwidoczniej nie zostaliście poinformowani o ostatnich zmianach związanych z lotem „Wenus I” - odchrząknął znowu. - Kapitan Meadows nabawił się lekkich szmerów w sercu i odwołano go ze stanowiska dowódcy „Wenus I”. Pułkownik Jake Whitney z Sił Powietrznych, zastępca dowódcy „Wenus” przyleci tutaj z Houston jeszcze dzisiaj. Jest to nieformalna zmiana w zaawansowanych przygotowaniach, ale o wiele lepiej jest zmienić załogę, kiedy zaszła potrzeba, niż odwołać lot tak ważny jak ten.

Wokół stołu zaległa zupełna cisza. Nawet Jill zareagowała na tę nieoczekiwaną wiadomość i jej, zwykle rumiane policzki nagle pobladły. Patrzyła z niedowierzaniem na Paula Tiptona. Niedorzeczne wydawało się to, że dowiedziała się o tej nagłej zmianie w planie lotu przy konferencyjnym stole w pokoju pełnym natarczywych dziennikarzy. Czy był to kolejny sprawdzian jej wewnętrznego opanowania? Czy Paul Tipton chce zobaczyć, jak wybrnie z tej niejasnej sytuacji przy tylu świadkach? Mogłes mnie ostrzec, pomyślała kipiąc z cichej złości. Czy to kiedyś się skończy, te emocjonalnie wykańczające gry, w które z nią grali? Zaciśnęła mocno usta i wpatrzyła się w przestrzeń tuż przed

oczami, próbując odzyskać kontrolę nad sobą. Nie myśl o tym, powtarzała sobie wciąż i wciąż od nowa. Nie myśl o tym. Poczula, że mięśnie jej twarzy zaczynają się lekko rozluźniać. Myśl o tym, co ponad tobą i na zewnątrz, o niczym innym.

Michael Craves przerwał jej rozmyślania pytaniem:

- Czy jest to dla pani szokiem, dr Danbury? Ta zmiana dowódców - dodał wyjaśniająco, kiedy uniosła pytająco brwi.

Szybko potrząsnęła głową.

- Nie.

Jedno krótkie słowo. Nie jest tym zdziwiona. Rozwścieczona - tak. Poleciałaby raczej z samym starym Bluebeardem niż z kierującym programem kosmicznym Casanovą - pułkownikiem Jake'm Whitney'em. Przypominała sobie napis na kabinie Jake'a w centrum treningowym w NASA. „Romeo umarł, niech żyje Jake Whitney”. Potem pomyślała o słowach namalowanych na jej własnej kabinie przez męsko-damską załogę z programu badania przestrzeni - „Dziewica Wenus”. Brała wtedy zmywacz do farb i zmywała te słowa dwukrotnie, za każdym razem gdy się ukazywały, ale kiedy pojawiły się trzeci raz, zostawiła je. Nie było sensu walczyć z anonimowymi artystami. Wszystkie kabiny miały na sobie napisy określające ich właścicieli.

Pearl Goodson znowu zadała pytanie.

- Jest pani porównywana do Amelii Earhart, jako kobiety mającej zamiłowanie do przygód. Czy to pani pochlebia?

Jill potarła czubkiem palca grzbiet nosa.

- Podziwiam Amelię Earhart, pani Goodson. Potrafię zrozumieć jej pragnienie latania - chciała powiedzieć coś więcej, ale nagle zmieniła zdanie i zamilkła.

Pearl ciągnęła dalej.

- Ona nie wróciła, wie pani o tym.

Jill uśmiechnęła się blado do dziennikarki.

- Tak, wiem - odpowiedziała poważnie.

Dwadzieścia minut później Jill spotkała się z Tiptonem w jego biurze. Byli sami.

- To było podstępne, Paul - powiedziała - podłe i wstrętne.

Lekko skinął głową.

- Przepraszam, Jill, to nie moja wina. Znałaś rozkazy, które wydałem. Ostrzegłbym cię, gdyby to zależało ode mnie.

Jill zrzuciła już z siebie kombinezon i była teraz ubrana w dżinsy i sweter z rękawami podciągniętymi do łokci. Naciągnęła z powrotem rękawy.

- Czy to prawda? Czy Gerald Meadows nagle dostał jakichś szmerów w sercu?

Paul odchylił się do tyłu na krześle i badawczo patrzył na nią. Nie odpowiedział od razu, a kiedy to zrobił, jego odpowiedź brzmiała jak pytanie.

- A jak myślisz?

Wzruszyła ramionami.

- Przypuszczam, że to możliwe, ale - mlasnęła językiem - mało prawdopodobne. Według mnie wygląda to bardziej na syndrom zazdrosnej żony niż szmery w sercu.

Paul uśmiechnął się rozbijająco.

- A więc przynajmniej teraz nie będziesz musiała borykać się z trudnościami, jakie wynikają z przebywania sam na sam z mężem innej kobiety gdzieś setki mil stąd - zamrugał oczami. - O Jake'u można powiedzieć różne rzeczy, ale nie to, że jest żonaty.

To stwierdzenie miało ją uspokoić, ale niestety nie zrobiło tego. Jake Whitney miał trzydzieści parę lat, był wysokim brunetem z szerokimi ramionami i szaroniebieskimi oczami, które miały zwyczaj patrzeć na ludzi jak na przedmioty. Przeszła kilka etapów treningu razem z nim i znała go wystarczająco dobrze, aby móc zobaczyć wszystkie jego cechy z odrobiną obiektywizmu. Był nie tylko atrakcyjny, ale także czarujący i inteligentny. Rok temu przyjęła jego zaproszenie na obiad i wciąż nie mogła

uwierzyć w to, jak potoczyło się to spotkanie. Myśląc o tym, potrząsnęła głową. Z łatwością przypominała sobie każdy szczegół.

Po wyjściu z centrum, Jake zawiózł ją do jej mieszkania, aby mogła się przebrać. Stamtąd pojechali do jego domu na północnych peryferiach Houston. Przygotowywał obiad, kiedy ona rozkoszowała się gorącą kąpielą na tyłach domu. Pamiętała pyszne jedzenie, szpinakową zupę, stek teriyaki, faszerowane jajka, sałatkę z ogórków i brzoskwińowe ciasto na deser. Wino pili przed obiadem, w trakcie i po. Po posiłku grali w trik-traka, potem pływali przez godzinę lub dłużej. A potem zrobiła to, czym kończyły się wszystkie jego randki - poszła z nim do łóżka. Wtedy wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Jednak gdy nadszedł ranek, była strasznie wściekła na siebie. I jest do tej pory. Jake Whitney był jedynym mężczyzną, który wiedział, że Dziewica Wenus nie istnieje. Wiedział lepiej niż ktokolwiek inny.

- Jill - powiedział Paul - nie jesteś naprawdę niezadowolona z tej zmiany, prawda? Pamiętasz, że na początku Jake miał być dowódcą, zanim jeszcze wspomniano o Geraldzie. Przypominasz sobie tę wielką aferę w centrum, kiedy to wszystko wyszło na jaw?

Jill skinęła głową. Oczywiście, że pamiętała to. Okazało się, że Gerald miał wejść na miejsce Jake'a już po ogłoszeniu składu załogi „Wenus I”. Przez jakiś czas rozpuszczano plotkę, że Jake opuści program, ale szybko wszystko ucichło i pozostał, biorąc w nim aktywny udział. Nie zniechęcał się łatwo. Mimo wszystko musiała mu to przyznać. Wtedy wspomniano o niej, ponieważ minęły czasy, w których organizatorzy nie brali pod uwagę udziału kobiet w lotach. Jill była przekonana w głębi swojego serca i umysłu, że nadaje się jak każdy inny mężczyzna do tego, żeby polecieć w wahadłowcu „Wenus”. Nie marzyła tylko nigdy o tym, żeby polecieć z Jakem Whitneyem jako dowódcą. Sama w jakiś sposób była odpowiedzialna za tę zmianę. Najwidoczniej myśli o tym, że Gerald Meadows będzie okrażał

Ziemię przez czternaście dni z inną kobietą było czymś, czego Marsha Meadows nie mogła znieść. Całkiem oczywiste było to, że żona nie akceptuje pozaziemskich romansów! Jill zaśmiała się sama do siebie Gdyby tylko Marsha wiedziała, jak trudny byłby taki romans.

- Czy będziesz w stanie przywitać pułkownika, kiedy przyjedzie, Jill? - spytał Paul. - Życzyliby sobie tego ludzie na górze.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Dlaczego? Co to za różnica kto go przywita?

Paul wzruszył ramionami.

- No wiesz, żeby pokazać publiczności wizerunek zgranej ekipy.

Jill popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

- Paul, czego mi jeszcze nie powiedziałaś?

Zaczerwienił się i wstał z krzesła. Odchrząknął.

- Hmm... posłuchaj, Jill.

- Co chcesz mi powiedzieć? - była już zmęczona jego grą.

- Nie wiem tylko, jak to taktownie wyrazić.

- Nie martw się o takt. Po dzisiejszej porannej konferencji nie sądzę, żeby ktokolwiek przejmował się taktem.

Zbliżył się do niej powoli.

- Fakt, że spędziłaś noc w domu Jake'a nie jest zupełnie nieznanym wśród wyższych stopniem oficerów. Oni są świadomi możliwości, że między wami może zaistnieć coś więcej niż tylko służbowy związek - znowu wzruszył ramionami.

Jill czując, że jej policzki spala rumieniec, utkwiała w Paulu chłodne spojrzenie.

- Mój Boże - westchnęła - wiem, że obserwujecie każdą chwilę naszego treningu, ale czy to nie posunęło się trochę za daleko... żeby śledzić nas, kiedy wychodzimy z centrum? - podniosła głos - i rozgłaszać o tym! Jesteś rzecznikiem prasowym, Paul. Jaki masz w tym interes, żeby wiedzieć co robię, kiedy wychodzę na zewnątrz? Jaki możesz mieć w tym interes?

Rozłożył bezradnie ręce.

- Dostałem to w odprawie dziś rano, Jill, kiedy zmiana już została ogłoszona. Wiesz jak oni ukrywają każdy szczegół, żeby nie przedostało się coś do prasy. Cała misja mogłaby się nie udać. Wiesz, że Jake jest tylko zastępcą. Gdyby ludzie pomyśleli, że wy dwoje... to przysporzyłoby tak dużo nieprzychylnych opinii z pewnych środowisk, misja nie ocalałaby - rozłożył ręce w zakłopotaniu.

Oczy Jill błyszczały jak błękitne diamenty.

- Będę gotowa na przywitanie pułkownika Whitneya, kiedy przyjedzie, Paul, tak jak na wszystko inne. Nie mam więcej żadnych uwag - odwróciła się nagle i wyszła z jego biura.

Zaraz jak tylko znalazła się na zewnątrz budynku, chciała odrzucić głowę do tyłu i krzyczeć tak głośno, jak tylko dałaby radę, ale nie zrobiła tego. Z pewnością ktoś by ją zobaczył, gdyby to zrobiła.

Rozdział II

Jill zanurzyła się w wannie pełnej gorącej wody z pianą i wszystkie napięte mięśnie jej ciała natychmiast rozluźniły się i uspokoiły. Leżała bez ruchu w wodzie, zanurzona po szyję w pachnącej pianie. W zaciszu luksusowej łazienki w prezydenckich apartamentach hotelu Cape Hilton mogła zagłębić się w sobie i szczerze odpowiedzieć na gnębiące ją pytania.

Dzisiejsza noc była ostatnią nocą jej, i tak już ograniczonej, wolności. Jutro miała przenieść się do bazy Sił Powietrznych a stamtąd do wahadłowca „Wenus I”. Dokładnie za siedem dni od tej chwili będzie już okrążać Ziemię.

Nabrała pełną rękę piany i zdmuchnęła ją daleko od siebie. Te ostatnie parę dni nie były całkowicie pozbawione przyjemności i miłego podekscytowania. Mieszkała w najlepszym hotelu, w najlepszym apartamencie najlepszego hotelu. Jadła najlepsze jedzenie z najlepszych restauracji. Miała bez wątpliwości wszystko, co najlepsze. Jednak jeśli wszystko było tak cholernie dobre, to skąd wziął się nagle ten ucisk w dole żołądka? Odpowiedź była tak prosta a jednocześnie tak skomplikowana - Jake Whitney. Już samo wspomnienie jego imienia wzbudzało u niej chęć do płaczu. Przez cały rok unikała go jak ognia. Nawet podczas różnych etapów treningu, w których zastępcy brali udział i podczas tych przygotowań, kiedy oboje trenowali razem, skutecznie udawało jej się trzymać go dosłownie na odległość wyciągniętej ręki od siebie. I pomyśleć, że przez czternaście dni będą uwięzieni razem jak dwie statuy z brązu. Nierozłączni. Otrząsnęła się. Nie mogła o tym myśleć.

Była silna i wytrzymała. To oczywiste, że sprawdzano jej zdolności i zaradność. Najtrudniejsze dni były już jednak za nią. Jak potoczy się kolejnych dwadzieścia jeden dni jej życia? Siedem dni przed lotem i czternaście dni samego lotu. Była przeznaczona do tego, aby odnieść wielki sukces lub wielką porażkę - obie te rzeczy uważała za coś wielkiego. Nagle zabolą ją gardło. Czasu zostało niewiele i zastanawiała się, kiedy zacznie się bać. Zamknęła mocno oczy i przez chwilę nie słyszała dzwoniącego telefonu. Gdy oprzytomniała, szybko wyskoczyła z wody i chwyciła ręcznik. Pobiegła do pokoju i podniosła słuchawkę.

- Cześć, kochanie - powiedział głęboki, miękki głos - matka i ja martwiliśmy się, że cię nie zastaniemy.

Zdobyła się na blady uśmiech.

- Cześć, tato, jak leci?

- Wszystko w porządku. A co u ciebie?

- Też dobrze. Wszystko idzie zgodnie z planem.

- Oglądaliśmy wiadomości. Powiedzieli dziś po południu, że zmieniono dowódców. Czy ten nowy facet zna się na rzeczy?

- Tak - odpowiedziała Jill, okręcając ręcznik wokół siebie i umocowując go tak, żeby nie musiała go przytrzymywać ręką. Usiadła - jest tak dobry jak Gerald Meadows. Niektórzy nawet mówią, że lepszy.

- Matka i ja nie chcemy, żebyś leciała z jakimś nieoduczonym pilotem. Może zadzwonię i sprawdzę to.

- Och, nie martwcie się - zaprotestowała łagodnie.

- Pułkownik Whitney jest dobrym specjalistą.

Zaległa między nimi przedłużająca się cisza. Głos Jill był spokojny i mocny, kiedy odezwała się znowu.

- Powiedz mi, tato, czy jest jeszcze jakiś inny powód tego, że dzwonisz.

Zaczął z wahaniem.

- No więc, kochanie, wiesz, że chcielibyśmy być na miejscu, kiedy będziesz wylatywać, ale po prostu nie jesteśmy pewni, czy nasze serca będą w stanie wytrzymać to napięcie.

Ja... ja nie jestem nawet pewien, czy będziemy mogli oglądać start w telewizji. Dzisiaj po wiadomościach twoja matka musiała wziąć tabletki na ciśnienie. Nie chcę, żebyś myślała, że się skarżymy, ale to napięcie jest okropne.

Jill poczuła, że się dusi. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Czy możesz chwilę poczekać, tato, ktoś puka do drzwi - odłożyła słuchawkę na stół i pobiegła do drzwi, uświadamiając sobie, że jedynym jej okryciem jest ręcznik. Weszła szybko do sypialni i narzuciła na siebie długą, aksamitną sukienkę.

- Kto tam? - spytała, sięgając za klamkę.

- To ja, Paul - usłyszała odpowiedź.

Szybko otworzyła drzwi i wpuściła go do środka.

- Rozmawiam przez telefon, Paul, przepraszam na chwilę - wskazała na krzesło, podnosząc znowu słuchawkę. Zaczęła nieco bez związku.

- Tato, niech żadne z was się nie martwi. Ja to rozumiem - rzuciła spojrzenie na Paula, który wskazywał palcem na zegarek. Kiwnęła głową i ciągnęła dalej. - Może byście wyjechali z Denver na jakiś czas? Jedźcie do Wyoming odwiedzić ciotkę Lilię i wujka Richarda. Przecież macie wakacje. Bud może zająć się farmą, ma teraz przerwę semestralną.

- Kochanie, ty musisz mieć jakieś zdolności telepatyczne. Mówiliśmy właśnie o wyjeździe przy kolacji wczoraj wieczorem. Myślę, że tak właśnie zrobimy, zwłaszcza teraz, kiedy sama to zaproponowałaś.

Jill uśmiechnęła się. Nie było potrzeby mówić im, że rozmawiała z Budem dziś rano. Jej brat, podobnie jak rodzice, chciał oglądać start, ale bał się, że nie wytrzyma napięcia emocjonalnego.

Paul wciąż uparcie wskazywał na zegarek.

- Musimy już iść - powiedział cicho.

Jill znowu skinęła głową.

- Wiesz co, zadzwonię do was jutro i powiecie mi, co postanowiliście. Jednak dobrze by było, żebyś wiedział, że

naprawdę nie chcę, aby któreś z was przyjeżdżało tutaj oglądać start. Będę się czuła o wiele lepiej, jeśli będę wiedziała, że odpoczywacie w Wyoming, dobrze?

- Dobrze, kochanie. Czy masz jeszcze chwilę czasu, żeby porozmawiać z mamą?

- Oczywiście, daj mi ją - wyciągnęła rękę, aby przerwać protesty Paula. **Porozmawiała** chwilę ze swoją matką, po czym z dziwnym uśmiechem na wargach odłożyła słuchawkę. Co za ulga, że nie przyjadą. Przez kilka dni wahała się, ale w końcu dotarło do niej, że naprawdę nie chce, aby byli obecni przy starcie. Poczowała nawet ulgę, że mogą nie oglądać tego w telewizji.

Paul przerwał jej rozmyślenia. Stał, ubrany bardzo elegancko w trzyczęściowy garnitur. Odchrząknął.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, że jesteśmy spóźnieni?

- Przepraszam, Paul. Daj mi jedną minutę. Nalej sobie drinka i usiądź - powiedziała i ruszyła w kierunku drzwi sypialni. Zatrzymała się przy nich. - O której godzinie przylatuje jego samolot?

- Za piętnaście minut.

- Przepraszam - wzięła głęboki oddech - ubiorę się tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

Zamknęła drzwi, ściągnęła z siebie suknię i rzuciła ją na podłogę. Wyciągnęła majtki i stanik z szuflady i założyła na siebie. Otworzyła drzwi szafy, wzięła pierwszą z brzegu spódnicę, sięgając jednocześnie po cienką bawełnianą bluzkę. Zapinając guziki, wkładała stopy w przypadkowo dobrane buty na niskim obcasie, nie zwracając sobie głowy wkładaniem pończoch. Idąc pośpiesznie w kierunku drzwi, rzuciła krótkie spojrzenie na swoją twarz.

Nie było czasu na makijaż. Miała złote włosy, szczupłą sylwetkę i wyglądała tak, jakby się ubierała w wielkim pośpiechu. Otwierając drzwi, powiedziała:

- Jestem gotowa.

Paul wstał i postawił swojego drinka na stole.

- Nie wierzę. Zajęło ci to pięć minut.

Wzięła torebkę, przewiesiła ją przez ramię i powiedziała z uśmiechem:

- Idziemy?

W czasie jazdy windą w dół znowu poczuła sprzeciw. Nie wiedziała, po co aż tylu ludzi miało przyjść na przywitanie Jake'a Whitneya. Przypuszczała, że jest to sposób na zadośćuczynienie mu tego, iż został wcześniej odrzucony. Jake łatwo się obrażał. Jak rozpuszczony, mały chłopiec. Jednak jeśli to mogło uspokoić jego uczucia i przyczynić się do dobra lotu, to Jill wiedziała, że będą starać się koić jego wzburzenie w każdy możliwy sposób. Bez względu na cokolwiek, nikt przecież nie chciał, żeby misja się nie powiodła.

- Czego właściwie oczekuje się ode mnie, Paul? - spytała, próbując nadać lekkość swoim słowom.

- Co masz na myśli, Jill? - zapytał w odpowiedzi, wychodząc za nią z windy.

Kiedy przechodzili pospiesznie przez hotelowy hol, aby wyjść na zewnątrz do samochodu, Jill poczuła, że nerwy ponoszą ją znowu.

- Wiesz, co mam na myśli - Jake'a.

Paul zatrzymał się przy drzwiach samochodu i dopiero po chwili otworzył je.

- Po prostu bądź naturalna.

Wślizgnęła się do środka i udała, że się uśmiecha.

- Oczywiście, dlaczego sama o tym nie pomyślałam? Mam być naturalna. Przy tych wszystkich kamerach i reporterach, którzy lekceważą mnie i całe nasze przedsięwzięcie - mam być po prostu naturalna. Co jeszcze?

Paul wzruszył nonszalancko ramionami.

Zapuścił silnik i odjechał sprzed hotelu.

- Posłuchaj, zrobisz sobie przysługę zapominając o tym, co zaszło między wami, cokolwiek to było. Wiem, że dzisiaj zdenerwowałaś się raz czy dwa, ale taka reakcja nie przyniesie nic dobrego, jakkolwiek byś na to nie spojrzała. Jake to epizod jednej nocy w twoim życiu. Przyjmij to takie, jakie jest. Nie zastanawiaj się nad tym i nie rób z tego czegoś więcej

niż jest. Zdajesz sobie sprawę z tego, że podchodzisz z urazą do przyszłych sesji, a naprawdę nie chciałbym cię widzieć czyszczącą kanał, Jill. Jednak to się może zdarzyć. Pamiętaj o tym, że ciebie też ktoś zastępuje. Nie chciałbym, żeby Gail Hayness zajęła twoje miejsce - odwrócił lekko głowę, popatrzył na nią poważnie, po czym znowu spojrzął na drogę - ale jeżeli nie poradzisz sobie z tą sytuacją, to znasz konsekwencje.

Poczuła, że lekko blednie. Spojrzała w boczne okno.

- Nikt nie zajmie mojego miejsca, Paul. Kiedy ten wahadłowiec wystartuje, ja będę w nim.

Uśmiechnął się.

- Oto moja dziewczyna. Oto Jill, jaką znam - odchrząknął. - Co słyhać u twoich rodziców? Nie podśluchiwałem, ale nie mogłem nic poradzić na to, że słyszałem część waszej rozmowy.

- Nie przyjadą.

- Czy to cię martwi?

- Nie. Wolałabym, żeby nie przyjeżdżali - nachyliła się nieco w jego stronę. - Wiesz, kiedy byłam dzieckiem, widziałam strzelaninę w telewizji. Nigdy tego nie zapomnę - jej oczy były szeroko otwarte. - Wiem, że wszyscy oczekują, że start odbędzie się bez zakłóceń. Jednak zawsze jest niewielkie ryzyko, że coś złego się stanie. Nie chciałabym, żeby moja rodzina oglądała to ani na żywo, ani w telewizji. Bud i ja próbujemy namówić naszych rodziców, aby pojechali na wakacje do Wyoming. Nie do uwierzenia, ale moi krewni nie mają tam telewizora.

Poczuła się trochę uspokojona, myśląc o odległej chacie w dziczy Wyoming. Uwielbiała tam jeździć, kiedy była dzieckiem. Wszystko tam było takie ładne, spokojne i piękne. Świat ten wydawał się jej prawie tak samo odległy jak ten, w którym miała znaleźć się za kilka dni.

Paul skręcił nagle w aleję prowadzącą do miejskiego lotniska. Jill przesunęła się na siedzeniu i nachyliła do przodu.

- Dlaczego on nie przylatuje wojskowym odrzutowcem?

Paul roześmiał się.

- Och, nie. „Transcontinental” sam zaproponował swoje usługi. Pułkownik ma zapewnione wszelkie wygody.

Wysiadając z samochodu, Jill poczuła suchość w ustach i napięcie w gardle. Zrobiła kilka sztywnych kroków i zatrzymała się, czekając na Paula.

- Czy to nie jest przesada - spytała, a jej głos stał się nagle ochryple i zimny - żeby turystyczny samolot wiozł jednego człowieka z Houston?

Paul roześmiał się znowu.

- No, on nie jest tak zupełnie sam. Jest z nim kilku ludzi z ekipy, a poza tym chyba nie wiesz, jak liczną publiczność przyciągnęła ta wyprawa. Tyle mówiono o was w prasie i telewizji. Czy wiesz, że jest to największe wydarzenie w Ameryce, odkąd Armstrong wylądował na Księżycu. Wywołuje wiele kontrowersji. Informacje na temat lotu od ponad tygodnia nie znikają z pierwszych stron gazet. Będą w programie telewizyjnym od rana do rana. Czy wiesz, że kobiety w Ameryce będą cię kochać albo nienawidzić, ale niewiele będzie takich, którym będziesz obojętna. Niektórzy myślą, że jesteś silna i odważna, inni, że jesteś zupełnie szalona. Wszyscy mają argumenty popierające własne opinie. Każdego dnia dostajemy setki listów, tym więcej, im bliżej do startu. Wszyscy wyrażają swoją opinię.

Spojrzała nie niego.

- Powiedz mi, o co tak naprawdę chodzi moim przeciwnikom i czy naprawdę mają zamiar protestować?

Paul parsknął.

- Czy musisz o to pytać? Nie bądź zdziwiona, kiedy wyrzysz z wahadłowca i zobaczysz grupę pikietującą przy lotnisku - uśmiechnął się do niej. - Jak powiedziałem, niektórzy myślą, że jesteś szalona.

- Tak bardzo dodajesz mi otuchy, Paul. To jest to, co w tobie tak bardzo lubię - roześmiała się przekornie.

- Kiedy wrócisz, Jill, powiem ci wtedy, co ja w tobie lubię.

Po tym stwierdzeniu rozmowa między nimi ucichła. Jill powoli odwróciła głowę w drugą stronę. Co pewien czas dopadały ją przykre uczucia związane z Jakiem Whitney'em. Ostatnią rzeczą, jaką chciała usłyszeć było to, co jakiś mężczyzna czuje w stosunku do niej. Lubiła Paula. Uważała go za jedną z ważniejszych osób w całej ekipie, ale wiedziała, że wszystko na tym się kończy. Jej twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

Tłum ludzi płynął w stronę wejścia numer trzy. Dziennikarze z różnych gazet, fotografowie. Thad Geno, dyrektor kierujący startem rozmawiał z dwiema osobistościami z lokalnej telewizji. Przypatrywała mu się uważnie z nieodgadnionym zamyśleniem na twarzy. Wyglądało na to, że mieli wątpliwości, czy samolot ma podjechać właśnie pod trzecie wejście. Poczowała znowu obawę i ucisk w gardle. Myśli o tym, co zdarzyło się rok temu, natarczywie próbowały wdrzeć się w jej spokojny tok myślenia. Obraz Jake'a śmiejącego się i obejmującego ją w jego wielkim łóżku jak żywy przebiegał jej przez głowę. Zamknęła na chwilę oczy, a potem otworzyła je szybko i wyobrażenia znikły.

- Przyleciał jego samolot - ktoś z tłumu wskazał na światła, które pojawiły się nagle nad ciemnym horyzontem. W tym samym czasie Jill została otoczona przez kilka osób, Thad Geno podszedł blisko do niej. Był mężczyzną w średnim wieku, zajmował się programem badania przestrzeni od ponad dwudziestu lat.

Reporterzy stłoczyli się bliżej. Kiedy samolot wylądował, niektórzy zaczęli wykrzykiwać pytania. Z przytwierdzonym do twarzy uśmiechem odpowiadała na nie kiwnięciem głowy lub krótkim tak lub nie. Padały pytania, których nie chciałyby nigdy usłyszeć.

Kiedy samolot podjechał do wejścia, głośny dźwięk odrzutowych silników wtargnął do wnętrza, po czym ucichł i w końcu **zamilkł** zupełnie. Jill zacisnęła mocno rękę na swojej torebce, tak jakby chciała się czegoś przytrzymać, kiedy drzwi otworzyły się i pierwszych dwóch mężczyzn

weszło do środka. Złapała równowagę, gdy kilka innych osobistości przechodziło przez wejście, machając w stronę podnieconej z ciekawości grupy powitalnej.

Serce Jill drgnęło lekko, kiedy spojrzała w górę i zobaczyła Jake'a stojącego w drzwiach. Jednak w tej samej chwili jej puls zamarł na widok atrakcyjnej brunetki, znanej reporterki z czasopisma „People”, którą Jake obejmował za ramię. Pewnie przeprowadza z nim intymne wywiady, pomyślała wzburzona Jill. Nie spodobał jej się nagle widok Jake'a, jego usta szeroko rozciągnięte w szczęśliwym uśmiechu. Tak, to było ciało Jake'a Whitney'a, przystojne, pełne wigoru - wspaniały Flash Gordon obecnych czasów. Zobaczyła nagle, jak Jake uśmiecha się do innej młodej kobiety, powiedział coś cicho i zaczął przedzierać się przez dum. Jego oczy szybko przebiegły przez twarze i zatrzymały się, kiedy znalazły Jill. Uśmiechnął się do niej, pomachał ręką i ruszył w jej kierunku.

Wyprostowała się. Legendarny kochanek, wielki egoista. Wiedziała, jak bardzo kochał siebie, była to jedna z największych historii miłosnych w dziejach. Po chwili stał już przed nią.

- Jak się czuje moja ulubiona meteorologistka? - spytał cicho nie przestając się uśmiechać.

- Świetnie przepowiada sztormy - odpowiedziała miękko. - A co słyhać u mojego fruującego Valentino?

Przez uśmiech Jake'a przebiegł krótki grymas. Uniósł swoje czarne brwi.

- Wciąż poszukuje radości i szczęścia - odpowiedział, mrugając. Nie spuszczał swoich głębokich, niebiesko-szarych oczu z jej twarzy.

Paul Tipton wtrącił się z krótkim pytaniem.

- Jesteście gotowi do zdjęcia?

Szttywna i opanowana Jill odwróciła twarz w stronę kamer. Jake przysunął się bliżej niej, a ona odsunęła się lekko.

- Na Boga, Jill, uśmiechnij się - polecił jej szeptem Paul - uśmiechnij się - powtórzył.

Wydobyła z siebie najlepszy uśmiech, na jaki tylko było ją stać.

- Bylibyście tak mili i popatrzeli na siebie - powiedział czyjś głos.

Jill zastanowiła się chwilę nad tą prośbą, po czym odwróciła ostrożnie twarz w stronę Jake'a. Jakie to głupie, zupełnie głupie, pomyślała. Wszyscy zwracali uwagę na sprawę płci we wszystkim, co dotyczyło lotu, nawet osoby oficjalne. Co za ironia! Została wybrana, ponieważ była doświadczona w meteorologu, a ta wyprawa miała na celu zebranie ważnych danych poza laboratorium przy użyciu skomplikowanego sprzętu. Jednak wydawało się, że wszyscy chcą uważać ją za latającą Cinderellę. A teraz, kiedy przybył uroczy książe, Jill miała wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek wspomni się o prawdziwym celu ich lotu.

Wszędzie błyskały flesze i, kiedy odwróciła się z powrotem, zobaczyła mikrofony podsunięte tuż pod ich nosy.

Paul Tipton wyciągnął do reporterów rękę z rozstawionymi palcami.

- Pięć minut. Mamy dziś ścisły plan - rzucił Jill ostrzegawcze spojrzenie, wyraźnie ostrzegawcze. Przyjęła je z lekkim uśmiechem.

- Pułkownik Whitney - pierwsze pytanie było skierowane do Jake'a - jak pan myśli, czy jest jakaś prawda w pogłosce, że jest pan tutaj głównie dlatego, że jest pan kawalerem?

Jake roześmiał się krótkim, sztucznym śmiechem.

- Nie. Myślę, że jestem tutaj, ponieważ kapitan Meadows ma problemy zdrowotne.

- Czy wie pan, że pewne grupy wysłały petycję przeciwko temu, żeby kapitan poleciał z dr Danbury. Uważają oni, iż fakt, że samotna kobieta i żonaty mężczyzna spędzą razem dwa tygodnie w przestrzeni kosmicznej, może mieć zły wpływ na moralny rozwój wielu młodych ludzi, którzy uważnie śledzą ten program.

Jake znowu roześmiał się sztywno.

- Co mogę powiedzieć? Myślę, że historia pokaże, czy moralisci mieli rację. Prawdopodobnie okaże się, że nie. Poza tym nie przejmuję się takimi petycjami a jeżeli już są, to jest to bardzo smutne. Dr Danbury jest członkiem załogi. Jest meteorologiem. Cenię jej umiejętności i mam nadzieję, że ona uznaje moje. Będziemy zależni nawzajem od naszych umiejętności podczas przyszłego lotu. Zostaliśmy wysłani na wyprawę naukową a nie na jakąś orgię w przestrzeni

- zakończył z uśmiechem.

- Dr Danbury, czy chciałaby pani jakoś skomentować tę petycję? - spytał kobiety głos.

- Chciałabym powiedzieć tylko to, że musiałabym zobaczyć tę petycję na własne oczy, żeby w nią uwierzyć

- odpowiedziała chłodno.

W tej chwili Paul Tipton zrobił krok do przodu.

- Dziękujemy wszystkim - powiedział i odwrócił się do nich dwojga. - Idziemy.

Kilka minut później byli już w samochodzie pędzącym z powrotem do hotelu. Paul spojrzął we wsteczne lusterko i popatrzył na Jake'a Whitney'a siedzącego z tyłu razem z Thedem Geno.

- Jake, to była zwyczajna głupota... te twoje uwagi na temat moralistów. Wpadłeś prosto w pułapkę. Do diabła!

Jill spojrzała na tylne siedzenie i zobaczyła posępną minę Jake'a

- Ile razy mam wam jeszcze mówić, że dziennikarze są jak hieny. Przyjechali tutaj po to, aby zdobyć informacje i zwęszyć skandal i zrobią to, nawet jeśli by mieli was zabić

- westchnął ciężko.

- Robi mi się od tego słabo w żołądku - mruknął Jake.

- Od wielkiej głupoty zawsze robiło mi się niedobrze.

- Jeżeli jest ci tak niedobrze dzisiaj, to zobaczysz, co będzie jutro, jak obejrzysz wiadomości. A jeżeli chodzi o tę petycję, to ona istnieje naprawdę. Ma ją kwatera główna.

Jill siedziała jak rażona gromem. Rewelacje Paula wstrząsnęły nią do głębi, twarz jej poszarzała.

- Paul? - wymamrotała w końcu z wielkim niedowierzaniem.

- Przepraszam, Jill. Nie chcieliśmy, aby choć jedno słowo się wydostało, ale w kraju z wolną prasą trudno jest ukrywać cokolwiek dłuższy czas. Zrobiliśmy błąd w naszym własnym dziale prasowym, kiedy wysłaliśmy ten prospekt o tobie i Geraldzie. To, co niewinnie uznawaliśmy za obrazek zgodnej pracy dwojga zadowolonych członków załogi, inni interpretowali jako... no sama wiesz - wzruszył ramionami.

- Być może reporterzy przedstawiają was na fotografiach jako zbyt szczęśliwych i zadowolonych ze swojego towarzysztwa..

Jill odkryła perfidię i intrygi trudne do uwierzenia. Kariera, której poświęciła całe swoje życie, jej wielka lojalność nagle załamały się. Zamknęła oczy i opuściła głowę na oparcie. Jej głęboka i silna miłość, jaką żywiła do zawodu, który wykonywała, spadła do najniższego poziomu. Czują się zdruzgotana.

Rozdział III

Tej nocy Jill czuła się taka słaba i nieodporna na ciosy, jak jeszcze nigdy w swoim życiu. Musiała wierzyć, że ten lot przyniesie coś dobrego. Wiara była częścią niej. Udało jej się jakoś przegnać okropne wyobrażenia, które zawładnęły nią przedtem, przy tych wszystkich ludziach. Z głową pełną kłębiących się myśli usiadła przy oknie i wyobrażała sobie wahadłowiec stojący na wyrzutni o mile stąd, jego przygaszone światła błyszczące na tle horyzontu. Nie mogła zrozumieć, o co chodziło wszystkim jej przeciwnikom.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, przez dłuższą chwilę siedziała wciąż bez ruchu. Pukanie rozległo się ponownie. Dwa krótkie uderzenia. Wstała z fotela z nieprzytomnym wyrazem twarzy i przeszła przez pokój ubrana tylko w szlafrok. Spojrzała przez wizjer i zobaczyła Jake'a Whitney'a stojącego za drzwiami. Potrząsając głową, zapytała przez drzwi:

- Czego chcesz?
- Chciałbym z tobą porozmawiać - usłyszała cichą odpowiedź.
- Nie sądzę, żeby to było możliwe. Noc ma milion oczu.
- Daj spokój, Jill, otwórz drzwi - jego głos zabrzmiał głośniejszy, bardziej natarczywie.

Nie przeciągając dłużej tej dyskusji, Jill otworzyła drzwi. Jake stał w holu w wyblakłym drelichu i koszulce, boso. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym zrobiła krok do tyłu i wpuściła go do środka. Jej uczucia były pomieszane i niespokojne, nie była nawet w stanie uśmiechnąć się do niego.

Jake wszedł do środka i rozejrzył się wokół.

- Masz o wiele przyjemniejszy apartament, kochanie.
- Pewnie dlatego, że przyjechałam tutaj wcześniej - odpowiedziała szybko.

Wzruszył ramionami.

- Czy masz coś do picia?
- Jest tam trochę szkockiej i rumu - wskazała w stronę barku.

- Może napijemy się rumu z kolą. Pójdę i przyniosę z automatu trochę coli.

- Dobrze.

Patrzyła na niego, jak wychodził z pokoju. Wrócił po chwili, trzymając w ręce jedną puszkę.

- To musi wystarczyć. Drobnych wystarczyło mi tylko na jedną.

- Wystarczy. Ja chcę tylko małego drinka.

- To dobrze, bo po dzisiejszym dniu ja mam ochotę na dużego - otworzył puszkę i przygotował dwie szklanki. Podał jej napełnioną. Jill podeszła do miękkiego fotela i usiadła w nim, baczając, aby szlafrok bezpiecznie okrył jej nogi. Jake podszedł do sofy i opadł na nią.

Podniósł szklankę do ust, wziął duży łyk i zwrócił się do Jill.

- Napij się.

Jill powoli sączyła rum z kolą. Wraz z każdą pojawiającą się myślą czuła się coraz bardziej niespokojna. Co on tutaj robi? Dlaczego otworzyła mu drzwi? To było szalone, zupełnie szalone. Patrząc na jego ciało, wyciągnięte na sofie, poczuła drżenie serca. To nie było mądre otwierać mu drzwi.

- Nie chciałaś wpuścić mnie do środka, prawda Jill?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak - uśmiechnęła się ponuro do siebie.

Jake przypatrywał się meblom w pokoju, ścianom i pięknemu obrazowi wiszącemu naprzeciwko sofy. Odchylił głowę do tyłu, oparł ją na miękkiej poduszce i zapatrzył się w sufit

- Czy jesteś zła na to, co zdarzyło się między nami?
- zapytał cichym głosem.

- Nie - skłamała i dodała - ale to nie było tylko między nami, każdy o tym wie.

Skinął głową, nie przestając patrzeć w sufit.

- Wiem - wymamrotał - to sprawka ludzi z ochrony.

- Być może jest to łatwym wytłumaczeniem dla ciebie, Jake i być może to ci wystarczy, ale dla mnie to było szokiem - powiedziała z pewną irytacją. - nie lubię być szpiegowana w sypialni.

Rzucił jej krótkie spojrzenie i znowu zapatrzył się w sufit.

- Nie musimy być doskonali, Jill. Nikt nie oczekuje od nas, że będziemy bez skazy. Poza tym jesteśmy ludźmi i mamy ludzkie pragnienia. Służba ochrony musiała wiedzieć, co robimy, aby określić, na ile możemy być narażeni na szantaż czy nagabywania zagranicznych agentów. Zmniejszyło to ryzyko wydostania się na zewnątrz ważnych informacji na temat lotu i sprzętu. Prawdę mówiąc, nie przeszkadza mi to. Widzę to jako pewien rodzaj ochrony i nie zawracam sobie tym głowy - jego głos był głęboki i łagodny jak spokojne jezioro. - Nie zmienisz tego, co stało się między nami. Porozmawiajmy o tym.

Uniosła rękę ze szklanką.

- Nie chcę o tym rozmawiać. To było dawno temu i raczej chciałabym o tym zapomnieć - nie mogła zrozumieć, po co tu przyszedł. Żeby rozmawiać o czymś, co wydarzyło się rok temu? Jeżeli chciał rozmawiać o czymś tak przykrym, to dlaczego miałyby go słuchać? Przesunęła nerwowo nogami po dywanie i zaczęła bawić się szklanką. - Musisz już iść, Jake - powiedziała patrząc w dół na swoje niebieskie jedwabne pantofle.

Zignorował jej słowa.

- Ilu mężczyzn było w twoim życiu, Jill? - spytał nagle i wyprostował się na sofie.

Napotkała jego wzrok.

- To nie twój interes, Jake'u Whitney! - powiedziała z wyraźną wrogością i nagle zaczęła się trząść. - Proszę, wyjdź z tego pokoju.

Przyglądał się jej uważnie z dziwnym wyrazem oczu, kiedy się odezwał.

- Niezbyt wielu - odpowiedział na swoje własne pytanie - w rzeczywistości kilku. Martwi mnie to.

Spojrzała na niego trzeźwo, nie pokazując ani swoich uczuć ani myśli.

- Nie musisz się tym martwić, Jake.

Uśmiechnął się lekko i ciągnął dalej, kiedy zamilkła.

- Przez cały czas nie mogłem zrozumieć, co się stało. Myślałem, że spędziliśmy razem miłe chwile, że być może przerodzi się to w związek, ale następnego dnia zachowywałaś się tak, jakby nic się nie zdarzyło. Przez cały ostatni rok, za każdym razem, kiedy się spotkaliśmy, mogłem wyczytać w twoich oczach jedynie złość, mówiąc łagodnie. Zachowywałaś się tak dziwnie w stosunku do mnie, niepokoiło mnie to. Chcę wiedzieć, czy jestem jedynym mężczyzną, który kiedykolwiek cię dotknął. Muszę to wiedzieć, Jill.

Siedziała skępowana i zakłopotana.

- Nie masz żadnego prawa przychodzić tutaj i wtrącać się w moje życie, Jake. To nie ma sensu, nie rozumiesz? - jej niespokojne spojrzenie nie mogło oderwać się od jego przystojnej twarzy.

- Dla mnie to ma sens.

- Nie mam zamiaru spierać się na ten temat - powiedziała wstrzymując oddech. - To tylko jeszcze bardziej skomplikuje nam życie.

Postawił szklankę na stoliku przy sofie, podszedł do niej, sunąc bosymi stopami po dywanie, i przykucnął na podłodze. Jego oczy były wypełnione czułością, kiedy położył jej rękę na kolanie.

- Jestem na tyle głupi, aby chcieć, żeby to, co było między nami, mogło się jeszcze wydarzać w przyszłości.

- Jake, czy to wszystko nie jest jeszcze dla ciebie wystarczająco poplątane? Czy nie mamy dosyć problemów?

- odsunęła jego rękę, patrząc na niego z wzrastającą niechęcią. - Wiesz, że jutro będziemy mieli pracowity dzień, pojedziemy do bazy - kiedy umilkła, przestała niemal oddychać. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak cienki jest jej szlafrok, dopóki nie poczuła ciepła jego ręki przez materiał. Nagle poczuła się prawie całkowicie naga, chciała odepchnąć go daleko od siebie.

Jake uniósł głowę, żeby spojrzeć na nią.

- Jesteś piękna, Jill. Myślę, że masz najbardziej naturalną urodę ze wszystkich kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Jesteś bez skazy.

Spojrzała na niego ostro przez grube, ciemne rzęsy.

- Przestań, Jake.

Wtedy jego twarz przybliżyła się do niej, a usta lekko musnęły kącik jej warg.

- Nie mów - nie.

Jego usta, wilgotne i ciepłe jeszcze raz dotknęły jej warg, tym razem z większą intensywnością. Nagle zaczął ją gwałtownie całować, nie pozwalając jej się oprzeć ani rozplakać, ani w ogóle wydać jakiegokolwiek dźwięku. W tej samej chwili Jill zaczęła tonąć, pogrążyć się w otchłani swoich uczuć i doznań. Straciła kontrolę.

Odsunęła się ze łzami w oczach, pozwalając mu tylko dotykać jej twarzy, ale on zaczął całować ją znowu. Jego usta były wszędzie, na jej czole, policzkach, brodzie.

- Jake, proszę... proszę, odejdz - wyszeptała roznamietniona.

- Tsss - wyszeptał, przytulił swój policzek do jej policzka i lekko podniósł ją z krzesła. - Chcę, żebyś była blisko mnie, Jill.

Czuła drżenie jego ciała, kiedy wolno brał ją w ramiona. Pochylił głowę w jej stronę i, kiedy całował ją, przesunął palcami wzdłuż poł jej szlafrocka, rozwiązując pasek od niego. Zanim zdołała pomyśleć, szlafrok opadł na fotel. Jake dotykał jej ramion, szyi, delikatną, gładką dłoń wsunął pod jej halkę i objął jej pierś. Nie było czasu, żeby protestować

albo żeby go powstrzymać. Chociaż właściwie nie chciała go już dłużej powstrzymywać, bo jej własne drzenie było teraz równie wielkie jak jego. Powoli, ale nieodwracalnie, topniała, kiedy przyciągał ją do siebie coraz bliżej. Jego dłoń zsunęła się w dół po jej plecach i Jill poczuła wielką falę ekstazy, kiedy przyciągnął blisko do siebie jej biodra. Czowała jego pożądanie przez materiał halki, pożądanie, które płonęło blisko jej ciała. Jego dłonie, wilgotne usta, rozgrzane ciało były tak blisko i wiedziała, że nie może się już przeciwstawić. Wziął ją w ramiona, uniósł i zaczął iść w stronę sypialni.

W tej samej chwili ktoś zaczął głośno walić pięścią w wejściowe drzwi. Ten dźwięk przeszył ich dreszczem. Jake postawił z powrotem Jill na podłodze i wściekle popatrzył w stronę drzwi.

- Kto to może być? - zapytał szorstkim głosem.

Jill odeszła od niego, kierując się w stronę pokoju i nałożyła na siebie szlafrok. Walenie odezwało się ponownie, tym razem nawet głośniejsze niż poprzednio. Gdy zbliżyła się do drzwi, Jill poczuła się spięta. Spojrzała do tyłu i zobaczyła, że Jake zdążył już schować się w sypialni.

Odetchnęła głęboko niezadowolona, otworzyła drzwi i ujrzała ciemnowłosą reporterkę, która przyleciała samolotem razem z Jake'm.

- Czy jest tu pułkownik? - kobieta zapytała bez troski. Przechyliła się przez framugę i zajrzała do wnętrza pokoju.

- Nie, nie ma go tutaj - skłamała Jill z przekonaniem.

- W takim razie, gdzie on może być? Nie ma go w jego pokoju - tym razem ton reporterki zauważalnie stał się bardziej agresywny.

- Proszę sprawdzić znowu za kilka minut. Jestem pewna, że wróci tam do tego czasu - Jill trzasnęła drzwiami i oparła się o nie plecami. Kiedy Jake wyszedł z pokoju, nie była w stanie spojrzeć mu w oczy.

- Jill, ja nie chciałem... - zaczął wyjaśniać, gestykulując obiema rękami.

- Zamknij się i wynoś się stąd.

- Jill! Z tą kobietą nic mnie nie łączy. Mój Boże, czy myślałaś, że jest inaczej?

Nie mogąc powstrzymać łez, które napłynęły jej do oczu, Jill energicznie potrząsnęła głową.

- Chcę tylko, żebyś stąd wyszedł, Jake. W tej chwili to wszystko, czego chcę.

Powoli wzruszył ramionami.

- Dobrze, wyjdę, ale w ciągu wielu najbliższych dni nie będzie zbyt częstych okazji, żebyśmy byli sami.

- Mam nadzieję - wyszeptała - mam nadzieję.

Zmarszczył brwi, bez słowa przeszedł obok niej i otworzył drzwi.

- Dobrej nocy, Jill - powiedział wychodząc. - Do zobaczenia rano.

Przez dłuższy czas stała jak skamieniała, opierając się plecami o drzwi i spoglądając na pokój. Przeszył ją nagły spazm strachu. Gdyby tamta kobieta nie zapukała do drzwi akurat w owej chwili, Jill znalazłaby się znowu w łóżku z Jake'm Whitney'em. Uczucie, które żywiła w stosunku do niego przerażało ją. Być może dlatego, że był pierwszym mężczyzną w jej życiu, któremu oddała się całkowicie. Może właśnie dlatego miał nad nią taką władzę.

Zrobiła krok w stronę środka pokoju i stanęła tam jak zahipnotyzowana. Byli w jej życiu inni, chłopcy, młodzi mężczyźni w szkole i na uniwersytecie. Były w jej życiu westchnienia, pocałunki i pieszczoty, ale nigdy nie oddała się całkowicie, nie mogąc się zdecydować na ostateczny akt intymności z żadnym z tych mężczyzn. Z Jakem nie byli oficjalnie parą. Wpadł w jej życie jak burza i owładnął nią zupełnie niespodziewanie. To stało się, zanim zdała sobie z wszystkiego sprawę. Podobna sytuacja była dziś wieczorem.

Skurczyła się ze strachu, myśląc o tym, jak blisko dziś było do tego, żeby znowu straciła głowę. Wzięła głęboki oddech. Jej umysł był zupełnie skonsternowany.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Usłyszała szum wiatru i zobaczyła kalejdoskop drobnych światełek zdobią-

cych ciemniejące niebo. To było pewne, że nie chciała do wszystkiego dodawać jeszcze jednego problemu. Przysunęła fotel do dużego okna i zaczęła obserwować zbliżającą się burzę. Przelotne burze o tej porze roku nie były czymś niezwykłym, ale to, co zobaczyła wskazywało, że tym razem burza może być poważniejsza. Potarła gwałtownie brwi. Burza za oknem była niczym w porównaniu ze wzburzeniem w jej głowie.

Tego wieczora miała przecież zamiar spotkać się z Jakem w celach służbowych. Wróciła do niego myślami. Jaki popełniła błąd? Jaki uczyniła pierwszy niewłaściwy ruch? Czy wtedy, kiedy otworzyła mu drzwi? Czy nie mogli być po prostu przyjaciółmi? Chciała, żeby byli przyjaciółmi. Chciała móc śmiać się i żartować razem z nim, tak jak to robiła z Geraldem. Teraz nie myślała już o Geraldzie inaczej, niż jak o zwyczajnym znajomym. Znalazła się we władaniu mężczyzny, z którym spała, a inny mężczyzna, który był przyjacielem, już niewiele dla niej znaczył. Czy to miało sens?

Starła się myśleć o Jake'u obiektywnie. Wiatr wzmógł się na zewnątrz, a krople deszczu zaczęły tłuc o szybę. Jake miał wyraziste, błękitne oczy, raczej szarobłękitne, czarne rzęsy, pełne usta, często nadąsane. Zdawało się, że jest bardzo przystojny. Miał wspaniałą kondycję fizyczną, szerokie barki, był wysoki. Ku swojej irytacji nie mogła znaleźć żadnej skazy w jego wyglądzie zewnętrznym. Podobnie jak nie mogły tego znaleźć inne kobiety. Jego doskonała sylwetka wywoływała szmer podziwu, kiedy przechodził obok grupy kobiet, ale co kryło się w jego wnętrzu? To znacznie trudniejsze pytanie. Była obok niego w różnych sytuacjach i przekonała się, że całkowicie zajmuje go jego kariera i program badań kosmicznych. Potrafił być tajemniczy. Lubił przyjemności, ale to można było zrozumieć. Możliwe, że nie traktował jej wystarczająco poważnie. Jego uczucia w stosunku do niej mogły być znacznie płytsze niż jej do niego. Naprawdę zupełnie go nie znała i ta refleksja była

bardzo smutna, szczególnie dla kobiety, która się w nim kochała.

Wiatr wyjący za oknem nagle ucichł, rozległ się groźny grzmot i szybko zamilkł. Jill nie była zaskoczona tymi nagłymi zmianami pogody. Zmienna pogoda była łatwiejsza do przewidzenia niż wzruszenia, które wirowały głęboko w jej wnętrzu.

Rozdział IV

Prysznic przed świtem, filiżanka kawy i gotowane jajko zamówione do pokoju o świcie, szybka zmiana aksamitnej sukni na błyszczący, czerwony kombinezon i Jill była prawie gotowa. Energicznie rozczesała swoje długie, jasne włosy aż opadły miękko na ramiona, potem skręciła je i upięła wysoko na głowie. Obawiała się dzisiejszego ranka. Nie bała się go, jedynie obawiała się trochę. Ostatnie testy psychologiczne i mierzące poziom stresu mogły dzisiaj nie wypaść zbyt dobrze.

Rozglądając się po pokoju, uświadomiła sobie, że spokojne życie skończyło się na długo. Nie pozwalała sobie myśleć o spotkaniu z Jakie'm poprzedniego wieczora.

Słońce pojawiło się nad szarobiałym, wschodnim horyzontem, kiedy samochód z bazy podjechał pod hotel. Jill z chłodnym opanowaniem odebrała telefon i w ciągu paru minut była już na dole. Na czerwonym niebie nie było ani jednej chmury tego ranka, który nastąpił po burzowej nocy. Kiedy ujrzała czerwony horyzont, przypomniała sobie stare powiedzenie: „Czerwone niebo rankiem - ostrzeżenie dla żeglarzy” i zastanowiła się, czy dotyczy ono także pilotów.

Przywitała się z kierowcą wojskowej limuzyny i wśliznęła się na tylne siedzenie. Jedynym bagażem, jaki miała ze sobą, była podręczna torba na osobiste rzeczy i osobny pakunek na ubrania i biżuterię, który zawsze ze sobą wozila. To było wszystko, czego mogła potrzebować przez następne dwadzieścia jeden dni.

Dziesięć minut po tym, jak weszła do samochodu, drzwi hotelu otworzyły się i pojawił się w nich Jake, ubrany dziwnie

bez gustu. Przywitał się z kierowcą, otworzył tylne drzwi i usiadł obok niej.

- Dzień dobry, Jill - powiedział trzeźwo.

- Dzień dobry, Jake - odpowiedziała takim samym tonem.

Potał grzbiet swojego nosa.

- Nie słyszałem budzika. Przepraszam, że musiałaś czekać.

Chciała powiedzieć: „Dobrze ci, ja nie spałam w ogóle dzięki tobie”, ale nie powiedziała nic. Nie patrzyła na niego ani nie próbowała nawiązać rozmowy. Denerwował ją, sprawiał, że czuła się niespokojnie. Zbyt ważne rzeczy miały się dzieć tego ranka i w nadchodzących dniach. Byłoby o wiele lepiej, gdyby mogli być poddawani ostatnim testom oddzielnie a nie razem.

Zapach jego wody po goleniu rozchodził się wokół i Jill w końcu rzuciła krótkie spojrzenie w jego kierunku. Z ręką opartą na podpórce i brodą na dłoni patrzył przez okno. Za jego lewym uchem sterczały włosy, zmierzwił od spania i nie tknięte przez grzebień. Zastanowiła się nagle, czy tamta reporterka wróciła do jego pokoju.

- Czy twoja towarzyszka wróciła? - spytała niedbale.

- Tak - powiedział wolno, nie odrywając oczu od okna.

- Poszliśmy na bal.

W bliskiej perspektywie lotu ta odpowiedź wstrząsnęła nią. Zapatrzyła się we własne okno, myśląc o tym, że Jake prawdopodobnie rzeczywiście spędził upojny wieczór z tą kobietą. Wyobrażała sobie ich dwoje śmiejących się i pijących aż do rana. Nic dziwnego, że miał potargane włosy. Nagle zaczęła być zła na siebie za to, że o tym myśli. Nerwowo pocierała ręką brodę.

Kiedy samochód zatrzymał się przed bazą, Jill gwałtownie otworzyła swoje drzwi i szybko wysiadła z samochodu. Oficer dyżurny wyszedł przed drzwi, aby ich przywitać. Pokazał im pokoje i zostawił ich z rozkazem, że mają

zameldować się w pokoju odpraw w kwaterze głównej za piętnaście minut.

Jill weszła do swojego pokoju, który był dokładnie naprzeciwko pokoju Jake'a i zamknęła drzwi. Postawiła torbę w nogach podwójnego łóżka, usiadła obok niej i rozejrzała się po meblach. Typowo wojskowy styl. Żadnych falbanek. Łóżko, szafka z szufladami, toaletka, biurko, dwie lampy i jednokolorowy obraz przedstawiający Podwójną Wieżę na Manhattanie. Pojedyncze okno z żaluzjami i brązowo-zieloną draperią, dywan w identycznym kolorze. Zupełnie inaczej niż w hotelowym apartamencie.

Minęło pięć minut, potem dziesięć. Wstała z łóżka i w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Podeszła i otworzyła je - to był Jake.

- Czy chcesz iść ze mną do dowództwa? - spytał niedbale.

Skinęła głową machinalnie.

- Wezmę tylko torebkę.

Jake wszedł do pokoju i zamknął drzwi. Nie odrywał ręki od klamki.

- Jill, jeżeli chodzi o ostatnią noc...

- Raczej wolalabym nie rozmawiać o ostatniej nocy - powiedziała ostro. - Proszę - dodała. Wspomnienie ostatniej nocy nużyło ją.

Jake lekko wzruszył ramionami, otworzył drzwi, wyszedł na korytarz i stanął tam, czekając na nią.

Szli w milczeniu na odprawę, na której otrzymali plan na nadchodzące siedem dni poprzedzające start. Pierwszy dzień mieli spędzić na przetestowaniu głównych funkcji operacyjnych związanych bezpośrednio z wahadłowcem. Jill była opanowana i skupiona podczas zajęć. Wahadłowiec „Wenus” był tak wypełniony komputerami i minikomputerami, iż wydawało się niemożliwe, aby można było popełnić jakiś błąd, że coś mogłoby być nie w porządku.

Jill wiele razy latała ćwiczebnymi dwuosobowymi samolotami i sterowała nimi. Znała podstawy pilotażu. Chociaż

w rzeczywistości nie leciała jeszcze wahadłowcem „Wenus”, znała gruntownie jego urządzenia i mogła być naprawdę aktywnym pilotem podczas lotu. Oczywiście największa odpowiedzialność spoczywała na pułkowniku Whitneyu i, nie zważając na osobiste uczucia do Jake'a, wiedziała, że nigdzie na świecie nie można znaleźć lepszego i bezpieczniejszego pilota.

Pierwsza sesja skończyła się o pierwszej po południu i mieli teraz dwugodzinną przerwę na lunch i odpoczynek przed następnymi zajęciami. Jill razem z Jake'm, inżynierami odpowiedzialnymi za konstrukcję i sprawność operacyjną „Wenus” oraz czterema astronautami jedli lunch w klubie oficerskim bazy. Jill zamówiła sałatkę i herbatę, nie miała ochoty przy gnębiących ją uczuciach na większy posiłek. Mogła zjeść coś jeszcze później na obiad.

- Jill - powiedział przez stół Sandy Wallace, jeden z astronautów - jesteś bardzo cicha. Nie powiedziałaś prawie ani jednego słowa przez cały ranek. Czy masz tremę?

Nie poruszyła się nawet, kiedy odpowiadała.

- Nie, nie mam. Co ma wspólnego milczenie z tremą? - takie pytania jak Sandy'ego irytowały ją. Będzie miała tego dosyć jutro podczas psychologicznych i psychiatrycznych testów sprawdzających zdolności przystosowawcze.

Sandy popatrzył na nią badawczo, ale nic nie powiedział. Poczula teraz, że wszyscy spoglądają na nią z pytaniem w oczach. Uśmiechnęła się nagle przelotnie do Sandy'ego.

- Przepraszam - powiedziała po prostu. - Burza nie pozwoliła mi spać ostatniej nocy i jestem trochę zmęczona.

Sandy odwzajemnił jej uśmiech i dalej już lunch przebiegał w lżejszej atmosferze.

Pozostałą część popołudnia spędzili podobnie jak ranek, dyskutując o tym i owym z inżynierami i naukowcami należącymi do rutynowej obsługi wahadłowca. „Niebezpieczne” sesje miały odbyć się później w ciągu tygodnia.

Wieczorem zostali zaproszeni na obiad przez dyrektora programu badania przestrzeni kosmicznej - Harrisona Tay-

lora, który zabrał ich do stojącej na uboczu na plaży restauracji, górującej nad oceanem, dziesięć mil od Cape. Z biegiem dnia Jill uświadomiła sobie, że zaczyna jej wracać poczucie pewności siebie. Poczwała się bardziej szczęśliwa, niż była od czasu owej konferencji prasowej, na której Paul zbombardował jej uczucia wiadomością o tym, że Jake będzie dowódcą wahadłowca.

Zawsze przed lotem personel programu wydawał się być trochę przygaszony. Dyrektor Harrisem Taylor nie potwierdzał tej reguły przy obiedzie.

- Wyglądasz wspaniale, Jill - powiedział niskim głosem, kiedy usiedli.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję ci, Harrisom

Miała na sobie niebieską jedwabną bluzkę z dekoltem i fałdzistą błyszczącą spódnicę w podobnym kolorze. Znalazła trochę czasu na ubranie się, zrobienie starannego makijażu i dobranie biżuterii tak, że poczuła się świeżo, lekko i wesoło po raz pierwszy od dłuższego czasu. Cały dzień spędziła z Jake'm i, przynajmniej na zewnątrz, wszystko wyglądało spokojnie.

Spojrzała na Jake'a, który siedział w milczeniu, czytając menu. Ubrany był w mundur oficera Sił Powietrznych z insygniami pułkownika błyszczącymi w świetle świec. Wyglądał niezwykle przystojnie. Przez krótką chwilę przez głowę Jill przebiegła myśl: „Kocham cię, Jake. Zaraz potem westchnęła z rezygnacją, wiedząc, że to nie może być prawda. A może tak? To była myśl, która uderzyła w nią jak roziskrzony meteor. Poczwała ciepło i zimno jednocześnie, zaparło jej dech. Przez chwilę przyglądała się badawczo jego pochylonej twarzy, po czym szybko odwróciła wzrok i próbowała złapać oddech. To było to, oczywiście. Kochała go. Była w nim zakochana od miesięcy, może nawet od lat. To dlatego obiad w jego domu zakończył się w taki nieprzewidziany sposób i dlatego jego obecność oddziaływała na nią tak silnie. Jednak nagle pogrzyżyła się w czarnych

myślach. Jej uczucia nie były odwzajemnione. Ostatni rok pokazał, że Jake z pewnością nie uważał jej za kogoś szczególnego w swoim życiu.

Przy stole zapanowała dziwna cisza, kiedy ich oczy spotkały się na chwilę, by uciec zaraz w przeciwnych kierunkach. Jake spojrział na Harrisona, Jill utkwiała swój wzrok w bukietach świeżych róż i stokrotek. Była sparaliżowana znaczeniem własnych myśli.

- Jake, odezwał się Harrison -myślę, że spośród wszystkich lotów, może z wyjątkiem pierwszego lądowania na Księżycu, ten lot cieszy się największym zainteresowaniem. Nasze biuro kontaktów z opinią publiczną otrzymuje masę listów. Ich ilość wzrasta z każdą godziną.

- Nie dziwi mnie to - odpowiedział Jake spokojnie. - Mam wrażenie, że jestem jedynym człowiekiem na ziemi, którego będzie można porównać do Johna Kennedy'ego, kiedy oświadczył: "Jestem człowiekiem, który towarzyszy Jackie w wyjeździe do Paryża". Ja zamierzam zostać człowiekiem, który towarzyszył dr Jill Danbury w podróży kosmicznej.

Harrison roześmiał się.

- Być może masz rację, ale biorąc wszystko pod uwagę, to nie jest taki zły tytuł.

Patrząc przelotnie na Jake'a, Jill była zdziwiona tym, co zobaczyła. Być może cień zazdrości lub urażoną dumę? Coś, czego nigdy wcześniej nie widziała w jego twarzy. Powiedziała sztywno:

- Nie wiedziałam, że tak widzisz swoje miejsce, Jake. Nie mówiłeś o tym wcześniej.

Uniósł szklankę z winem i wypił trochę, zanim powiedział.

- To nie jest coś, o czym mogłem rozpowiadać, Jill. Myślałem, że ten honor przypadnie Geraldowi Meadowsowi, dlaczego więc miałbym o tym mówić?

To raniło. Sposób, w jaki na nią patrzył, ton jego głosu. Zabrzmiało to dla niej trochę krzywdząco. Mężczyźni pozo-

stawili swój ślad w przestrzeni kosmicznej i teraz, kiedy kobieta ma taką możliwość, mężczyzna towarzyszący jej źle się czuje w swojej roli. Przypominając sobie, że jest w towarzystwie dyrektora, Jill zapadła w głębokie milczenie.

Poczuła ulgę, kiedy przyniesiono główne danie i mężczyźni zaczęli rozmawiać na temat baseballu. Krótco po tym, jak postawiono przed nią talerz, przeprosiła i wstała od stołu. Cholera... cholera... cholera. Przeszła obok lustra dużego na całą ścianę. Musiała pogodzić się z myślą, że Jake będzie razem z nią, choć stało to w sprzeczności z jej życzeniami. Musiała uporać się z myślą, iż jest bardzo prawdopodobne, że go kocha, że kocha go od miesięcy - no a teraz to. Spojrzała wprost na swoje odbicie w lustrze. Przez co jeszcze będzie musiała przejść, zanim to wszystko się skończy? O ile jego duma była zraniona, to cała jej duma legła w gruzach. Zbyt wiele wydarzyło się w tych dniach przed lotem. Jill zaczęła popadać w panikę. „O Boże, nie pozwól mi wpaść w panikę. Nie teraz. Nie teraz”. Zupełnie nie mogła poznać samej siebie.

Przycisnęła prawą dłoń do swojej piersi i wyczuła gwałtownie bijące serce. Musiała wrócić do normalnego stanu i musiała zrobić to szybko. Wszystko stawało się zbyt skomplikowane. Wyglądało jak wielka mydlana bańka, która zaraz pęknie. Jill w napięciu wpatrywała się w lustro. Pozostało sześć dni, właściwie pięć. Szóstego dnia wystarczą. Musi się z tym uporać. Nie ma innego wyjścia.

Była godzina 22.30, kiedy limuzyna zawiozła ich dwoje z powrotem do bazy. Harrison Taylor został w samochodzie, kiedy oni wysiadali i powiedział przez okno: „Do zobaczenia jutro”, zanim samochód zakręcił i pomknął z powrotem w kierunku bram wyjściowych.

- Czy masz ochotę wpaść do klubu na drinka? - spytał Jake, stojąc za plecami Jill.

Odwróciła się niezdecydowana i popatrzyła prosto na niego.

- Czy zostaniemy przyjaciółmi, Jake? - spytała, próbując nadać obojętny ton swojemu głosowi.

- Czy to jest ważne, Jill? - zapytał nagle.

- Tak myślę. Nie mogłabym znieść myśli, że mam spędzić czternaście dni setki mil ponad Ziemią z kimś, kto nie lubi mnie lub mojej misji - popatrzyła mu poważnie w oczy.

- Tak, to jest ważne.

Położył delikatnie rękę na jej ramieniu.

- Dlaczego nie moglibyśmy porozmawiać o tym przy drinku? - jego ręka zjechała w dół po jej ramieniu, ujął jej palce.

Poszli razem do klubu oficerskiego, z którego słychać było muzykę i śmiech. Jake w milczeniu poprowadził Jill do odosobnionego stolika w rogu sali, gdzie usiedli. Patrząc przez stół na Jake'a, Jill zastanawiała się nad tym, co naprawdę kryje się w jego markotnych oczach. Siedział w milczeniu, czekając na drinki, które zamówił.

Kiedy je podano, spojrzał na Jill.

- Co się ma jeszcze zdarzyć, Jill?

- Co masz na myśli?

Bawił się swoją szklanką.

- Mówiłaś o przyjaźni. Nie wiem, co masz na myśli. Czy chcesz, żebym był twoim kumplem? Czy tego chcesz?

- Nie wiem - wymamrotała. - Nie wiem, gdzie jest miejsce dla ciebie w moim życiu.

- To jest właśnie to, ty wiesz to - podniósł szklankę do ust. - Ja jestem w twoim życiu. Bez względu na to, czy chcesz tego czy nie, jestem tam - upił łyk i przełknął. - Być może jest to problem nas obojga. Odgrywamy nawzajem jakieś role w naszym życiu i nie wiemy nawet, jak pasujemy do siebie. Wydarzyło się coś między nami w ostatnim roku. Zaaranżowaliśmy to sami, nikt inny się w to nie wtrącał. Powinniśmy więc zastanowić się nad tym, a nie zachowywać się tak, jakby nic się nie stało.

- Jake, to właśnie mam na myśli. Zapomnijmy o ostatnim roku, przynajmniej na razie.

Nastąpiła krótka przerwa.

- Może zatańczymy? - Jake uśmiechnął się kącikiem ust i, zanim zdążyła odmówić, wziął ją za rękę i zaprowadził na parkiet. Zatrzymał się i popatrzył na nią z wielką uwagą, zanim przytulił ją bliżej do siebie. Lewą ręką objął ją w tali, prawą chwycił za rękę i przytulił do swojej piersi. Poruszał się miękko i z wdziękiem. Kiedy Jill odprężyła się w jego ramionach, wydawało jej się, że poruszają się, jakby byli jednością - jednym ciałem i duszą.

Zdawało się, jakby czas się zatrzymał, kiedy tańczyli, a gdy muzyka dobiegła końca, Jake przytrzymał jeszcze Jill na chwilę. Wtedy zupełnie niespodziewanie poczuła, jak on się spina. Puścił ją w końcu i zaprowadził z powrotem do stolika.

Rozglądała się jakiś czas po sali, zanim odwróciła się do niego. Oboje uśmiechali się do siebie i Jill poczuła się przyjemnie w jego towarzystwie.

Wyciągnął rękę przez stół, a ona podała mu swoją.

- Chciałbym, żebyśmy zostali przyjaciółmi - powiedział, patrząc w jej wielkie, przejrzyste, niebieskie oczy. - Może marginalnymi przyjaciółmi.

Jill siedziała, patrząc na niego w milczeniu.

- Co to znaczy marginalny przyjaciel? - zapytała w końcu. Uśmiechnął się.

- Przyjaciel blisko krawędzi. Widzę, że masz wielką skłonność do tego, aby trzymać mnie na marginesie swojego życia. Nie zamierzasz pozwolić mi podejść bliżej a więc jestem tam i tam zostanę. W porządku?

- W takim razie marginalny przyjaciel jest lepszy niż żaden - przyznała z pewnym wahaniem, czuła jednak z jakichś powodów ucisk w gardle.

Kilka minut później przy drzwiach do jej pokoju Jake puścił jej rękę i lekko się uśmiechnął.

- A więc znowu tu jesteśmy, z powrotem tam, gdzie zaczęliśmy. Pewnie nie chcesz, żebym utulił cię do snu? Tylko jako marginalny przyjaciel?

Jill wciąż czuła mrowienie w palcach, nawet teraz, kiedy Jake nie trzymał jej już za rękę i zaplótł swoje ręce na piersi.

Wiedziała, że musi wejść do środka, że musi w tej chwili odejść od niego.

- Nie, poradzę sobie - wyszeptwała w końcu.

Nachylił się do przodu i dotknął jej ust.

Złapała oddech i powoli uniosła oczy. Potem nastąpiła chwila okropnego zakłopotania i jej ręka powędrowała w stronę drzwi.

Jake powoli opuścił ręce i, kiedy Jill otworzyła drzwi, wyciągnął dłonie i wziął ją w objęcia. Jego usta znowu odnalazły jej usta i poczuła, że nie jest w stanie go odepchnąć. Kochała go. Kochała go tak bardzo, że nie wiedziała, jak sobie poradzić z tym uczuciem. Nie miało znaczenia to, że jutro być może nie przyzna się do tego znowu. Teraz była ta chwila, kiedy знаła prawdę, ta chwila, kiedy jego usta całowały ją natarczywie a ręce pieściły jej plecy. W tej chwili wiedziała, gdzie jest dla niego miejsce w jej życiu.

Stali razem na środku jej pokoju, a on całował ją wciąż i wciąż. Pocałunki stawały się coraz czulsze, aż w końcu puścił ją i spojrzał jej w oczy. Westchnęła głęboko, wyciągnęła rękę i dotknęła jego policzka. Kiedy ich oczy spotkały się, poczuła przez ułamek sekundy, że nic nie może przeszkodzić spotkaniu ich dusz. Czowała, że zawładnął w pełni jej świadomością. Wyciągnęła obie ręce i bardzo powoli objęła go mocno za szyję. Jake nie poruszył się ani nie objął jej ramionami. Stał cicho, zupełnie bez ruchu. Tak bardzo chciała, żeby ją przytulił.

- Jake - wyszeptwała - czy możesz mnie objąć? Tylko na chwilę.

- Tak - odpowiedział miękko i łagodnie - mogę cię objąć na chwilę i mogę cię też objąć na dłużej - mówiąc to, patrzył jej w oczy, jedną ręką głaskał jej włosy, przyglądając potargane kosmyki - ale Jill nie jestem człowiekiem z kamienia i gliny - zawahał się - i mam wątpliwości, czy sposób, w jaki chcę cię objąć jest tym samym, czego ty chcesz - dotknął lekko jej policzka wierzchem dłoni. - Co myślisz o jednym pocałunku na dobranoc - i rozstaniemy się w przyjaźni?

Nie odpowiedziała. Wyszły jej wargi i powoli oblizała je językiem, zwilżając nawet suche kąciuki ust. Spojrzała na niego z zaufaniem.

Uśmiechnął się i pochylił lekko do przodu. Jego usta zatrzymały się na chwilę tuż przy jej ustach, nie dotykając ich. Czowała jego oddech tak blisko, że mieszał się z jej oddechem. Przez ułamek sekundy w niezbadanych zakamarkach jej umysłu zaświtała myśl, że jej nie pocałuje. Wtedy nachyliła się nagle i jej spragnione usta dotknęły jego ust.

Jake objął ją ramionami i przytulił blisko do siebie.

- Gdybyś mogła zrobić krok w moją stronę tak jak przed chwilą. To nie było takie trudne do zrobienia, prawda? - spytał prosto w jej usta.

Czowała się dobrze. Tak dobrze. Jill pocałowała go znowu, wilgotnymi ustami muskając jego wargi. Miał najpiękniejsze, najbardziej kuszące usta na świecie i przez chwilę należały do niej, przyprawiając ją całą o drżenie.

Nagle odsunął się od niej znowu, patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, dopóki nie odwróciła wzroku od jego badawczego spojrzenia. Miał zamiar coś powiedzieć, ale zamiast tego odwrócił się nagle i podszedł szybko do drzwi.

Stała niemal sparaliżowana, patrząc na otwarte drzwi.

- Dobranoc, przyjaciółko - powiedział cichym głosem z cieniem desperacji. Wyszedł i zamknął drzwi.

- Jake - nie mogła jednak powstrzymać jego ucieczki tym jednym słowem.

Rozdział V

Do startu zostało pięć dni. Potem cztery. Trzy. Był piątek, piętnastego czerwca. Start został wyznaczony na poniedziałek, na godzinę siódmą, czasu wschodniego. Jill nie mogła się nadziwić, jak szybko mijał czas. Jednak każdy dzień był tak wypełniony zajęciami, że właściwie nie powinna być tym zaskoczona. Psychologiczne i psychiatryczne testy dały dobry wynik i szczęśliwie były już za nią, podobnie jak kontrolne badania medyczne. W sobotę Jill i Jake mieli zostać odizolowani, aby uniknąć jakichkolwiek sytuacji, które mogłyby zagrażać ich zdrowiu w tej ostatniej chwili. Inne, już mniej szczegółowe ćwiczenia miały się odbyć w niedzielę po południu tuż przed ulokowaniem się na stałe w wahadłowcu. Od tej chwili mogli opuszczać wahadłowiec tylko na czas posiłków i na noc, dopóki nie zostali bezpiecznie umieszczeni w komorze powietrznej poza Stacją Kosmiczną „Wenus”. Jill czasami przystawała w zdumieniu, patrząc na to wszystko.

W piątek o godzinie trzeciej wszystkie zajęcia zostały na krótko przerwane na nabożeństwo, które miało się odbyć w kaplicy bazy. W ten wspaniały, ciepły dzień Jill była w tak świetlistym nastroju jak niebo ponad nią. Chociaż kościół był mroczny i ponury i wszyscy w nim obecni zachowywali się powściągliwie i byli pełni skupienia, Jill czuła się zupełnie inaczej.

Była ubrana w granatowy kombinezon, taki sam jak Jake'a. Mogła teraz nosić wyłącznie służbowe kombinezony i skafandry. Patrząc na zgromadzonych w kaplicy innych astronautów i ich małżonki, kobiety w sukniach, niektóre w kapeluszach, Jill tylko przez chwilę poczuła się inna.

Siedziała pomiędzy Jake'm i Geraldem Meadowsem, po drugiej stronie Geralda siedziała jego żona Marsha. Kąci-kiem oczu Jill obserwowała piękną, arystokratyczną głowę Jake'a, jego ciemną karnację, świeżo ostrzyżone włosy, przycięte krótko dla wygody w nadchodzących dniach. Był bardzo miły od czasu spotkania w jej pokoju po wyjściu z klubu, nie powstał między nimi żaden problem, nie padło żadne ostre słowo.

Zanim nabożeństwo rozpoczęło się, Marsha wychyliła się do przodu z nieco wymuszonym uśmiechem na ustach.

- Jill, czy ty naprawdę przeszłaś przez to wszystko?
- wyszeptwała.

To pytanie zdziwiło trochę Jill.

- Oczywiście, dlaczego nie - odpowiedziała. - Dlaczego pytasz, Marsho?

- Marsha potrząsnęła głową.

- Ciągle myślę, że w ostatniej chwili powiesz: „Hej, chłopcy, zaczekajcie, ja tylko żartowałam”. Nie wyobrażam sobie, żeby kobieta mogła robić takie rzeczy, naprawdę nie mogę w to uwierzyć.

Jill przez chwilę chciała odpowiedzieć ze złością, ale stłumiła ją i powiedziała w końcu opanowanym głosem:

- Czy przyleciałaś tutaj samolotem z Houston, Marsho?
- wychyliła się do przodu, patrząc przez Geralda.

- Tak, wszyscy przylecieliśmy tutaj wczoraj. Myślałam że wiesz.

- Jill skinęła głową.

- Pamiętasz na jakiej wysokości lecieliście?

- Na wysokości 36 tysięcy stóp przez większość czasu. Dlaczego pytasz?

- Ryzyko latania istnieje wszędzie. Wysokość tak naprawdę nie robi żadnej różnicy. To, że ja będę na wysokości 500 mil, wcale nie oznacza, że łatwiej stamtąd spadnę, niż ty wczoraj z wysokości 7 mil. Chodzi tylko o punkt widzenia.

- Rozumiem - powiedziała Marsha, przybierając nagle ponury wyraz twarzy. Nie mówiąc już nic więcej, oparła się z powrotem o swoje krzesło.

- W tej chwili Jake dotknął ramienia Jill. Odwróciła się w jego stronę.

- Dostałem samochód do dyspozycji dziś wieczorem - powiedział miękko. - Nie chciałabyś pojechać na wybrzeże?

- Przecież nie możemy! - wykrzyknęła stłumionym głosem. - Wiesz, że nie możemy opuszczać bazy.

Uśmiechnął się beztrzesko.

- A jeśli ci powiem, że mamy specjalne pozwolenie na pełne dwie godziny prosto od szefa?

- Od Harrisona Taylora?

Przytaknął.

- No właśnie. Jeżeli wrócimy z powrotem do bazy przed dziesiątą, nikt nie powie ani słowa.

Jill siedziała w milczeniu.

- Nie będziesz mnie łąpał za kolana, Jake, dobrze? - spytała po długim namyśle.

- Nie, proszę pani. Nie łąpię kobiet za kolana. Mam zamiar nie zajmować się kobietami przez ponad dwa tygodnie. Nie jestem taki odważny ani głupi! - znowu się roześmiał. - A więc jedziesz czy nie? Odpowiedz mi teraz. Nabożeństwo zaraz się zacznie.

- Tak.

- To dobrze - westchnął, zgrabnie złożył ręce na kolanach i przeniósł uwagę na ambonę.

Wszyscy siedzieli cicho, kiedy pastor z bazy wygłaszał krótkie kazanie na temat strachu. Słowo to astronauta już dawno wykreślili ze swojego słownika. Obawa była akceptowana, strach nie. Po pastarze przyszedł ksiądz katolicki, który zmówił modlitwę za bezpieczeństwo dwojga astronautów mających odlecieć z Ziemi w poniedziałek. Po nim miał krótkie przemówienie generał bazy Dobbs Mason, a potem w stronę ambony skierował się Harrison Taylor. Idąc wyciągnął z kieszeni dwie zwinięte kartki papieru. Uśmiechnął się do zebranego tłumu, po czym skupił wzrok na Jill i Jake'u.

- Dr Danbury, pułkownika Whitney, trzymam w ręce wiersz, który, jestem pewien, wyda się wam bliski, podobnie jak większości pilotów. Wiersz ten został napisany przez młodego Amerykanina, który zginął w grudniu 1941, młodego człowieka należącego do Kanadyjskich Sił Powietrznych - Johna Gillespiego Magee, juniora. Słowa te odnoszą się do wszystkich pilotów, którzy kiedykolwiek latali i do tych wszystkich, którzy jeszcze tego nie robili. W wierszu tego dziewiętnastolatka „Wysoki lot” znajduje się wspaniały opis lotu. Jeśli pozwolicie, przeczytam teraz te słowa wszystkim zebranym tutaj na nabożeństwie. Harrison zaczął czytać spokojnym, niemal patetycznym tonem.

Wyrwałem się z mrocznych okowów ziemi
i lecę na błyszczących, srebrnych skrzydłach
po roztańczonym niebie

Wspinam się ku słońcu i łączę się radośnie z chmurami
Doświadczam setki rzeczy, o których nawet nie śniłeś
Frunę, kołuję wysoko w słonecznej ciszy,
wiruję i ścigam się z wyjąłym wiatrem
Kieruję swoim statkiem przez wielkie hale przestrzeni

Harrison przerwał w tym momencie, wziął głęboki oddech i utkwiał wzrok o niezgłębnym wyrazie w Jill, która na próżno próbowała się do niego uśmiechnąć. Wiersz był tak niesłychanie piękny, że nie była w stanie się uśmiechać, kiedy Harrison go czytał.

Wciąż patrząc na Jill zakończył, mówiąc resztę z pamięci:
Wysoko ponad tęsknym, obłądnym, płonącym błękitem
dotarłem do szumiących wiatrem wyżyn,
gdzie nigdy nie latał ani skowronek ani nawet orzeł
W ciszy przekraczam nietknięte niczyją stopą
święte przestrzenie
Wyciągam swoją dłoń i dotykam twarzy Boga

Harrison nie odzywał się przez chwilę. Powiedział w końcu:
- Zazdroszczę wam. Obojgu wam zazdroszczę waszej
młodości, odwagi, chęci, aby zamienić te słowa w czyn,

słowa, które będą częścią waszych wspomnień przez całe życie. Dokonacie tego, czego niewielu ludziom było dane dokonać, a powodem tego jest wasza osobista siła i poświęcenie w dążeniu do własnych celów. To właśnie sprawi, że wy oboje będziecie mogli przeprowadzić badania w rejonach, do których nie dotarły ani skowronki ani orły. Życzę wam obojgu szczęścia, aby Bóg was błogosławił, chronił i pozwolił wrócić na ziemię - tymi słowami formalne nabożeństwo zakończyło się i Harrison zszedł na dół. Podszedł do miejsca, gdzie siedzieli Jake i Jill. Podając im kartki papieru, powiedział:

- Chciałbym, żebyście to zatrzymali.

Bliska łez Jill zacisnęła rękę na kartce z wierszem.

- Dziękuję ci, Harrison. Zachowam to na zawsze.

Jake przyjął wiersz krótkim skinieniem głowy i potrząśnięciem ręki.

Harrison odezwał się znowu.

- A teraz idźcie odpocząć na parę godzin. Jutro będziecie już odizolowani, tak że każdy ruch, jaki zrobicie będzie kontrolowany i obserwowany przez monitor. Rozluźnijcie się trochę, wypijcie drinka albo dwa, ale cokolwiek będziecie robić, nie przeziębcie się i nie złapcie żadnej innej choroby. Wicie oboje, że wasz lekarz powiesiłby mnie, gdyby się o tym dowiedział. Uważajcie na siebie, to rozkaz.

- Tak jest, proszę pana - powiedzieli równocześnie. Po pożegnaniu i podziękowaniu kapelanom i generałowi wyszli razem z kaplicy bocznym wyjściem.

Jill czuła się lekko i wesoło, kiedy biegli z powrotem do swoich pokoi, aby przebrać się w bardziej wygodne ubrania. Przypomniała sobie nagle, że nie ma żadnych wygodnych rzeczy. Wszystkie jej ubrania zostały spakowane i odesłane do Houston.

- Właśnie sobie przypomniałam, Jake - powiedziała swobodnie. - Wszystko co mam, to służbowe ubrania. Nie wiem nawet, czy znajdę chociaż parę szortów.

- Dlaczego pozwoliłaś im zabrać swoje rzeczy? - spytał, szeroko otwierając oczy.

- To nie było dokładnie tak. Oni po prostu je wzięli. Nie zabrali twoich?

- Zabrali, ale nie wszystko jeszcze stracone - otworzył swój portfel, wyjęty z tylnej kieszeni i wyciągnął z niego kartę.

- Z tą małą kartą mogę iść do PX i kupić tam, czego dusza zapagnie.

- Oczywiście - skinęła głową i uśmiechnęła się. - Ja też mam taką jedną. Muszę tylko iść do pokoju i wziąć torebkę.

- Dobrze. Zaczekam na ciebie na zewnątrz w tym ciepłym słońcu. Samochód dostaniemy za chwilę, tak że mamy mnóstwo czasu.

- Będę za minutę - odwróciła się i wbiegła do środka. Kiedy wchodziła do pokoju, zadzwonił telefon. Bez namysłu podniosła słuchawkę.

- Halo.

- Jill, tu Paul. Gdzie jest Jake?

- Jest przed budynkiem. Co się stało?

- Muszę się z wami spotkać za piętnaście minut w kwaterze głównej. Będziemy mieć ostatnią konferencję prasową, zanim pójdziecie na ścisłe ośrodkowanie. Musimy jeszcze przed nią porozmawiać.

- Kiedy?

- Powiedziałem przecież, że za piętnaście minut.

- Tak, ale chodzi mi o to, kiedy ma być konferencja?

- Dzisiaj o ósmej. Nie powinna trwać dłużej niż godzinę.

- Jill zawahała się zamyślona.

- Nie możemy przyjść na ósmą. To musi być teraz albo wcale.

- Mam wasz plan zajęć, Jill, dziś wieczorem nie macie nic do zrobienia.

- Paul, teraz albo wcale - spojrzała na zegarek. - Jest 4.45.

- Dobrze. Wszyscy są tutaj w bazie, daj mi parę minut, żebym mógł się połączyć.

- Będziemy w kwaterze głównej za piętnaście minut. Na całą konferencję dajemy ci czas do szóstej.

- Nie... nie rozumiem. Co się dzieje?
- Nic. Po prostu Harrison miał dla nas inne plany na dzisiejszy wieczór.
- Nie wiedziałem o tym. Nie ma nic w rozkładzie.
- Do zobaczenia za piętnaście minut, Paul - zakończyła rozmowę Jill

Kiedy powiedziała Jake'owi o zmianie planów, zasyczał.

- Ten Tipton! Będę cholernie zadowolony, kiedy zajmie się czymś innym albo kimś innym.
- Myślę, że on po prostu wykonuje swoją pracę, Jake.

Paul nie tracił ani chwili czasu. Kiedy oboje przyszli do kwatery głównej, kamerzyści i reporterzy akurat wchodzili. Chociaż Paul próbował być miły, wydawało się, że jest - pograżony w dziwnym, ponurym nastroju. Popatrzył na nich oboje z pewną powściągliwością i podejrzliwością. Zanim pozwolił im odwrócić się w stronę kamer, dał im krótkie streszczenie pytań, jakie mogły paść. Niektóre z nich były osobiste. Zalecił im, aby byli szczerzy w swoich odpowiedziach, ale nie aroganccy czy złośliwi. Spojrzał prosto na Jake'a i powiedział:

- Szczególnie ty, Jake. Potrafisz dociąć komuś nie wysilając się zbyt. Zachowuj się najlepiej, jak potrafisz. Jake wykrzywił usta, ale nic nie odpowiedział.

Dokładnie o 5.00 usiedli za stołem zastawionym mikrofonami. Paul dał znak reporterom, że mogą zadawać pytania, najpierw do Jake'a.

- Pułkowniku Whitney, czy mógłby pan powiedzieć nam coś o swojej przeszłości, rodzinie, narzeczonej i ich reakcji na pana podróż?

Jake poruszył się na krześle. Zwilżył usta i przybrał wyrozumiały wyraz twarzy.

- Urodziłem się i wychowałem w Los Angeles. Moi oboje rodzice nie żyją. Mam brata i siostrę, którzy mieszkają w Kalifornii. Naprawdę, nie znam ich reakcji. Nie rozmawialiśmy o tym.

- A co może pan powiedzieć o swojej wybrance. Dowiedzieliśmy się, że aktorka telewizyjna Helena Anderson ma przylecieć w poniedziałek rano, aby obejrzeć start. Czy to prawda?

Jake zaczerwienił się i spojrzał w dół na stół.

- Słyszałem, że ma przyjechać, ale to nic pewnego - spojrzał na Jill. Wymienili niepewne spojrzenia. Jill oparła się na krzesło i splótła ręce, jej twarz zaczęła się napiąć.

- Czy to prawda, że pan i panna Anderson tworzycie parę? Oświadczyła ona dziś rano, że termin waszego ślubu będzie ogłoszony po ukończeniu lotu.

Jake westchnął przesadnie i roześmiał się skrępowany.

- Nie sądzę. Nie wydaje mi się także, żeby teraz był właściwy czas na roztrząsanie czyichkolwiek przyszłych planów. Moje główne zainteresowania skupiają się obecnie na dowodzeniu wahadłowcem „Wenus”.

Jill zaczerwieniła się i poczuła się jeszcze bardziej zaniepokojona. Jake wymykał się reporterom. Atmosfera stała się napięta i, kiedy Jill odpowiadała na pytania, starała się mówić jasno i krótko, ale coraz wyraźniej była świadoma swojego niepokoju. Pytania skierowane do Jake'a wstrząsnęły nią do głębi i na jej twarzy malowało się lekkie przygnębienie.

Kiedy konferencja skończyła się, Jill chwyciła torebkę i uciekła od stołu, zanim ktokolwiek zdążył zadać jej jeszcze jakieś pytanie.

W holu Paul Tipton złapał ją za rękę.

- Byłaś wspaniała, Jill - powiedział, uśmiechając się szeroko.

Poczuła, że w rzeczniku prasowym było coś dziwnego, coś zupełnie innego niż zwykle. Paul cieszył się ze spotkania z prasą, cieszył się z każdej jego minuty. Uśmiechnęła się krótko do niego i już jej nie było. Chciała wyjść i to jak najszybciej.

Jake złapał ją w połowie drogi do budynku, w którym mieli pokoje.

- Jill! - wołał za jej plecami. - Zaczekaj!

Zwolniła i pozwoliła mu zrównać się z nią.

- Nie wiem, po co to wszystko było, ale nie podobało mi się to, do cholery!

Jill zmarszczyła brwi.

- Nie wydaję mi się, żeby to było takie ważne. Myślę, że ludzie mają prawo wiedzieć coś o naszej przeszłości - odpowiedziała z wyraźnym odcieniem obojętności.

- Rozdmuchali tę znajomość z Heleną Anderson zupełnie ponad miarę. Nie znam jej tak dobrze. Z pewnością nie tak dobrze, jak sądzą ci reporterzy.

Jill powoli zatrzymała się zupełnie i odwróciła do niego.

- Tak jak powiedziałam, Jake, to naprawdę nie jest takie ważne. Jeżeli ona przylatuje tutaj w poniedziałek, żeby oglądać twój start, musisz być dla niej kimś szczególnym, przynajmniej trochę. Nie sądzisz?

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, po co tu przylatuje. Może chce zrobić reklamę sobie i swoim telewizyjnym serialom.

Uśmiechnęła się do niego łobuzersko.

- Kto wie? Kto wie, komu na tym zależy?

- Nie bądź taka cyniczna. Jestem z tobą szczerzy, spróbuj przynajmniej w to uwierzyć - wziął jej rękę w swoje dłonie, patrząc jej w oczy. - Chodźmy do PX, a potem jedźmy spędzić te nasze ostatnie godziny wolności tak, jak planowaliśmy. Zależy mi na tym, żebyśmy wyjechali stąd na parę godzin.

Jill ucichła czując jego dotyk i oswobodzając rękę z uścisku, powiedziała zjadliwie:

- Dobrze, Jake.

Wyruszyli w drogę pożyczonym Jaguarem. Jake prowadził, a Jill siedziała obok z poważnym wyrazem twarzy. Minęli bazę i pojechali w kierunku plaży. Jill chciała czuć się z Jakem swobodnie, cieszyć się czasem, który mieli spędzić razem, ale trudno jej było odprężyć się, zwłaszcza teraz po nowościach z konferencji.

Jake był ubrany w białe szorty i rozpięty pod szyją niebieski pulower. Jill wybrała cienkie spodnie i bawełnianą bluzkę. Siedziała sztywno wyprostowana z rękami złożonymi starannie na kolanach, na jej twarzy malował się wyraz zwątpienia i ostrożności. Jej uczucia były zbyt pomieszane, aby mogła je w tej chwili uporządkować.

Jake spojrział na nią niepewnie i odchrząknął - zanim się odezwał.

Czy chciałabyś teraz robić coś specjalnego?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Chciałabym po prostu trochę pojeździć.

- A co z obiadem?

- Dobry pomysł. Jesteś głodny?

- Umieram z głodu, jeśli mam być szczery. Mógłbym zjeść konia z kopytami.

- To lepiej by było, gdybyś znalazł jakąś restaurację - roześmiała się w końcu.

Znaleźli bar z hamburgerami przy białej plaży i Jake zwolnił.

- Czy mogą być hamburgery?

Skinęła potakująco.

- Co prawda to nie koń, ale mogą być.

Jedli hamburgery przy stoliku postawionym na zewnątrz i Jill poczuła, że rozmowa idzie jej łatwiej. Napięcie zaczęło odchodzić, kiedy rozmawiali o tym i owym przy kamiennym stoliku. Wzięła frytkę i podniosła ją wolno do ust, nie odrywając oczu od Jake'a.

- Czy byłaś szczęśliwa jako mała dziewczynka? - spytał nagle obcesowo.

- Tak, bardzo szczęśliwa - odpowiedziała. - Wychowałam się na ranczo niedaleko Denver. Była tam hodowla bydła. Mój brat i ja, żadne z nas nie je wołowiny. Czy to nie jest dziwne? - dostrzegła jego spojrzenie, jasny blask w jego oczach.

Roześmiał się.

- Założę się, że te zwierzęta chciałyby, żeby było więcej takich ludzi jak ty i Bud.

Uśmiechnęła się.

- Pewnie tak.

- Czy zamierzasz wrócić do Denver, kiedy będzie już po wszystkim?

- Nie wiem. Być może na chwilę, ale tak naprawdę, to chciałabym jechać do Wyoming.

- Dlaczego tam?

- Mam tam krewnych, którzy żyją w prawie zupełnej izolacji od nowoczesnego świata. To wspaniałe miejsce do tego, aby zebrać swoje myśli i uporządkować emocje.

- Wygląda mi to na miejsce, którego oboje możemy potrzebować, kiedy wrócimy. Czy zabierzesz mnie ze sobą, Jill?

Rumieniec oblał jej policzki.

- Jeśli chcesz. Jestem pewna, że będą zachwyceni twoim przyjazdem.

- A ty? Czy będziesz się cieszyć z tego, że pojedę z tobą do Wyoming?

Uśmiechnęła się, a jej policzki pociemniały.

- Tak. Myślę, że spędzimy tam wspaniałe chwile.

- A więc postanowiliśmy. Kiedy wrócimy, pojedziemy razem do Wyoming, żeby wszystko uporządkować.

Jill roześmiała się, a jej oczy rozblęły.

- To dziwne - przerwała nagle i zmarszczyła brwi jakby z bólu.

- Co takiego?

- Sposób, w jaki mówimy o tym, co będziemy robić, jak wrócimy. Jesteśmy tak pewni tego, że wrócimy. Czy zauważyłeś, że nikt nie mówi „Jeśli”? Wszyscy mówią „kiedy”.

Jake skończył jeść trzeciego hamburgera, zmiął w ręce serwetkę i wrzucił ją do otwartego pojemnika na śmieci stojącego niedaleko stolika.

- Ja nigdy nie myślę „Jeśli”. To nie w moim stylu - powiedział.

Ślad niepewności przebiegł przez twarz Jill.

- Ja czasami tak myślę. Chwilami myślę o tym dłużej, tylko od czasu do czasu.

Łobuzerski uśmiech pojawił się na ustach Jake'a. Mrugnął do niej okiem i przyznał:

- W pewnym sensie wszyscy po trochu tak myślimy. Ten lot jest nieco inny od mojego pierwszego. Przed tamtym lotem miałem o wiele bardziej wyraźne poczucie zagrożenia niż teraz. Zostawiłem testament i różnego rodzaju instrukcje dla mojego brata i siostry - uśmiechnął się lekko. - Wprowadziłem ich w takie zdenerwowanie, że ledwo przetrwali moją podróż. Tym razem zostawiłem ich w spokoju. To naprawdę nie jest w moim stylu myśleć "Jeśli" jeszcze kiedykolwiek. Nauczyłem się czegoś w czasie tego pierwszego lotu.

- Czego? - spytała, kiedy przerwał.

- Przekonałem się, że to jest tego warte, Jill. Jakikolwiek byłby rezultat, to jest tego warte. Zobaczysz za parę dni, co mam na myśli.

Uniosła brwi w zamyśleniu.

- Myślę, że już wiem. To jest coś, o czym dużo myślałam przez ostatnie lata.

Przesiadł się z ławki na swoją stronę stołu.

- Zmieńmy temat. Będziemy się tym zajmować przez kilka kolejnych dni a więc zapomnijmy o tym teraz. Czy chcesz iść gdzieś na drinka? - wyciągnął rękę w stronę Jill i spojrzał na nią z dziwną czułością.

Wstała i powiedziała:

- Może pospacerujemy po prostu trochę po plaży. Możemy iść na drinka, kiedy wrócimy do bazy, dobrze?

Skinął głową, wziął ją za rękę i zaprowadził z powrotem do samochodu. Po kilku milach, które przejechali wzdłuż połaci białego piasku, Jake zjechał z głównej drogi i zatrzymał się.

Kiedy spacerowali boso po piasku, Jill aż zaparło dech na widok piękna, jakie ich otaczało. Powietrze nad ich głowami było spokojne i nieruchome. Jednocześnie słychać było w oddali fale uderzające głośno o brzeg. Powietrze było ciężkie od zapachu słonej wody i pachnących, letnich kwiatów. Zapachy te mieszały się ze sobą tworząc naturalne

perfumy. Jill czuła nieuchwytność i nostalgię tej chwili. Chwila ta jednak przemijała, już przeminęła.

Jake schylił się i podniósł kawałek drewna wyrzuconego przez wodę.

- Czy chcesz, żebym rozpałił ognisko?

- Byłoby przyjemnie - powiedziała miękko, słysząc jak wiatr rozwiewa jej słowa.

Kilka minut później usiedli na piasku przy płonącym ogniu. Jill długo patrzyła na rozświetlony gwiazdami horyzont, po czym uwagę jej przykuły tańczące ognie czerwieni i błękitu. Zapomniała o wszystkim - o wszystkim, co czekało na nią w świecie na zewnątrz rozświetlonego koła.

Jakimś sposobem jej włosy rozplotły się i opadły na ramiona. Poczowała rękę Jake'a sunącą po jej włosach i wyjmującą spinki. Zaczął upinać jej włosy. Czuła jak jego pięknie ukształtowane palce dotykają jej głowy i muskają jej ramiona. Odwróciła się, spojrzała na niego i poczuła nieznośny ucisk w piersiach.

Dotknął jej twarzy, uśmiechając się łagodnie i powiedział ochryplym szeptem:

- Próbuję tylko doprowadzić do porządku twoje włosy.

Cofnęła się przed jego dotykiem, rumieniec wystąpił jej na twarz a usta drżały.

- I udało ci się? - bledy uśmiech igrał na jej wargach.

- Myślę, że tak - jego oczy były przepełnione uczuciem aż do bólu. Nie mogła patrzeć na niego nawet przez chwilę bez doznawania takich samych bolesnych uczuć, zapatrzyła się więc w płomienie i próbowała zgubić swoje myśli w płonącym ogniu.

Jake przybliżył się do niej, a jego usta dotknęły jej włosów.

- Jill, czy ty się mnie boisz?

Uśmiechnęła się nieśmiało, nie odrywając oczu od płomieni.

- Tak, boję się ciebie jak ognia.

Odwrócił jej głowę do siebie i spojrzał na nią czule.

- Dlaczego? Wiesz przecież, że cię nie skrzywdzę. Przelknęła głośno ślinę, aby mogła się odezwać.

- Nie wiem tego, Jake. Wygląda na to, że to ja cię ranię.

Spojrzał na nią i zobaczył łzy napływające jej do oczu, błyszczące na długich, czarnych rzęsach. Przyglądał się jej uważnie, zaniepokojony, pełen przytłaczających uczuć.

- Jill, ta noc jest nasza. Nie muszę się z tobą kochać, ale koniecznie muszę cię objąć. Muszę. Mówię to szczerze. Patrzyli na siebie jak zahipnotyzowani, pogrążeni w intensywnym pożądaniu. Morze zniknęło, przestali słyszeć jego szum. Ogień wypalił się, jednak małe płomyki wciąż błyskały kolorami w ciemności. Wszystko zniknęło, ich oczy jednak zachowały pamięć każdego szczegółu, każdej krzywyzny czy zarysu swoich twarzy.

Usta Jill rozchyliły się powoli.

Jake pochylił się do przodu i, nie dotykając jej, zbliżył swoje usta do jej ust. Jego czuły pocałunek wzburzył krew w jej ciele, pobudził emocje. Po chwili Jake odsunął się i Jill spojrzała w jego oczy. Zmieszanie i namiętność wirowały w jego ciemnych źrenicach i najwyraźniej tkwiło w nich pytanie.

Zacząła mówić, ale okazało się, że nie jest w stanie. Tak wielki był jej ból, kiedy czuła jego ramiona obejmujące ją, kiedy była blisko niego, kiedy czuła, że należy do niego. Kochała i pragnęła go. W tej chwili nic innego dla niej nie istniało. Widziała pragnienie w jego oczach, słyszała jego przyspieszony oddech. A jego pragnienie i oddech były niczym innym tylko jej pragnieniem i oddechem. Jego oczy znajdowały się tak blisko niej, że ich rzęsy niemal dotykały się. Poczowała, jak palce Jake'a zaciskają się na jej ramieniu. Drżące palce obejmowały drżące ramię.

Nie spuszczał oka z jej twarzy nawet na chwilę. Kiedy całował ją znowu, tym razem miażdżył jej usta z taką gwałtownością, że ich zęby stykały się ze sobą, jej język dotykał jego języka. Całował ją wciąż i wciąż - jej włosy, twarz, szyję, mrużąc przy tym przez cały czas:

- Jill, kocham cię... kocham cię... naprawdę tak cię kocham.

Objęła go za szyję, dotknęła tyłu jego głowy, krótkich, czarnych włosów, uszu, ramion. Usłyszała obcy płacz i przez jakiś czas nie uświadamiała sobie, że wychodzi z jej własnego gardła.

Przyłgnęli do siebie rozpaczliwie, bezradnie, zagubieni i pogrążeni w sobie. Jego ramiona przyciągały ją mocniej do siebie, a potem nagle puścił ją. Chwilę później wstał i odszedł w stronę brzegu morza.

Jill wpatrywała się w niego, serce łomotało jej dziko w piersiach, oczy miała szeroko otwarte z nadmiaru wrażeń.

W połowie drogi do wody Jake odwrócił się i spojrział na nią. Obserwowała jego wysoką sylwetkę, kiedy mówił.

- Nie... nie muszę się z tobą kochać. Nie muszę - wyrzucił w górę obie ręce i zaczął iść z powrotem w jej kierunku.
- Facet nie dziedziczy takiego rodzaju opanowania, ale ciężko na nie pracuje - wskazał na swoją pierś. - Ja wiem jednak, jakie to jest ważne - znowu odwrócił się do niej - i wiem - zawołał do tyłu przez ramię - że myślisz, że wyciągnąłem cię tutaj, aby się z tobą kochać, ale to nieprawda - odwrócił się znowu - nie zrobiłem tego po to.

Oczy Jill błyszczały w świetle ogniska, kiedy patrzyła na Jake'a spacerującego po piasku wzdłuż linii wody.

Wyciągnął rękę w jej stronę i wskazał palcem.

- Widzisz, że nie mam koca, prawda? Gdybym miał zamiar zaaranżować taką sytuację, wziąłbym ze sobą koc, czyż nie? - rozłożył ręce. - Kochanie się na piasku jest jak kochanie się pod prysznicem. Brzmi to romantycznie, dopóki nie spróbujesz a potem odkryjesz, dlaczego Bóg stworzył łóżka.

Roześmiała się.

- Jake, co ci się stało?

Podchodząc do niej znowu, padł nagle na kolana i wziął jej twarz w swoje dłonie.

- Umieram, umieram dla ciebie, Jill - patrzył na nią sfrustrowany. - Pragnę cię tak bardzo, naprawdę. Czuję, że umieram.

Uśmiechając się, przytuliła go do siebie.

- Nie umieraj - wyszeptała, głaszcząc go po przystrzyżonych baczkach - jeśli umrzesz, to kto zabierze mnie w przestrzeń kosmiczną?

- Jill, pragnę cię tak bardzo, że nie mogę myśleć o niczym innym.

Kiedy mówił, Jill położyła się na miękkim, białym piasku i przyciągnęła go, aby położył się obok niej.

- Powiedz mi - wymamrotała - czy to prawda z tym prysznicem... i piaskiem.

- Tylko z prysznicem - spojrzał jej w oczy. - Kłamałem o piasku, albo tak mi się wydawało. Tak naprawdę to nie wiem, jak to jest. Nigdy nie kochałem się w mojej piaskownicy, a kiedy z niej wyrosłem, nigdy nie miałem okazji spróbować.

- Czyżbyś nie był starym, doświadczonym pilotem? - ręką spoczywającą lekko na jego piersi mogła czuć, jak szybko bije mu serce. Przytuliła jego twarz do **swojej** i pocałowała go namiętnie w usta. Potem jej usta wędrowały po jego brodzie, oczach, aż zaczęły całować jego ucho.

Czuła jego oddech na swojej szyi.

- Czy nie czujesz podświadomie, że po to cię tu przywiozłem? - spytał głosem szorstkim od pożądania.

- Nie wiem - odpowiedziała zamroczonego bliskością. - Czy to ważne? Istotniejsze jest to, że jesteśmy teraz tutaj pod tym pięknym niebem, obok cudownego oceanu, na piasku, który Bóg stworzył dla ludzi, którzy zapomnieli o kocu - spojrzała na niego oszołomiona - i tuż obok autostrady, na której nikt się nie zatrzyma, aby na nas patrzeć, nawet policyjny patrol.

Jake podniósł się na kolana i odruchowo rozejrzał wokół siebie. Spojrzał na wydmy obok autostrady, które dawały im schronienie. Potem stanął na stopach, patrząc wciąż na twarz Jill i wyciągając dłoń w jej kierunku.

Chwyliła jego rękę, usiadła a potem wstała. Spacerowali razem po wydmie, trzymając się za ręce. Jake zdjął koszulę i rzucił ją na piasek. Jego twarz przybrała dziwny wyraz, kiedy powiedział:

- Czy nie sądzisz, że w każdym trzeba się zakochać dwa razy, Jill?

Usiadła na piasku, wciąż ściskając jego dłoń.

- Nie wiem, dlaczego pytasz? - rzuciła okiem na jego długie, silne, pięknie ukształtowane ramiona.

- Ponieważ dwa wspomnienia są lepsze niż jedno - wyszeptał łagodnie, siadając obok niej.

Przymknęła oczy i starała się poczuć świat, który ją otaczał. Docierał do niej śpiewny szum morza, jasne błyski ognia tańczyły pod jej powiekami. To było takie doskonałe uczucie. Naraz spojrzała w jego oczy i zobaczyła, że są ciemniejsze i bardziej błękitne niż były kiedykolwiek, kiedy się w nią wpatrywał. Wtedy on schylił się i delikatnie pocałował płatek jej ucha. Wiedziała, że od tej chwili będzie go pożądać nie mniej niż on jej. Zauroczył ją po prostu bardziej niż uważała, że to kiedykolwiek będzie możliwe. Poczula nagły strach i starała się powrócić do przytomności.

- Tak bardzo cię pożądam, Jill - pocałował ją w usta.

- Tak bardzo cię pragnę.

Na próżno starał się opanować swoje zmysły. Patrzyła, jak on pozbywa się swojego ubrania, a jego ciało połyskuje w świetle księżyca, odbijającym się od wody.

I nagle Jake zaczął się szybko ubierać, założył koszulę i zapiął spodnie. Była pewna, że stało się coś strasznego, ale nie wiedziała co.

- Jake! - rozejrzała się wokół. - Co się stało?

- Nie mogę tego zrobić, Jill i nawet nie mogę wyjaśnić dlaczego. Może czas na to jest nieodpowiedni, nie wiem - nadal poruszał ustami, ale nie słyszała już innych jego słów. Kopnął nogą piasek i poszedł w stronę wody.

Niczego nie rozumiała, targana pożądaniem i namiętnością we własnym wnętrzu a potem zaczęło się jej wydawać, że

pojmuje. Była tak rozplamieniona jego pieśczołami, że nie znalazła chwili czasu, żeby pomyśleć o konsekwencjach wszystkiego, czyli o locie. Jake był w stanie odejść od niej, był w stanie powstrzymać się i wziąć pod uwagę to, co mogło się wydarzyć później. Był tak bardzo silny. W jednej chwili pokochała tę jego siłę i zaczęła jej nienawidzić.

Podszedł do niej i zrozumiał jej rozdrażnienie. Wolno pokiwał głową z lewa na prawo a potem przyklęknął i wziął jej twarz w swoje dłonie. Z półuśmiechem rzekł:

- Czy wiesz, że dotąd nie zalecaliśmy się do siebie? - chwycił jej dłoń. - Czekałem cały rok, żeby poznać Jill Danbury. Teraz mam zamiar to zrobić. Chcę cię poznać, Jill. Kiedy wrócimy na ziemię, będziemy o sobie wiedzieć wszystko, co najważniejsze. Obiecuję.

Objął ją mocno, przyciągnął do siebie i pocałował, ale nie był to namiętny, a raczej przyjacielski pocałunek. Po chwili wypuścił ją z objęć, wziął za rękę i poprowadził w stronę samochodu.

- Wiesz, nigdy nie przypuszczałem, że potrafię się tak kontrolować - przyznał niespodziewanie nieśmiałym głosem. - Zaskoczyłem dzisiaj sam siebie. Naprawdę - pokiwał głową.

Jill nie była w stanie odpowiedzieć, chociaż nikły uśmiech zaigrał na jej wargach. Kochała go i wiedziała, że będzie go kochać zawsze i, prawdę mówiąc, ją także zaskoczył.

Wziął głęboki oddech i westchnął.

- Zapomniałem o ognisku. Muszę wrócić i wygasić je. Wrócę za chwilę.

Serce dudniące w jej piersi uspokoiło się w końcu i przestała czuć ucisk w żołądku. Wiedziała jednak, że inny ogień, który rozpalił się na tej plaży nigdy nie zgaśnie. Będzie trwał przez całe jej życie.

Rozdział VI

Nadeszła chwila odliczania. Oboje astronauty ubrani w jednakowe skafandry, lekkie i wygodne, byli przygotowani do startu. Wahadłowiec „Wenus” połyskiwał złotymi kolorami. Jake zjadł solidne śniadanie o piątej rano. Jill wypila tylko szklankę soku pomarańczowego, a i do tego musiała się zmusić. Była pierwszą Amerykanką wylatującą w przestrzeń kosmiczną i nie była w stanie przełknąć niczego, nawet najmniejszego kęsa. Jej uczucia niepokoiły ją. Chciała na tyle uspokoić zgielk, który panował w jej głowie, żeby chociaż nie przeszkadzał jej w działaniu. Wszystko szło dosyć łatwo.

Wczesnym rankiem do ich piersi przymocowano przewody, żeby lekarz wojskowy mógł śledzić pracę ich serc. Jill zastanawiała się, co się stanie, jeżeli wykres na monitorach w centrum kontrolnym będzie wykrzywił się w rytm skurczów jej żołądka. Cokolwiek jednak pokazywał biomedyczny telemetr, musiało to być możliwe do przyjęcia, bowiem lekarz nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń.

Praca Jill podczas startu była o wiele łatwiejsza niż Jake'a, który siedział właśnie zajęty ostatnimi przygotowaniami. Oblizując usta, rzuciła na niego krótkie spojrzenie.

Znalazł chwilę czasu, żeby spojrzeć i mrugnąć do niej okiem. Pewność siebie, jaka z niego emanowała, odeгнаła nudności pojawiające się w ostatnich minutach przed startem.

Czternaście pakunków składających się na wyposażenie radaru meteorologicznego razem z różnymi innymi urządzeniami zostało ulokowanych w tylnej części wahadłowca.

Nagle zaczęło się odliczanie. Do startu została jedna minuta. Jill spojrzała szeroko otwartymi oczami na Jake'a, który siedział za stołem sterowniczym z rękami spoczywającymi bez ruchu i oczami wpatrzonymi prosto w światła kontrolne, które migotały jak szalone.

Minęło pięćdziesiąt sekund i nadeszła ostatnia chwila. Wydawało się, że te ostatnie sekundy mijają najwolniej.

Dziesięć. Wszystkie miesiące ćwiczeń w Houston, Nowym Meksyku, Kalifornii, tutaj w Cape, wszystkie te wypełnione zajęciami godziny, tygodnie, miesiące i lata skupiły się w tej jednej chwili. Jill przypomniała sobie, jak po raz pierwszy znalazła się wśród tych wszystkich skomplikowanych urządzeń i myślała wtedy, że nigdy się w nich nie rozezna ani nie nauczy się nimi posługiwać. Jednak zrobiła to.

Dziewięć. Kiedy to wszystko się zaczęło? To pragnienie, aby wejść do programu badania przestrzeni kosmicznej. Ściągając brwi, przypomniała sobie przerażenie, jakie czuła jako nastolatka w 1969, kiedy jak urzeczona siedziała przyklejona do telewizora i z zapiętym tchem oglądała pierwsze lądowanie człowieka na powierzchni Księżyca. Jednak to wszystko zaczęło się jeszcze wcześniej, o lata wcześniej, kiedy wychodziła z domu i obserwowała planety wolno wędrujące po niebie nad Colorado. Chciałabym to zrobić, szeptała wtedy do siebie, chciałabym to zrobić pewnego dnia.

Osiem. Jej rodzice byli zdumieni tego dnia, kiedy przyszła do domu i radośnie oznajmiła, że została przyjęta do programu badania przestrzeni kosmicznej. Jej matka zbladła i wyszeptała:

- Nie zamierzasz chyba polecieć na Księżyc czy coś w tym rodzaju, prawda?

Jill skinęła wtedy głową i uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że polecę.

Bud powiedział:

- Na Boga! - tylko to jedno słowo. - Na Boga!

Ojciec nie rzekł nic, był zupełnie milczący. Pierwszy raz w swoim życiu zobaczyła, jak słowa ugrzęzły mu w gardle.

Siedem. Pierwszego dnia, w którym rozpoczęła aktywne treningi, spotkała Jake'a. Zobaczyła go z pewnej odległości, ale już wtedy wiedziała, że był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Popatrzył wtedy na nią śmiało, przez krótką chwilę nie mógł oderwać od niej swoich błękitnych oczu, potem odwrócił wzrok. Został jednym z jej nauczycieli. Od swoich uczniów wymagał twardej samodyscypliny. Jill uważała, że jest bardzo zdyscyplinowana wewnątrz może z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy w grę wchodził Jake. Nigdy nie mogła całkowicie pozbyć się pragnienia, aby wyciągnąć rękę i dotknąć jego pięknych, czarnych włosów.

Sześć. Przez ponad dwa lata pracowitych wysiłków, dwa lata żmudnych ćwiczeń udało jej się trzymać go z dala od jej prywatnego życia. Miłość do niego została zepchnięta do najciemniejszych zakamarków jej serca. Jednak zaczęła myśleć bardziej wszechstronnie. Nie mogła już dłużej skupiać się wyłącznie na roli, jaką odgrywała jako kobieta-astronautka. Zaczęła się wyłaniać z niej prawdziwa kobieta.

Pięć. Ku przerażeniu Jill kobieta pokonała w niej astronautkę tej nocy, kiedy pojechał z Jake'm do jego ślicznego domu na północnych przedmieściach Houston. W jego ramionach odkryła, że istnieją dwie drogi, aby wydostać się poza granice Ziemi. Dwie drogi... dwa sposoby.

Cztery. Wiedza Jill pogłębiała się, ona sama nabierała pewności siebie na polu meteorologii. Jej determinacja wzrosła do tego stopnia, że została jedną z osób mających lecieć do Stacji Kosmicznej „Wenus” i przeprowadzić tam badania meteorologiczne. Nie pozwalała na to, aby jej prywatne sprawy przeważały nad jej obowiązkami. Jej giętki, zdolny umysł osiągnął mistrzostwo w dziedzinie, którą się zajmowała - i zdecydowała się.

Trzy. Jill zadrżała.

Dwa. Wszystkie myśli zaczęły powoli znikać. Poczła odrętwienie, paraliżujący strach.

Jeden. Nadeszła chwila, dla której żyła. Usłyszała ryk głównych silników. Obserwowała ruchy ręki Jake'a. Jego oczy były wpatrzone w tablicę rozdzielczą, potem w przednie okno. Wszystko zaczęło znikać w tyle. Niezmierzony błękit przybliżał się. Usłyszała głos dobiegający ze słuchawek znajdujących się wewnątrz jej hełmu.

- Startujecie. Opuściliście wyrzutnię. Wszystko działa dobrze.

- Kontrola. Tutaj wszystko w porządku - odpowiedział natychmiast Jake.

Niebo było tak niebieskie. Po minucie osiągnęli szybkość trzech tysięcy stóp na sekundę, co było widać na szybkościomierzu. Jake zwolnił nieco pracę silników.

- Jill? - zawołał Gerald Meadows z odległości tysiąca stóp poniżej. - Jesteś tam?

- Jestem tutaj - odpowiedziała o wiele silniejszym głosem niż myślała, że będzie w stanie.

Po dwóch minutach lotu silnik pomocniczy oddzielił się od wahadłowca i Jill mogła już być pewna, że naprawdę wylecieli. Wszystko pracowało dobrze.

Po czterech minutach usłyszała wiadomość, której spodziewała się w tym czasie.

- Stacja kontrolna do „Wenus”, wkrótce opuścicie ziemską atmosferę. Odbiór.

- Kontrola - odpowiedział Jake. - **Zrozumieliśmy.** Wkrótce opuścimy ziemską atmosferę.

Od tej chwili nie mogli już zawrócić.

Jake zerknął na Jill.

- Kochanie, zostaliśmy powierzeni nieznanej, błękitnej przestrzeni - powiedział z uśmiechem.

Odwzajemniła jego uśmiech i skinęła głową.

Nagle zapaliły się światła na pomocniczym urządzeniu przeznaczonym do rozmów prywatnych. Jake nacisnął dwa przyciski i powiedział z nutką obawy w głosie:

- Słucham.

- Jake - powiedział Harrison Taylor. - Pamiętaj o tym, że świat słucha ciebie i Jill. Spróbuj zwracać się do niej dr Danbury lub przynajmniej Jill, dobrze?

- Harrison, przepraszam za to przejęzyczenie.

- W porządku. Wracamy na główne łącza.

Wyłączając przyciski, Jake popatrzył zakłopotany na Jill przez krótką chwilę i zajął się pilotowaniem wahadłowca.

Odłączył się główny silnik a następnie oddzielny, zewnętrzny zbiornik paliwa i z prędkością dwudziestu tysięcy mil na sekundę wahadłowiec opuścił ziemską atmosferę i znalazł się w przestrzeni kosmicznej.

Siedem godzin później po pięciokrotnym okrążeniu ziemi po owalnej orbicie, Jill zobaczyła Stację Kosmiczną „Wenus”, która wyglądała jakby była zawieszona nieruchomo w całkowitej ciemności. Nie знаła słów na opisanie wrażeń, jak ich doznała od chwili startu. Kolory były oszłamiające - turkusowe morza, wielokolorowe obszary lądu, białe połacie na biegunach, wysokie, drobne chmury, które czasami całkowicie zasłaniały widok. Zdjęcia nie oddawały całego piękna Ziemi. Prawdę mówiąc, dla Jill był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziała w swoim życiu.

Czternaście dni spędzone na stacji wydawały się niemal wiecznością i jednocześnie wydawały się trwać jedną chwilę. Prawie bez przerwy byli zajęci oprócz godzin przeznaczonych na jedzenie i sen. Ćwiczenia w stymulatorze próżniowym przygotowywały ją do trudności przebywania w stanie nieważkości, w którym człowiek porusza się jak pod wodą. Nie czuła się jednak do końca przygotowana. Dzień po dniu wykonywali różne badania zgodnie z planem. Były to skomplikowane, szczegółowe testy, które miały rozszerzyć ludzką wiedzę na temat warunków atmosferycznych przyczyniających się do powstawania klęsk żywiołowych, takich jak huragany, tornada, trzęsienia ziemi, tajfuny.

Jedenastego dnia ze stacji został wystrzelony mały satelita, który miał dokładniej ocenić wielkość ozonowej warstwy

ochronnej w atmosferze i określić rozmiar zagrożeń dla człowieka, jakie mogło stworzyć zmniejszenie się tej warstwy.

Owej nocy po wieczornym posiłku, który jedli w wyjątkowych warunkach, w których nie istniała siła ciężenia, ze stopami przymocowanymi do podłogi, aby utrzymać pionową pozycję pomagającą w trawieniu, Jill powiedziała:

- Nie wiem, czy jeszcze kiedyś uda mi się z powrotem dostosować do siły ciężenia.

- Czy obawiasz się powrotu? - spytał Jake, spoglądając na nią uważnie.

- Tak, pewnie tak - przyznała bez większego wahania. - Oczywiście nigdy tego nie zapomnę. To jest doświadczenie, które przyćmiewa wszystkie inne doświadczenia, ale myślę, że przebywanie tutaj pozwala mu uświadomić sobie, jak bardzo kocham Ziemię... i grawitację - dodała z uśmiechem.

- Czy to jest tego warte, Jill? Trzy lata intensywnych ćwiczeń, psychicznej i fizycznej męczarni. Czy warto było?

Skinęła powoli głową.

- Myślę, że tak. Nie wiem, czy do tego wrócę, Jake, ale nie żałuję - przyglądała mu się przez chwilę. - Ty wrócisz, prawda?

- W każdej chwili. To moja praca. To jest moje miejsce. Jestem pilotem i będę latał, dopóki nie zestarzeję się tak bardzo, że przestaną mieć do mnie zaufanie.

Jill roześmiała się.

- To jest coś, do czego można dążyć - żeby zostać pierwszym astronautą-staruszkiem.

Zaśmiał się i zasalutował, jednak ruchy jego były bezwładne.

- Czy chcesz zobaczyć, jak wygląda pocałunek w stanie nieważkości? - spytał nagle. - Byłby to najbezpieczniejszy pocałunek, jaki kiedykolwiek otrzymały te piękne usta.

Otworzyła szeroko oczy. Chociaż nie byli w tej chwili połączeni z ziemską stacją kontrolną, wiedziała, że każde słowo, jakie powiedziało któreś z nich było nagrywane i będzie poddane dokładnej analizie.

- Czy chcesz? - Jake domagał się odpowiedzi.

Zdecydowała się nie mówić nic głośno. Niech się zastanawiają. Uśmiechnęła się jednak i skinęła potakująco głową.

Jake wstał od stołu, wysunął stopy z uchwytów i skierował się w jej stronę. Kiedy przestał trzymać się balustrady przy stoliku, popłynął przez kabinę i odbił się od ściany.. Z wyrazem szczerzej determinacji na twarzy wystartował ponownie w kierunku Jill. Stał blisko przy ścianie, aby oprzeć się i wyprostować.

Jill odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

Chwilę później usta dotknęły jej ust. Jill wsparła się mocno ramionami.

Ten pocałunek podobny był do wszystkich innych jego pocałunków - ciepły i wspinały.

Odchylił głowę do tyłu i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Kocham cię - powiedział bezgłośnie. Potem pochylił się do przodu i pocałował ją znowu.

Trzy dni później zaczęli już wracać na ziemię i ze stacji kosmicznej znowu zniknęło ludzkie życie. Jill nie mogła zrozumieć, dlaczego przytłaczają ją melancholijne nastroje. Przez czternaście dni wykonywała swoją misję. Nie popełniła żadnych błędów ani żadnych głupstw. Było trochę luźnych rozmów pomiędzy nią i Jakem, ale w bardzo ograniczonym zakresie, tak sztywny był przydzielony im plan prac, Jeden pocałunek, jedno bezgłośnie „kocham cię” i to wszystko. Załadowali na wahadłowiec sprzęt, który mieli zabrać z powrotem i przygotowali się do powrotu na Ziemię.

Serce Jill zaczęło łomotać niespodziewanie. Zastanawiała się, gdzie będzie miejsce dla Jake'a w jej życiu, kiedy lot się skończy? W tych dniach, kiedy byli razem wierzyła, że stworzyli wspólną podstawę dla ich miłości, ale nie mogła być tego do końca pewna, dopóki bezpiecznie nie wylądują z powrotem na Ziemi. Nie mogła nic poradzić na to, że była trochę sceptyczna. Nagle poczuła do siebie niechęć. Robiła coś, czego nie znosiła - przekraczała mosty, zanim w ogóle zbliżyła się do nich.

Od chwili startu odkryła dwie ważne rzeczy. Kobiety rzeczywiście miały teraz pełnoprawne miejsce w badaniach przestrzeni kosmicznej, było to coś, w co wierzyła od samego początku. Możliwość, która się pojawiła, została w pełni wykorzystana. Jill była zadowolona ze sposobu, w jaki odegrała swoją rolę. Przekonała się także o tym, że nigdy nie będzie szczęśliwa bez Jake'a. Nigdy. Przez czternaście dni żyła z nim w niezwykłych warunkach i kochała każdą minutę spędzoną razem a jednocześnie bała się, że to wszystko się skończy. Chciała, żeby byli razem na ziemi. Nie czuła się jednak pewna tego, czy zamiary Jake'a były poważne. Nie wspominał o małżeństwie. Ta uwaga na plaży o zalotach najlepiej określała jego pragnienia. Spojrzała na niego i zobaczyła, że przygląda się jej badawczo.

- O czym myślisz, Jill? - zapytał łagodnie.

Potrząsnęła głową, na próżno próbując chociaż lekko się uśmiechnąć. Wiedziała, że wszystkie ich rozmowy są słyszalne przez innych ludzi i nie miała zamiaru odkrywać swoich uczuć przed całym światem.

Rękaw rękawicy chwycił jej dłoń i położył delikatnie na swojej nagiej, otwartej dłoni. Czule zacisnął palce, po czym rozluźnił uścisk.

Jill uznała, że niemożliwe jest przewidzieć, co będzie się działo w nadchodzących dniach. Zupełnie niemożliwe. Pownowne przystosowanie się może być bolesne, nie kończące się badania, jedna sesja za drugą. Nie skarżyła się jednak. Wybrała to sama, nikt inny nie wybierał tego za nią.

Kiedy weszli z powrotem w ziemską atmosferę nad Oceanem Spokojnym i skierowali się w stronę lądowiska w Nowym Meksyku, Jill ledwo słyszała komendy dochodzące do wahadłowca z monitorów centrum kontrolnego. Ledwie mogła dostrzec niebieskie niebo i biały piasek rozciągający się wzdłuż lądowiska.

Poczuła wstrząs. Została wciśnięta w fotel, potem oparła się mocno o pasy bezpieczeństwa, kiedy podwozie wysunęło się i koła dotknęły ziemi. W końcu wyprostowała się na

fotelu, zerknęła w boczne okno i zobaczyła dwa małe samoloty jadące po pasie obok nich.

I wtedy zobaczyła to - tłum taki wielki, że aż otworzyła usta w zdumieniu. Pół świata czekało na końcu pasa startowego. Spojrzała oszołomiona na Jake'a.

- Widzisz to?

Kiwnął głową nie przerywając wyłączania silników.

- Jill! - donośny głos dobiegł z głównych głośników.

- Tak - odpowiedziała i natychmiast poprawiła się.

- Stacja kontrolna, tu Jill.

- Pani astronautko, twoi wielbicielcy czekają - wygłosił Harrison Taylor prosto do jej ucha.

- Widzę ich - wymamrotała. - Skąd oni wszyscy są?

- Najwyraźniej z całego świata. Dobrze się czujesz, Jill?

- odchrząknął i tym razem sam się poprawił - dr Danbury?

- Tak - zdołała wyszeptać. Znowu nie czuła żadnego ciężaru.

Silniki zwolniły obroty, aż w końcu zatrzymały się. Oboje siedzieli w kabinie bez ruchu, kiedy pojazdy służące do rozładowywania toczyły się w kierunku wahadłowca. Żadne z nich nie uśmiechało się. Popatrzyli na siebie, a potem spojrzeli przez okno na tłum napierający za pojazdami.

Jill spojrzała znowu na Jake'a, ale zaraz tego pożałowała. Wyraz jego twarzy przez chwilę zupełnie sparaliżował jej serce.

- Wyjdź pierwszy, Jake - wyszeptała.

Powoli potrząsnął przecząco głową.

- Nie, Jill, to nie tak ma być. Jak to trafnie powiedział Harrison: „Pani astronautko, twoi wielbicielcy czekają”.

Wpatrywała się w niego w całkowitym oszołomieniu. Poczowała w tej chwili, że Jake odtrącają, całkowicie i zupełnie. Jego ciemnoniebieskie oczy były zimne i nieobecne.

Kiedy boczny luk wahadłowca otworzył się, ktoś głośno wykrzyknął:

- Hej, czy ktoś tam z góry zejdzie na dół?

Jill rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie na Jake'a, zanim odpowiedziała przygaszonym głosem:

- Tak, już schodzę.

Kiedy odpinała swoje pasy i powoli wstawała, w głębi swojej duszy wiedziała, że właśnie tej chwili się obawiała. To dlatego nie mogła się cieszyć w drodze powrotnej na Ziemię. Wiedziała, że teraz ta chwila nadeszła - była już na Ziemi. Zdarzyło się to, czego się obawiała.

Z tą myślą w głowie zeszła powoli na dół.

Rozdział VII

Następne dziesięć dni były jednocześnie szczęściem i koszmarem. Odprawa po przylocie zdawała się nie mieć końca. Na parę astronautów spadł dosłownie potok konferencji, filmów, badań lekarskich, testów psychologicznych, spotkań z najróżniejszymi departamentami w celu oceny badań i otrzymania zleceń. To był koszmar. Szczęściem natomiast było to, że wszystkie te spotkania odbywały się w ośrodku badań kosmicznych. Nie dopuszczano tutaj świata zewnętrznego. Nie było konferencji prasowych, fotografów ani dziennikarzy.

Misja została uznana za pełny sukces. Była ambitną i ważną częścią w całym programie badań kosmicznych. Niemniej jednak czternaście dni spędzonych w kosmosie nie przeszły bez śladu dla Jill. Nawet po codziennych ćwiczeniach, długi okres przebywania w stanie nieważkości podczas podróży pozostawił ślad w postaci utraty pewnego stopnia napięcia mięśni w kończynach. Przyszło teraz zapłacić za przebywanie przez długi czas w stanie nieważkości, obsługiwane wszystkiego przez czternaście dni w takich warunkach, jakby się przebywało pod wodą. Dotarło to do Jill bardzo wyraźnie pierwszego dnia, kiedy siedziała razem z Jacke'm przy stole konferencyjnym i mówiła, pokazując coś ołówkiem na mapie. Gdy przestała opowiadać, zostawiła ołówek w powietrzu myśląc, że zostanie tam do czasu, kiedy sięgnie po niego znowu. Kiedy ołówek szybko spadł na dół, straciła na chwilę orientację i siedziała wpatrując się w niego, zdziwiona, dlaczego spadł. Potem oczywiście uświadomiła sobie, co się działo i poczuła się głupio.

Siedzący naprzeciwko niej Jake uśmiechnął się wtedy przelotnie.

- To nasza dobra planeta - Ziemia, Jill. Na Ziemi mamy grawitację. Ołówek nie popłynie - powiedział łagodnie.

Zakłopotana zasłoniła jedną ręką oczy, aby nie musieć patrzeć na zerkających na nią luda siedzących wokół stołu.

Jak doskonale był Jake od czasu powrotu. Żadnej pomyłki, żadnego błędu. Czternaście dni spędzonych w laboratorium kosmicznym nie wywarło na nim większego wpływu niż długa podróż po kraju. Był chłodny i nieobecny, odzywał się do niej tylko wtedy, kiedy musiał. I ciągle wokół niego gromadził się dum ludzi. Zaczynała myśleć, że już nigdy nie będą ze sobą sami, nie dlatego, żeby to miało mieć jakieś znaczenie. Zastanawiała się, dlaczego tak ją traktuje od czasu lądowania. Była tym głęboko wstrząśnięta.

Ósmego wieczora po powrocie siedziała z Paulem Tiptonem w świetlicy, w ośrodku badań kosmicznych. Wiedziała, co miało nadejść. Za dwa dni po raz pierwszy od czasu powrotu miała pokazać się publicznie. Tak wiele rzeczy wydarzyło się tak szybko, że po prostu nie wiedziała, czy jest gotowa na spotkanie z tak wielką ilością ludzi.

Paul obserwował ją uważnie, bębniąc palcami po szklance z piwem imbirowym.

- O czym myślisz, Jill? - spytał w końcu.

- Nie wiem - odpowiedziała.

- Jake jest gotowy. Prawdę mówiąc, nie może się doczekać rozpoczęcia uroczystości.

- Jestem pewna, że tak jest.

Paul przysunął swoje krzesło bliżej do Jill i nachylił nieco głowę w jej stronę.

- Nie miej mi tego za złe, Jill, nie chodzi mi o to, żeby cię przygnębić wizją kilku nadchodzących tygodni. Chcę cię tylko do tego przygotować. Poza tym to jest moja praca.

- Jill spojrzała na niego i uświadomiła sobie, jak niezwykle wyraz mają jego ciemne oczy. Paul Tipton zawsze wydawał się być na luzie, zupełnie swobodny. Patrząc na niego dzisiaj, uświadomiła sobie, że jest nawet przystojnym

mężczyzną, ale nie tak atrakcyjnym jak Jake. Patrzyła na niego zupełnie bez emocji.

- Jill, jest coś, co powinnaś wiedzieć - poruszył się niespokojnie na krześle.

- Co takiego, Paul? - spytała cicho.

Postawił szklanke na stoliku stojącym przy jego krześle i rozłożył dłoń w bezradnym geście.

- Dużo ludzi czeka na ciebie - pogładził ręką włosy z jednej strony głowy. - Po prostu nie ma sposobu, żebyśmy mogli sprostać wszystkim prośbom, musimy więc zrobić selekcję i wybrać najważniejsze. Jutro pojedziesz do Nowego Jorku na paradę - przerwał, a Jill skinęła głową. - Potem masz spotkanie w Białym Domu z prezydentem, a następnego dnia występujesz w Kongresie.

- Wiem o tym wszystkim, Paul - powiedziała obojętnie. - Wiedziałam o tym, zanim poleciliśmy. Przeglądałam ten plan dziesiątki razy - skierowała oczy w jego stronę. - Co próbujesz mi powiedzieć, Paul?

Wzruszył ramionami.

- Na przyjęciu będzie dużo ludzi.

- I co z tego?

- Zachowywał się tak głupio, było to zupełnie do niego niepodobne.

Nadał policzki, po czym zrobił długi wydech.

- No więc, kiedy oboje okrążyliście Ziemię, w prasie pojawiło się wiele artykułów, jak wiesz. Pisali o tobie, o twoim rodzinnym mieście, prosili nawet twoich rodziców o powiedzenie kilku słów.

Jill skinęła głową.

- Wiem. Rozmawiałam parę razy z moimi rodzicami. Mówili mi o tym, ale co to ma do rzeczy? Moja rodzina nie chce uczestniczyć w żadnych uroczystościach. Chcą po prostu czekać na ranczo przez te parę tygodni aż przyjadę do domu.

Paul przechylił lekko głowę.

- No więc, pojawiały się artykuły nie tylko na twój temat. Jeden z nich był zatytułowany: „Porzucona dziewczyna”.

Jill wyprostowała się i wolno odwróciła głowę.

- Co takiego?

Paul kiwał głową.

- No tak, wzbudził bardzo duże zainteresowanie... - głos Paula umilkł.

Jill przebiegła myślami wstecz. Czyżby napisali artykuł o Gail, jej zastępczyni? Jakie to niezwykle i pomysłowe!

- O Gail? - spytała.

- Nie, nie o Gail. O Helenie Anderson.

Z jej oczu powiało chłodem.

- Dlaczego?

Paul pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Tak naprawdę to nie było nic takiego, po prostu jakieś plotki na temat Jake'a i Heleny. Jednak informacje te przyciągnęły tak wielu ludzi i wzbudziły taką ciekawość, że zaproszono ją na przyszłe uroczystości.

Jill wstała powoli, a jej chłodne spojrzenie obiegło najpierw cały pokój, zanim spoczęło w końcu na Paulu. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej nieoczekiwanej wiadomości. Nie była w stanie jednak ukryć przed nim, jak bardzo jest wstrząśnięta. Powiedziała z wymuszoną uprzejmością:

- Będzie weselej.

Nagle poczuła, że napięcie jej mięśni słabnie. Miała ochotę kopnąć ścianę albo powalić drzewo. Widziała Paula, jak przygląda się jej twarzy na swój zwykły, badawczy sposób.

Bez słowa podeszła wolno do drzwi, otworzyła je i wyszła. Po usłyszeniu trzasku zamykanych drzwi zaczęła wściekle potrząsać głową z jednej strony na drugą. Tego już było za wiele! Myśl o tym, że ta... ta telewizyjna aktorka miała zamiar uwiesić się na Jake'u jak pijawka, doprowadziła ją do szału. Do cholery! Zrób coś! Zacisnęła zęby. Zrób, co chcesz! Siedź sobie na jego cholernych kolanach na paradzie. Jeżeli świat czeka na odpowiedź ode mnie, dobrze, będzie ją miał!

Tej nocy spała pełnym złości, niespokojnym snem.

Z sercem pełnym nienawiści przetrwała dziewiąty dzień odpraw. Ani razu w ciągu całego dnia nie spojrzała w kierunku Jake'a Whitneya. Nawet na niego nie zerknęła. Rzeczywiście był jedynie mężczyzną, który towarzyszył jej w podróży kosmicznej, a kiedy wrócili, odszedł.

W czasie sesji siedziała z pełnym rezerwy, nieobecny wyrazem twarzy. Była cicha, odzywała się tylko wtedy, kiedy ją o to proszono. W wolnych chwilach myślała o tych czterestu dniach, które spędziła nad Ziemią. Z jakichś powodów tego dziewiątego dnia mogła przypomnieć sobie wszystko o wiele dokładniej niż zwykle. Pamiętała wyraźnie chwilę, w której wahadłowiec „Wenus” wznosił się ponad chmury. Wyglądało to tak, jakby byli wynoszeni w górę na skrzydłach ognia. Zobaczyła w wyobraźni światła, piękne, cudowne błyski, które wyniosły ich statek ponad ziemską atmosferę, wysoko ponad różnokolorowy krajobraz.

Uśmiechnęła się do siebie, wspominając, jak piękne było to wszystko, jak wspaniałe były wiecznie zmieniające się kolory i majestat szybowania w przestrzeni. To było jak koniec i początek świata. Przepływające wizje całkowicie pochłonęły jej umysł. Westchnęła głęboko i oparła się do tyłu na krzesło, mając w uszach głośny pisk, który wydały koła, kiedy z powrotem dotknęli ziemi.

Czuła spojrzenie Jake'a utkwione w jej twarzy, wypalające dziurę w jej policzkach. Nie spojrzała jednak na niego. Nic nie mogło jej do tego zmusić. Jeszcze do wczoraj był dla niej najważniejszy. Ważniejszy niż lot, ważniejszy niż ktokolwiek. Czekala cierpliwie, aż poradzi sobie ze swoją dumą. Teraz mówiła sobie, że to niema już żadnego znaczenia. Paul Tipton swoją ostatnią sensacyjną wiadomością zwrócił uwagę Jill na to, co najważniejsze. Być może tak powinno być od samego początku - lot jako najważniejszy, a Jake powinien być w takim miejscu, do jakiego pasował. Ostatecznie zrobiła coś, czego nie dokonała dotąd żadna amerykańska kobieta - została pierwszą astronautką, która poleciała w przestrzeń kosmiczną. Była pierwsza.

Poczuła nagle, że w niej samej wzbiera duma. Była dr Danbury, pierwszą amerykańską astronautką, która ukończyła z powodzeniem podróż kosmiczną. Jej oczy pojaśniały, zgarbione ramiona wyprostowały się. Była dumna z tego, co osiągnęła. Dumna.

W nocy po dziesiątym dniu miały odbyć się uroczystości w Houston. Były przeznaczone dla personelu Centrum Badań Kosmicznych. Prywatne przyjęcie miało poprzedzać inne publiczne imprezy. Rano polecili do Nowego Jorku. Pozwolono Jill iść do jej mieszkania późnym popołudniem. Odprawa po powrocie dobiegła końca.

Przez kilka minut chodziła z pokoju do pokoju. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak kiedy stąd wyjeżdżała. Jej osobiste rzeczy przyleciały już z powrotem z Florydy, ale wciąż tkwiły w samochodzie w bagażniku. Musiała je przynieść, ale nie chciała tego robić teraz. Teraz chciała odpocząć, rozejrzeć się trochę i wypić drinka z okazji, powrotu do domu.

Włączyła płytę Gershwin'a z łagodną, fortepianową muzyką i opadła nagle na sofę, zrzucając do połowy kombinezon i pozwalając swojej skórze oddychać w nagłym poczuciu swobody. Była sama. Nikt na nią nie patrzył. Nikt nie obserwował jej przez monitor, nie była przez nikogo oceniana. Była wolna.

Przeczesała obiema rękami swoje długie włosy i zapatrzyła się marzącym wzrokiem w sufit. Wydawało się, że od wieków nie miała chwili prywatności.

Właśnie kiedy myślała o tym, jak wspaniale jest być trochę samą, zadzwonił telefon. Sięgnęła poprzez sofę i podniosła słuchawkę w momencie, kiedy rozległ się drugi dzwonek.

- Halo - powiedziała spokojnie.
- Jill, tu Jake.
- Tak? - rzekła po chwili wahania.
- Czy chcesz, żebym wpadł i zabrał cię na dzisiejsze przyjęcie?

- Nie, nie chcę. Mam samochód. Przyjadę sama. Dziękuję.
- Dobrze. Chciałem po prostu cię zapytać - powiedział kończąc. - Do zobaczenia.

Usłyszała jęk, odłożyła słuchawkę, zanim zdołała odpowiedzieć. Pozostała na miejscu z brodą opartą na ramieniu wspartym o sofę i przez długi czas wpatrywała się w telefon. Dlaczego Jake zadzwonił? Musiał mieć jakiś powód. Przez dziesięć ostatnich dni zamienił z nią zaledwie parę słów a teraz, kiedy jest w domu niecałe dziesięć minut, telefonuje do niej. Dlaczego? Przez grzeczność? Potrząsnęła powoli głową. To nie miało dla niej żadnego sensu, ale jakie to miało znaczenie. Zabrało jej trochę czasu pozbieranie się po usłyszeniu, że Helena Anderson spotka się z nimi w Nowym Jorku i będzie razem z nimi brała udział w uroczystościach. To wymagało od Jill pewnego przedstawienia się. I teraz, kiedy już się z tym pogodziła, będzie przegrana, gdy pozwoli, aby znowu zamącił jej w głowie. Najwidoczniej Jake chciał, żeby Helena Anderson była obok niego. Nie był typem mężczyzny, którego można by zmuszać do robienia czegoś, czego sam nie wybrał i to było dla niej wystarczającym wyjaśnieniem.

Ku przerażeniu Jill telefon zadzwonił znowu. Będąc pewna, że to Jake, zapytała niskim głosem:

- O co chodzi tym razem?
- Jill? - usłyszała po krótkiej przerwie.

Odetchnęła. To był Paul Tipton. Teraz pewnie doniesie całemu światu o tym, jaki ona ma zwyczaj odpowiadania przez telefon.

- Cześć, Paul. Przepraszam. Wzięłam cię za kogoś innego.

- Mam nadzieję - odchrząknął. - Posłuchaj, jestem w Houston, więc może wpadłbym i zabrał cię na dzisiejsze przyjęcie?

Chciała stanowczo odmówić przyjęcia także tego zaproszenia, ale zanim zdążyła, Paul mówił dalej.

- Jest jeszcze parę spraw, o których musimy porozmawiać, a nie chciałbym zwracać ci nimi głowy na przyję-

ciu. Pomyślałem, że moglibyśmy omówić je w drodze, a jeśli o czymś zapomnimy - dokończymy to później. To tylko sprawy służbowe, Jill.

- Nie chciała, żeby po nią przyjeżdżał, ale nie chciała też, aby chodził za nią cały wieczór trajkocząc jej do ucha o tych czy innych sprawach dotyczących następnych dni.

- Dobrze, Paul - zgodziła się niechętnie. - O której godzinie mogę się ciebie spodziewać?

- Około siódmej. Może parę minut przed.

- Będę gotowa.

Po krótkiej chwili rozkoszowania się pierwszym świeżym powiewem wolności, nagle znowu wpadła w obowiązki. Prawie żałowała, że nie przyjęła pierwszego zaproszenia. Zaraz potem uświadomiła sobie, że nie prawie, ale na pewno tego żałowała.

Usiadła na sofie i zastanawiała się nad tym, czy jej życie jeszcze kiedyś będzie normalne, czy też lot zaprzepaścił wszelką możliwość prowadzenia jeszcze kiedyś zwykłego życia?

Tego wieczora postanowiła ubrać się starannie. Tylko jedna rzecz wprowadzała ją w lepszy nastrój. Był nią fakt, że jest to jedyne przyjęcie, na którym nie będzie tej biednej, „porzuconej kobiety”.

Przez trzydzieści minut moczyła się w ciepłej wodzie z pachnącymi olejkami i pianą. Zrobiła sobie manicure i wypolerowała paznokcie rąk i nóg. Uspokoiliła się zupełnie i nie spiesząc się wykonywała te wszystkie drobne czynności, których nie robiła już od dawna. Umyła dokładnie włosy, nałożyła na nie odżywkę i pozwoliła, aby same wyschły. Układały się lekko wzburzone wokół jej szyi i ramion. Potem na kilka minut nawinęła włosy na gorące wałki i uprzątnęła w tym czasie łazienkę i toaletkę. Po zdjęciu wałków z włosów, zajęła się wybieraniem sukni na wieczór. Przejrzała ich wiele, ale chciała wybrać najbardziej odpowiednią, może nieco śmielszą, a te bardziej tradycyjne zachować na publiczne spotkania. Tak długo nosiła kombinezony i skafandry

kosmiczne, że niemal zapomniała, iż ma piersi i inne okrągłości.

Wydawało się, że Jake także o tym zapomniał. Była oszołomiona, zła, wstrząśnięta i przerażona jego zachowaniem w stosunku do niej od chwili lądowania.

Podniosła jedną z sukienek na wysokość oczu i przyjrzała się jej bliżej, potem wzięła następną. Zastanawiała się, badała ręką materiał. Chciała dziś wieczorem założyć coś, co trafiłoby do serc wielu mężczyzn a także innych części ich ciała, czułych na kobiece sztuczki.

Podczas odprawy po przylocie w pełni poświęciła się odgrywaniu swojej zawodowej roli. Jednak dlaczego za sukces misji musiała płacić utratą mężczyzny, którego kochała? Dlaczego musiała go stracić? Dlaczego nie był szczęśliwy i zadowolony z niej, tylko ponury i rozgoryczony? Dlaczego? Nie mogła znaleźć w tym żadnego sensu. Może ta aktorka miała coś z tym wspólnego - a może nie.

Jej plan na wieczór był podobny do planu jej misji, precyzyjnie i zręcznie obmyślony. Ta noc nie mogła się skończyć, dopóki nie będzie miała Jake'a przy sobie, dopóki nie poczuje jego ciała drżącego obok niej, dopóki nie położy się przy niej nagi z błyskiem namiętności w oczach. Dopóki... dopóki... dopóki.

Do diabła z tobą, Jake! Wybuchnęła przenikliwym płaczem, który wypełnił pokój. Poruszała palcami w górę i w dół pomiędzy piersiami. Dzisiaj, wyszeptwała i pokiwała głową sama do siebie, powracając do przeglądania sukien. Dzisiaj.

Przymierzyła kilka, aż w końcu wybrała błyszczącą, wydekoltowaną suknię, działającą na wyobraźnię. Lśniący materiał lekko zmarszczony wokół talii sięgał do podłogi, czyniąc sylwetkę Jill bardzo wysmukłą. Patrząc na swoje odbicie w lustrze, zastanawiała się, czy nie wygląda zbyt wyzywająco. Prząd sukni podkreślał jej pełne piersi, duża ilość miękkiego materiału sprawiała, że nie były one aż tak bardzo wyeksponowane. Gdyby miała pecha, czytelnicy jutrzejszych gazet mogliby przeczytać nagłówek: „Astro-

nautka odsłoniła wszystko przed pracownikami Centrum Badań Kosmicznych".

Westchnęła i położyła ręce na biodrach. Do diabła z tym! To była suknia, którą wybrała i którą założy. Zaczęła wykladać pasujące do sukienki buty na niezbyt wysokim obcasie, gdy nagle zrzuciła je i sięgnęła po złote szpilki. W tych butach mogła być o głowę wyższa od Paula Tiptona i prawie równa z Jakem. Nie wiedziała, dlaczego coś tak głupiego mogło się liczyć, ale wiedziała, że ma to znaczenie.

Podchodząc do lustra, przyglądała się swojej twarzy z przyklejonym do niej dziwnym, podstępny uśmiechem. Patrzyła, jak uśmiech ten znika powoli i twarz znowu staje się zakłopotana i oszołomiona. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Stała, ciągle patrząc na siebie. Nagle poczuła się nie-swojo, zrobiło się jej miękko w kolanach. Jej uczucia były zdruzgotane, czuła się sfrustrowana. Nie wiedziała, dlaczego Jake zmienił się tak bardzo od powrotu na ziemię. Czuła to od tamtego czasu, ten chłód w stosunku do niej, to że odsunął się od niej zupełnie. Dlaczego tak się stało? Zaledwie kilka dni wcześniej, kiedy lecieli w przestrzeni, powiedział bezgłośnie poruszając ustami: „Kocham cię” Ona także go kochała - tak bardzo. Teraz wszystkie jej uczucia zostały zburzone, ból rozrywał ją z siłą tornada. To było tak, jakby na zewnątrz usilnie starała się okazywać spokój, podczas, gdy wewnątrz niej szalała burza.

Wciąż wpatrywała się w lustro, kiedy usłyszała dzwonek do drzwi. Drżąc lekko otworzyła drzwi i natknęła się na spojrzenie wylupiastych oczu Paula Tiptona.

- Jill? - już tylko w tym jednym słowie można było wyczuć dezaprobatę.

Jill nie przejęła się tym.

- Będę gotowa za sekundę, Paul.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Spytał lekko napuszony:

- Chcesz w tym iść?

Szybkim ruchem zwróciła ku niemu głowę.

- Nie wydaje mi się, żebym miała tę suknię trzymać na rękach, z pewnością będę ją miała na sobie - odpowiedziała szybko.

Paul podrapał się w swoje krótkie włosy tuż nad prawą skronią.

- Jill, nie wydaje mi się, żeby to była odpowiednia sukienka na dzisiejszy wieczór. Będzie tam cały personel wraz z żonami - przekonywał ją z lekkim wyrazem nagany na zafrasowanej twarzy.

- Do licha, Paul - powiedziała beztrąsko. - Przecież oni wszyscy są dorośli, widzieli z pewnością już wcześniej wydekoltowaną suknię, nie sądzisz?

Przemierzył pokój sztywnym krokiem i chwycił ją za ramię.

- Wiem po co to robisz, Jill. Nie zwiedzisz mnie, ale to nie jest nic dobrego.

Spuściła oczy i uwolniła się z jego uścisku.

- Jeżeli pójdę, to pójdę w tej sukni. Jeśli chcesz, żeby ta suknia została tutaj, ja też zostanę. Rozumiesz mnie, Paul? Jesteś kierownikiem biura prasowego, ale nigdzie nie jest powiedziane, że masz decydować o tym, jak ja mam się ubierać.

Nawet gdyby zmieniła zdanie na temat sukni, nie przyznałaby mu racji. Wydawało się teraz, że tylko dlatego chce ją założyć, aby pokazać Paulowi, że będzie mógł tylko na tyle ingerować w jej prywatne życie, na ile mu pozwoli.

Wzięła torebkę, potrząsnęła pogardliwie głową i ruszyła w stronę wyjścia. Zatrzymała się za drzwiami i poczekała na Paula, żeby zamknąć je na klucz.

Wzruszając ramionami powoli zamknął drzwi i stanął obok niej, kiedy wkładała klucz w zamek i przekręcała go.

- Jill! - powiedział łagodnie. - Myślę, że popełniasz błąd. Nie chcę cię urazić, ale ta suknia jest zbyt wydekoltowana jak na tego rodzaju spotkanie.

Odwróciła się powoli i stanęła z nim twarzą w twarz.

- To jest mój błąd, Paul - odpowiedziała spokojnie
- mój własny błąd.

Podczas jazdy na przyjęcie okazało się, że Paul nie miał niczego nowego do omówienia. Po tym, co oświadczył przez telefon, Jill myślała, że będzie miał całą listę ważnych spraw, ale on jadąc mówił tylko o tym, o czym rozmawiali już wcześniej.

Zwykle mogła słuchać uważnie tego, co mówił, ale tym razem miała trudności z koncentracją. Potem Paul zrobił coś, czego jeszcze nigdy nie zrobił. Wyciągnął rękę i mocno objął jej dłoń. Jego ręka była ciepła i wilgotna.

- Jestem z ciebie bardzo dumny, Jill - powiedział łagodnie. - Wszyscy jesteśmy.

Z dziwnym wyrazem twarzy wysunęła swoją rękę z jego dłoni.

- Dziękuję - powiedziała w końcu.

Odchrząknął z wyraźną nerwowością.

- Pamiętasz, Jill, powiedziałem, że kiedy wrócisz, chciałbym powiedzieć ci, co naprawdę do ciebie czuję - zerknął na nią, a potem z powrotem zapatrzył się w szosę.

Potrząsnęła głową z nagłym wyrazem cierpienia na twarzy.

- Proszę cię, Paul - podniosła obie ręce jakby miały być tarczą na jego słowa. - Nie chcę się wydać okrutna, ale w tej chwili nie rozumiem nawet moich własnych myśli, tak więc proszę, nie wymagaj ode mnie, żebym rozumiała twoje.

Uśmiechnął się do niej.

- W porządku, Jill. Potrafię to zrozumieć. Może porozmawiamy innym razem:

Z krótkim westchnieniem ulgi odwróciła oczy w stronę okna i spędziła pozostałą część drogi w zupełnej ciszy, patrząc na zewnątrz niewidzącymi oczami.

Rozdział VIII

W sali balowej hotelu Grand Continental znajdowało się ponad dwieście osób. Dla Jill było oczywiste to, że każda z obecnych tam tradycyjnie ubranych kobiet nie aprobeuje jej sukni.

Marsha i Gerald Meadows stali tuż przy drzwiach, kiedy Jill i Paul pojawili się przy wejściu do sali. Gdy weszli do środka i Paul pomógł Jill zdjąć płaszcz, wszyscy jednogłośnie wstrzymali oddech i w sali zapadła niezręczna cisza.

Marsha, która nigdy się nie stroiła, uśmiechnęła się, obdarzyła Jill rybim spojrzeniem, po czym unosząc brwi odwróciła się w stronę zebranego tłumu, jakby chciała zakomunikować całemu światu: „To dlatego nie chciałam pozwolić mojemu mężowi polecieć w kosmos z tą kobietą”.

- Gratuluję, Jill - powiedziała w końcu chłodno i zanim Jill zdołała odpowiedzieć, Marsha trąciła łokciem Geralda i odwróciła go w inną stronę.

Wokół Jill skupiło się wiele osób, które składały jej gratulacje w ten lub inny sposób. Razem z Paulem weszli w głąb sali. Paul po chwili przeprosił, zostawił ją w tłumie ludzi i poszedł przynieść drinki.

Nic nie szło dobrze. Kobiety wydawały się zbyt zakłopotane, żeby z nią rozmawiać, mężczyźni obawiali się i Jill była pewna, że wszyscy naokoło myślą, iż Paul jest jej partnerem na dzisiejszy wieczór, co nie mogło być dalsze od prawdy.

Kącikiem oka zobaczyła Jake'a siedzącego całkiem swobodnie przy stole z Harrisonem Taylorem w głównej części sali. Rzucił jej jedno spojrzenie i niedbale powrócił do

rozmowy, ale Jill mogła zobaczyć, że Harrison nie słucha. Podobnie jak wszyscy mężczyźni w sali, z wyjątkiem Jake'a, patrzył na nią.

Poczuła, jak mięśnie jej ciała sztywnieją, kiedy Paul wrócił z kieliszkiem jasnej sherry. Nie zapytał jej wcześniej, czego chce się napić, lecz gdyby to zrobił, powiedziała mu, że chce cokolwiek byle nie sherry. Teraz trzymała w ręku drinka, którego nie chciała, miała na sobie suknię, którą powinna była zostawić na wieszaku w sklepie, obsługiwał ją mężczyzna, za którym nie przepadała i była całkowicie ignorowana przez jedyne go mężczyznę na sali, który coś dla niej znaczył. Witamy z powrotem na Ziemi, Jill!

Paul zaprowadził ją na honorowe miejsce przy stole, który był oczywiście tym samym stołem, przy którym siedzieli Jake i Harrison. Harrison wstał, kiedy podeszła, Jake jednak pozostał na krześle, lekko tylko kiwając głową w jej stronę dla zachowania śladu dżentelmeńskich manier.

Harrison wziął ją za rękę i uśmiechnął się serdecznie, starając się nie spuszczać oka z jej twarzy, co wymagało od niego, wysiłku godnego podziwu.

- Jill, kochanie, wyglądasz po prostu czarująco.

Zaczekał, aż usiądzie, po czym sam usiadł z powrotem na krześle. Odetchnął głęboko, wyciągnął rękę i poklepał jej dłoń. Odchrząknął jakby z trudnością.

- Za parę minut będziemy mieć tutaj specjalnego gościa, Jill. Paul najwidoczniej już wyszedł z centrum, kiedy otrzymaliśmy wiadomość. Czy mówił ci, kogo się spodziewamy? - rzucił krótkie spojrzenie na Paula Tiptona, który stał obok stołu, potrząsając przecząco głową.

- Nie - zaprzeczyła Jill. Bała się pytać.

- Och! - Harrison potarł powiekę prawego oka jednym palcem. - Sekretarz stanu jest w mieście przejazdem w drodze do Meksyku. Wpadnie tutaj za parę minut.

Sekretarz stanu. Jill poczuła się nagle słabo i powiedziała nieprzekonująco:

- To miło z jego strony.

Spojrzała nieśmiało w dół na przód swojej sukni. Skurczyła się ze strachu i uniosła oczy w górę na ozdobny sufit. Nagle pożałowała tego, że się tak roznegliżowała i zrobiło się jej przykro, że wybrała ten wieczór, aby wystawić się na pokaz.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Harrison przeprosił i poszedł do najbliższego rogu sali, aby porozmawiać z Pauliem na osobności i ze zmarszczonymi brwiami spojrzała na Jake'a.

Uśmiechnął się do niej, pochylił się w jej kierunku i szepnął:

- Nie przejmuj się. Mogło być gorzej.
- To znaczy jak, jeśli mogę zapytać?

Uśmiechnął się szerzej.

- To mógł być prezydent a ty mogłabyś przyjść nago - odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się serdecznie.

- Mój Boże! - powiedziała skrzeczącym głosem przez zaciśnięte zęby. - Wszyscy zachowujecie się tak, jakbym już teraz przyszła nago. Nie wiesz, że to jest modne.

Wzruszył ramionami.

- Nie denerwuj się, Jill. Wiem, że nie jesteś naga. Widzę przecież sukienkę - roześmiał się znowu.

Ten ostatni śmiech zirytował ją do granic wytrzymałości.

- Nie mogę uwierzyć w to, że wszyscy potraficie zachowywać się tak niemądrze, Jake'u Whitney. Jesteście wszyscy zupełnymi ignorantami. Gdyby tę samą sukienkę założyła nowa ulubienica Ameryki, którą porzuciłeś na całe dwa tygodnie, wszyscy tutaj pialiby z zachwytu - wzięła oddech i ciągnęła dalej zuchwale. - Co wy wszyscy sobie wyobrażacie? Może miałabym nosić kombinezony przez resztę życia? Mam takie samo prawo jak każda inna kobieta, aby nosić to, co mi się podoba. A jeżeli sekretarz stanu nigdy wcześniej nie widział odrobiny kobiecego, nagiego ciała, to wydaje mi się, że dzisiejszej nocy będzie miał okazję, aby je zobaczyć!

- Jill - zaczął Jake ściszym głosem, wciąż uśmiechając się - powinnaś siebie zobaczyć. Wszyscy tutaj pomyślą, że oszalałaś po powrocie z lotu.

Znowu obruszyła się na niego, ale mówiąc ściszyła głos.

- To jest to samo szaleństwo, które opanowało mnie przed lotem. Jeżeli oni nie widzieli tego wtedy, to najprawdopodobniej nie zrozumieją tego także teraz.

Zapadła niezręczna, uporczywa cisza. Jill myślała o tym, że Jake najwidoczniej nie dosłyszał jej aluzji na temat Heleny Anderson lub, jeśli usłyszał, nie przejął się nią na tyle, żeby odpowiedzieć.

Siedział, wpatrując się w nią z uśmiechem. Jego rozbawione oczy błyszczały.

- Chcesz zatańczyć? - spytał nagle.

- Nie - odpowiedziała chłodno.

- Powiedz mi - zaczął nagle bębnić palcami po stole - dlaczego zdecydowałaś się przyjść z Paulem? Czy to było już wcześniej ustalone, tylko nie chciałaś mi powiedzieć, kiedy dzwoniłem?

Krew zamarła jej w żyłach.

- Nie zdecydowałam się przyjść z Paulem, to on zdecydował. Powiedział, że jest parę spraw do omówienia na temat nadchodzących dni i że musi porozmawiać ze mną, tak więc przyjechałam z nim.

Poczuła, jak ze zdenerwowania napinają się jej mięśnie ust i oczu.

- Omówiliście już wszystko, czy też musisz jechać do domu także z nim? - spytał Jake nagle zobojętniałym tonem.

- Nie wiem - zasyczała. - W recepcji powiedziano mi, kiedy to przyjęcie się skończy. Mogę po prostu wsiąść na swoją miotłę i polecieć do domu.

Uśmiechnął się, wpatrując się w nią z zainteresowaniem przenikliwymi, błyszczącymi oczami, po czym podniósł swój kieliszek i obrócił go powoli. Stuk lodu o szkło był jedynym dźwiękiem rozlegającym się przy stole.

Jill patrzyła na Jake'a badawczo, pierwszy raz, od kiedy weszła do sali.

Wyglądał w smokingu tak, jakby nosił go na co dzień. Miał także na sobie ozdobną białą koszulę i czarny krawat

zawiązany trochę nierówno. Cień uśmiechu pojawił się w kącikach jego ust.

Jego szaroniebieskie oczy stały się nagle pełne ciepła. Pochylił się do przodu.

- Jill, zatańczymy?

Nie odpowiedziała, ale kiedy wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń, nie odmówiła. Podniosła się powoli i stanęła obok niego, czując jak jedną ręką obejmuje ją w talii, dotykając lekko jej nagich pleców.

Orkiestrowa muzyka łagodnymi dźwiękami wypełniała salę, kiedy szli na parkiet. Niewiele par tańczyło, większość ludzi zajmowała pokryte jedwabiem krzesła przy stołach, inni zebrali się w małe grupy wzdłuż ścian lub przy drzwiach.

Jill zerknęła na wielki, kryształowy żyrandol wiszący nad nimi, kiedy Jake delikatnie obejmował ją. Przygryzła dolną wargę i spoglądała ponad jego ramieniem, na próżno starając się nie myśleć o swojej umierającej miłości do niego. Czowała w sobie mieszane uczucia. Wmawiała sobie, że on ją nic nie obchodzi, że nie podda się jego urokowi, ale nie była w stanie się oszukać i zaprzeczyć swoim najgłębszym uczuciom.

Jake odchylił się do tyłu i spojrzał na nią, ale w tej samej chwili Jill odwróciła wzrok. Nie mogła ryzykować bezpośredniego kontaktu. Nie tylko jej ciało było tak bardzo odsłonięte, ale także jej myśli i uczucia. Bała się, że Jake to zauważy.

Z dziwnym uśmiechem na ustach wyszeptał tuż przy jej uchu:

- Kochasz mnie, Jill?

Bardzo zirytowana tym pytaniem odwróciła szybko głowę w inną stronę. Rumieniec pokrył jej twarz i szyję. Nie odpowiedziała.

Przyciągnął ją bliżej do siebie.

- Czy wiesz jaka jesteś cudowna? Jak bardzo piękna?

Odwróciła głowę powoli i spojrzała na niego ostrożnie.

- Przestań, Jake - powiedziała nerwowo. - Nie wiem o co ci chodzi, ale przestań.

Wpatrywał się w nią uporczywie szeroko otwartymi oczami.

- Nie, nie przestanę. Dopóki mi nie powiesz.

- Nie zamierzam ci nic powiedzieć - powiedziała trochę wyniośle.

Obrócił ją dookoła z wdziękiem i zanim uświadomiła sobie, co się dzieje, poprowadził ją na zewnątrz na taras. Nie wiedziała co robić. Wokół kręciło się parę osób. Muzyka ucichła i można było słyszeć głosy dobiegające z sali, bezładne dźwięki wybiegające na zewnątrz. Taras był zacieniony, dobiegało tutaj tylko światło księżyca.

Jake stał przez chwilę wyprostowany i nieruchomy, po czym dotknął opuszkami palców jej ramion, pochylił się i pocałował ją.

Miała odruch, żeby się uchylić.

- Jake, przestań - wymamrotała. - Proszę.

- Posłuchaj - powiedział miękko - to były dla nas trudne dni. Wiem, że wiele jest w tym mojej winy, Jill, ale chcę, żebyś zrozumiała - wydawało się, że walczy ze sobą. - Trudno jest mi opisać moje uczucie do ciebie, ponieważ nie wiem dokładnie, jak to wyrazić w słowach. Chcę powiedzieć to, co naprawdę jest, ale nie sądzę...

Nagle z tyłu doleciał ich głos.

- Prosimy dwoje honorowych gości, aby weszli do środka. Sekretarz właśnie przybył i nie może się doczekać spotkania z wami. Chodź, Jill - Paul wyciągnął do niej rękę.

Spojrzała uważnie na Jake'a i zobaczyła, jak łagodny wyraz jego twarzy twardnieje i ciemnieje w księżycowym świetle.

- Idź tam, Jill, - powiedział beznamyślnie. - Ja zaraz przyjdę.

Bez słowa rzuciła mu ostatnie, zakłopotane spojrzenie, po czym odwróciła się, przeszła obok wyciągniętej ręki Paula i weszła do sali. Z Paulem idącym tuż za nią podeszła z powrotem do stolika, gdzie siedział Harrison śmiejąc się i rozmawiając z Curtisem Dentonem, sekretarzem stanu. Kiedy podeszła, obaj mężczyźni unieśli głowy i wstali.

Harrisem zbliżył się do niej.

- Panie Denton, mam wielką przyjemność przedstawić panu dr Danbury.

Jill uśmiechnęła się i podała mu rękę. Chwytną ją skwapliwie, Curtis Denton odpowiedział jej serdecznym, przyjacielskim uśmiechem.

- To wielka przyjemność dla mnie, dr Danbury, naprawdę - patrząc na nią, uśmiechnął się jeszcze raz.

Sadowiąc się przy stole pomiędzy dwoma mężczyznami, poczuła się nagle bardzo spokojna. Tak bardzo, bardzo spokojna jakby wszystko w niej znieruchomiało. Dziękując uśmiechem za komplementy dobiegające z obu stron, obserwowała wyjście na taras. Wejść do środka Jake, mówiła w myśli. Siedziała milcząca, patrząc. Jednak w głębi serca wiedziała, że teraz nie przyjdzie. Pojawi się później, ale na pewno nie teraz. A liczyła się właśnie ta chwila. Teraz. Właśnie teraz. W tej chwili chciała, żeby był przy niej.

Kiedy w końcu pojawił się, nie podszedł prosto do stolika. Zamiast tego zaczął tańczyć z kobietą, która siedziała samotnie przy stoliku tuż obok drzwi na taras. Jill przyglądała się mu, jak tańczył na parkiecie. To dziwne, jak szybko się zmienił. Poczuła głęboki ból, kiedy widziała jak sunie po parkiecie, śmiejąc się i rozmawiając z kobietą, którą trzymał w ramionach.

Z biegiem czasu atmosfera na przyjęciu rozluźniła się. Harrison Taylor, Curtis Denton i parę innych osób, które brały bezpośredni udział w przygotowaniach i przeprowadzeniu lotu, wygłosiło krótkie przemówienia. Jake przyszedł w końcu do stołu, zanim przemówienia się zaczęły i siedział cicho, pełen rezerwy, popijając w trakcie nich drinka.

Dyrektor poprosił Jill o powiedzenie kilku słów. Wspomniała krótko o zaszczycie i honorze, które spłynęły na nią, kiedy została wybrana do tej misji. Nie mówiła zbyt długo, a kiedy usiadła, otrzymała szczerą brawa.

Szklanki były napełniane i opróżniane z większą szybkością, kiedy nagle wszyscy śmiejąc się zaczęli głośno klaskać w ręce.

- Jake!... Powiedz coś - wykrzykiwali. - Jake, prosimy.

Jill spojrzała szeroko otwartymi oczami na rząd roześmianych twarzy, bezceremonialnie domagających się, aby Jake Whitney przemówił. Już raz odmówił swoich komentarzy, ale widziała jego przymknięte usta i potakujące skinienie głowy.

Kiedy zaczął wstawać z krzesła, przywitały go radosne okrzyki. Podniósł obie dłonie i pomachał, aby ich uciszyć. Uśmiechnął się swobodnie i wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się - zaczął nieśmiało - że pewnie wszyscy chcecie usłyszeć, jak jest tam na górze - wskazał palcem na sufit - jak było podczas tego długiego lotu w ciemności, kiedy byliśmy z Jill sami - uśmiechnął się szeroko, co oczywiście wzbudziło zachwyty zebranych - ale - kontynuował, najwyraźniej zadowolony z siebie tak bardzo jak oni z niego - to największa tajemnica i moim patriotycznym obowiązkiem jest jej nie wyjawiać.

Jill wpatrywała się w niego nieruchomo. Przez chwilę aż otworzyła usta. Co on sobie myśli? Pozostawił dwieście osób z wrażeniem, że podczas lotu miały miejsce jakieś podejrzone sprawy! A oni wszyscy śmiejąc się i wiwatując, podziwiali go.

Usiadł i mrugnął do Jill. Znowu utkwiała w nim wzrok rozdrażniona jego niedomówieniami. Oczywiście było, że wiele osób wiedziało dokładnie, co działo się na Stacji Kosmicznej „Wenus” w ciągu każdej sekundy ich pobytu. Jednak co z tymi, którzy tego nie wiedzieli? Co z ich żonami? Och, dobrze, westchnęła w duchu. Nie miała zamiaru się o to martwić.

Najwidoczniej Paul Tipton miał te same co ona obawy, ponieważ parę minut później, kiedy Harrison Taylor przeprosił i wyszedł odprowadzić gościa, pospieszył do stolika i usiadł ciężko pomiędzy Jill i Jakem.

- Jake, musisz zatrzeć to wrażenie, które pozostawiłeś - zaczął. - To może przynieść nam złą prasę.

Jake powoli odwrócił twarz w jego stronę.

- A ty musisz wstać z krzesła Harrisona i odejść od tego stolika - odpowiedział zirytowany. - Do cholery, przecież

zrobiłem to dla żartu - wskazał w kierunku gości. - Oni wszyscy to wiedzą. Nie ucierpi na tym niczyja reputacja a w najmniejszym stopniu naszego fruwającego anioła - skinął w stronę Jill.

- To zależy od punktu widzenia - odparł Paul chłodno.

- To jest właśnie mój punkt widzenia - rzekł Jake niewzruszony. - Większość ludzi zna się na żartach.

Paul odwrócił się do Jill.

- A co ty o tym myślisz? - spytał.

Spojrzała ponad głowę Paula i napotkała wzrok Jake'a, kiedy unosił jedną brew.

- Myślę, że czas to pokaże - powiedziała łagodnie.

W tej chwili nie zwracała sobie głowy tym, co powiedział ludziom Jake. Nie dbała o to, czy jutrzejsze gazety przykleją jej etykietkę latającej prostytutki. W tym momencie po prostu nie obchodziło jej to. Oczywiście, pewnie jutro sobie o tym przypomni, znała przecież siebie dobrze. Jednak teraz czuła się cudownie beztrosko. Poza tym życie jest krótkie, więc po co martwić się o jutro, skoro nie wiadomo, czy w ogóle nadejdzie. Będzie się martwić, kiedy przyjdzie na to pora.

Nie chciała myśleć o jutrze, o Nowym Jorku czy Waszyngtonie. Nie chciała myśleć o przyszłości. Nie miała złudzeń na temat nadchodzących dni. Z pewnością będą pełne wzlotów i upadków, a kiedy Helena Anderson dołączy do nich jutro, będzie to pierwszy problem. Jednak to zdarzy się dopiero jutro, a teraz wciąż jeszcze była noc.

Rozdział IX

- Jake - spytała Jill łagodnie - czy mógłbyś odwiedzić mnie do domu?

Jake nie próbował ukryć zdziwienia, ani Paul, który nagle zakaszłał i sprzeciwił się:

- Jill, myślałem, że to ja odwiozę cię do domu. Ciągle jeszcze...

- Mam już dosyć spraw służbowych na dzisiaj, Paul. Jeżeli trzeba będzie jeszcze coś omówić, możemy to zrobić jutro w samolocie.

Jake obserwował ją z cichym uśmiechem na ustach, potem powoli podniósł się z krzesła i stanął.

- Przyniosę twój płaszcz - powiedział i odszedł od stolika.

Paul spojrział na nią oczami błyszczącymi z niedowierzania.

- Jill - zaczął, ale zanim zdążył powiedzieć coś więcej, Harrison i Jake byli już z powrotem. Jake trzymał w ręku lekki płaszcz. Bez słowa zarzucił go na ramiona Jill i pomógł jej wstać z krzesła.

Harrison spojrział na nich badawczo z niezgłębionym wyrazem twarzy.

- Wychodzicie już oboje? - spytał w końcu z nutką konsternacji w głosie.

Jill skinęła głową.

- Tak. Jest już dobrze po północy, Harrison, a ja muszę się jeszcze spakować. To było cudowne przyjęcie. Bardzo mi się podobało - uśmiechnęła się do dyrektora a potem do siedzącego na krześle Paula Tiptona. - Dobranoc, Paul.

- Dobranoc wszystkim - powiedział Jake i wyszli razem z sali balowej.

Kiedy wyszli na zewnątrz na świeże powietrze, Jake zaskoczył Jill mówiąc:

- Znam twoje zamiary, moja damo.

Spojrzała na niego zdziwionymi oczami.

- Naprawdę? To powiedz mi, jakie są.

Czekając na samochód, Jake stał przy niej, przestępując z nogi na nogę.

- Tak, naprawdę. Jedziesz ze mną tylko dlatego, żeby nie jechać z Paulem - roześmiał się krótko. - Nie potępiam cię. Ja także na twoim miejscu wybrałbym siebie.

Podstawiono samochód - białego Mercedesa i chwilę później odjechali sprzed eleganckiego hotelu.

Jill skierowała wzrok na profil Jake'a i wpatrywała się w niego skupiając całą swą uwagę. Trzęsa się.

- Jake, czy mógłbyś włączyć ogrzewanie? Jest mi zimno.

- Nie dziwię się - odpowiedział, nie odrywając oczu od drogi, ale wyciągnął rękę i przekręcił gałkę. Prowadził dalej a po kilku sekundach ciepłe powietrze wypełniło samochód.

Oparła rękę o siedzenie, popatrzyła na niego jeszcze trochę i skierowała wzrok na swoje boczne okno. Zagłębiła się w rozmyślaniach, kiedy cicha muzyka popłynęła z radia. Jake wciąż na nią patrzył.

Czuła się trochę podniecona, ale o wiele bardziej oszołomiona. Uczucia do mężczyzny siedzącego za kierownicą tkwiły tak głęboko w jej sercu, że nie wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Obawiała się, że straci go na zawsze z powodu innej kobiety. To był prawdziwy strach. Kobieta też była prawdziwa. Jake nie wspominał ani przez chwilę o swoim związku z aktorką od czasu powrotu z kosmicznego laboratorium. Przed lotem zlekceważył go mówiąc, że to gazetowy związek, ale teraz nie mówił o nim wcale. Przy stole w sali balowej dała mu możliwość, aby mu zaprzeczył, ale nie wykorzystał tej okazji i nie powiedział nic, ani jednego słowa.

Jill wpatrywała się jak w transie w światła odległego miasta, myśląc o najróżniejszych możliwych powodach tego,

że Jake nie chciał rozmawiać o Helenie. Każda z tych możliwości napełniała ją większym lękiem. Była tak pochłonięta swoimi myślami, że nie usłyszała pierwszych słów, jakie powiedział.

- ... Ostatniego drinka na dobranoc.

Odwróciła się do niego.

- Co?

Nieco zirytowany rzucił jeszcze raz.

- Czy ty w ogóle wiesz, że tutaj jestem? Pytałem, czy chciałabyś się jeszcze czegoś napić przed pójściem spać?

- Dokąd byśmy pojechali?

- Znam jedno przyjemne miejsce niedaleko poza granicami miasta, jakieś dziesięć mil stąd. Chcesz tam pojechać?

- Tak. Brzmi to zachęcająco - przerwała na chwilę - i wiem, że jesteś tutaj, Jake, czuję to po prędkości, z jaką jedziemy.

Popatrzył na nią przez chwilę w zamyśleniu, po czym skupił się na prowadzeniu samochodu.

Dziesięć minut później wchodzili do budynku urzędowego w wiejskim stylu, otoczonego przyćmionymi światłami, do którego prowadziła żwirowa dróżka. Jake wchodząc pozdrowił mężczyznę za barem, zwracając się do niego po imieniu. Zamówił dwa Serca Teksasu i zaprowadził Jill do stolika na tyłach sali.

Począł, aż usadowi się wygodnie, potem przeszedł przez salę i wrzucił kilka monet do szafy grającej.

- Przy muzyce będzie przyjemniej - uśmiechnął się wesoło siadając obok niej. Sięgnął ręką do krawata, rozwiązał go, zdjął i schował do kieszeni płaszcz. Potem odpiął górny guzik od koszuli i poruszał oswobodzoną szyją.

Podano drinki - dwie wysokie szklanki ciemnego płynu z lodem. W przymglonym świetle wyglądało to jak olej silnikowy. Jill spojrzała na szklankę podejrzliwie. Stara płyta Dionny Warwick „Nigdy więcej nie pokocham już w ten sposób” rozbrzmiała tak głośno, że aż rozedrgała ściany. Jill przeniosła wzrok ze szklanki na Jake'a.

- W jaki sposób znalazłeś to miejsce? - spytała głośno.

- Co? - nachylił się do niej. - Nie dosłyszałem cię.
Potrzęsnęła bezradnie głową.

Jake podszedł do barmana i chwilę później muzyka trochę ucichła. Teraz można już było rozmawiać. Jake uśmiechnął się i powiedział wesoło:

- Wypijmy, noc nie trwa wiecznie - podniósł szklanke do ust i wziął duży łyk.

Jill zrobiła to bardziej ostrożnie. Posmakowała i skrzywiła się.

- Co to jest?

Jake zaśmiał się.

- Nie piłaś tego nigdy wcześniej, prawda?

- Nie - odparła szczerze. - Nie piłam nigdy niczego podobnego.

- To sasafrasowa herbata z lodem. Jest to jedyne miejsce jakie znam, w którym ją podają. Napij się, to dobrze robi. Trzeba wziąć łyk lub dwa, żeby się przyzwyczaić do smaku, ale jest dobra.

Spojrzała znowu na szklanke, ściągając podejrzliwie brwi.

- To nie jest afrodyzjak ani środek na przeczyszczenie, prawda?

Roześmiał się głośno.

- Jill, czy piłbym to, gdyby tak było? - roześmiał się znowu.

Przyglądając się mu jak pije, podniosła w końcu swoją szklanke do ust. Drugi łyk nie był tak straszny jak pierwszy, ale nie był dobry, jakkolwiek by nie wysilała swojej wyobraźni.

Skupiła wzrok na silnych rękach Jake'a kołyszących szklanke, po czym powoli przeniosła oczy prosto na jego twarz. W jego źrenicach widniał dziwny uśmieszek - zdziwione rozbawienie. Widać było, że był pewny siebie, świadomy swojej atrakcyjności.

- Co teraz będziesz robić, Jill? - spytał nagle bardzo poważnym, cichym głosem.

Dotknęła swoich brwi obiema rękami.

- Nie wiem - szybko wzruszyła ramionami. - Zupełnie nie wiem.

- Zostajesz w programie?

- Nie wiem - powtórzyła znowu i westchnęła. - To dziwne, Jake, ale czuję się tak jakbym nie była całością, jakbym zostawiła gdzieś jakąś część siebie samej. Nie mogę pozbierać myśli, nie mogę zorientować się w tym, co chcę robić - patrzyła na niego nieruchomo wielkimi, zdumionymi oczami. - Spędziłam te wszystkie ostatnie lata przygotowując się do misji, a teraz to już się skończyło. Wydaje mi się, że w pewien sposób nie mogę się z tym pogodzić. Tak duża część mojego życia była zaplanowana, a teraz plany już się skończyły. Czuję się trochę zagubiona. Kiedy te ostatnie spotkania dobiegną końca, wrócę do domu i może tam będę mogła dojść do siebie.

Dostałam mnóstwo ofert pracy - potrząsnęła głową - ale nie wiem co dalej, po prostu nie wiem.

- Czy to było warte tego? - spytał Jake stonowanym głosem. - Jeżeli weźmiesz wszystko pod uwagę, czy było tego warte?

Uniosła głowę.

- Tak - odparła bez wahania. - Było.

Uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Widzisz, mówiłem ci, że tak będzie.

Rozmawiali swobodnie przez godzinę albo dłużej o locie i programie, po czym Jake spytał:

- Chcesz już jechać do domu?

Skinęła głową.

- Sądzę, że tak. Muszę się jeszcze spakować.

- Ja też - powiedział z odrobiną przerażenia w głosie, kiedy razem wstawali od stołu. Jill poszła w kierunku drzwi, Jake zaś podszedł do baru i powiedział parę słów do siedzącego tam mężczyzny.

Jill nie chciała, żeby ta noc się skończyła, ale drogę do jej mieszkania przejechali tak szybko, że wydawało się, iż upłynęło dopiero kilka sekund do chwili, kiedy Jake za-

trzymał samochód przed domem. Bez słowa obszedł samochód dookoła i pomógł jej wysiąść, po czym wziął ją za rękę i razem podeszli do drzwi, gdzie krótko pocałował ją w policzek.

- Dziękuję za zaproszenie na Serce Teksasu - wyszeptała. Jego policzek był ciągle tuż przy niej.

- Bardzo proszę - powiedział, patrząc na nią z uśmiechem, wciąż trzymając rękę na jej ramieniu. - Przyjemnie tu jest. Przypomina mi się wers z jednej piosenki: „Zatrzymaj się i powąchaj róże”. Stojąc tutaj czuję się, jakbym wąchał płatki róży.

Uśmiechnęła się serdecznie.

- Bo wąchasz. Tutaj naokoło jest ogród kwiatowy, są tam też róże.

- Bardzo przyjemny zapach.

Przez chwilę trwali w bezruchu, ledwie świadomi zapachu róż i tego, co działo się pomiędzy nimi. Jill pierwsza się ocknęła.

- Chcesz wejść do środka, Jake? - wymamrotała ledwie poruszając ustami. Padało na nich światło księżycy i Jill patrzyła, jak twarz Jake'a wyłania się z cienia.

- Chciałbym - oznajmił spokojnie.

Czując, że jej kolana mogą się ugiąć w każdej chwili, odwróciła się szybko, przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. Jak tylko weszli do środka, oboje poczuli się dziwnie zmieszani, nie wiedząc, co powiedzieć ani co robić.

Serce Jill waliło jak młot kowalski, straciła zupełnie głos, czuła się coraz bardziej zdesperowana. Coś magicznego i intensywnego działo się pomiędzy nimi. Podniecenie... przerażenie... obawa. Jake także stał nieruchomy i milczący. Wtedy przez głowę Jill przemknęła szalona myśl, że on czeka. Czekają na to, aby go dotknęła. Nie wiedziała, czy jest w stanie wyciągnąć rękę, czy jest w stanie go dotknąć. Ta chwila była tak pełna napięcia, tak rzeczywista. Jill poczuła, że nie jest w stanie poradzić sobie z tym.

- Jake? - zaczęła.

Przyłożył jej palec do ust i potrząsnął głową.

Zamilkła znowu, a wtedy on zaczął się jej przyglądać badawczym wzrokiem. Różne myśli kłębiły się jej w głowie. Wydawało się jej, że Jake trzyma się na dystans. Ale dlaczego? Przecież miał oczy, czy nie mógł zobaczyć, co się dzieje? O co mu chodzi? Dlaczego tak się zachowuje?

Nękające ją pytania stopniowo ucichły i poczuła się spokojna. Zdecydowała się w końcu. Wyciągnęła ręce i dotknęła jego twarzy delikatnie i ostrożnie. Pochyliła się do przodu i przybliżyła usta do jego ust.

- Kocham cię, Jake.

Wyczuła napięcie w jego szerokich barkach, kiedy obejmowała go za szyję.

Wtedy odezwał się poważnym i cichym głosem tuż przy jej ustach.

- Tak, Jill, dzisiaj kochasz mnie tak **bardzo**. Dzisiaj mnie kochasz - pocałował ją delikatnie.

Poczuła, jak krew się w niej burzy. Jake całował ją delikatnie - jej twarz, uszy, włosy. Jego oddech był ciepły, spokojny i świeży jak rosa zbierająca się na płatkach róż w ogrodzie. Nagle przyciągnął ją gwałtownie, przywarł ustami do jej ust i szukał językiem jej języka.

Przyłgnęła do niego i poddała się mu. Odwzajemniła pocałunki z namiętnością równą jego własnej. Świat wokół stał się nierealny. Nie było nic bardziej rzeczywistego od tej chwili, tej zaczarowanej chwili, kiedy znowu znalazła się w niebie, unosila się w stanie nieważkości, w świetle pieśczoł, dotyku i uczuć.

Wtedy nagle Jake odsunął się i spojrzał na nią z otwartymi ustami. Jego oczy błyszczały z namiętności i pragnienia.

- Jill! - wyszeptał boleśnie.

Nagle pomyślała sobie, że Jake zamierza odejść. Stał taki sztywny i spięty, patrząc na nią z nieśmiałym uśmiechem na ustach.

- Nie... Nie, Jake.

Nie mógł wyjść. Nigdy mu na to nie pozwoli. Urzeczona zbliżyła się do niego. Objęła go w pasie i oparła głowę na jego piersi.

- Nie odchodź... proszę - wyszeptwała i spojrzała na niego. - Potrzebuję cię - kiedy mówiła, głaskała delikatnymi dłońmi jego muskularne plecy.

- Naprawdę nie miałem zamiaru - odparł niskim głosem, obejmując ją mocno i niemal unosząc z podłogi - ale myślę, że zawdzięczam to nam obojgu - uśmiechnął się do niej blado. - Dzisiaj jesteś moja, Jill, cała jesteś moja - pocałował ją namiętnie i brutalnie, wzbudzając w niej tak silne uczucia, że poczuła, iż nigdy już się od nich nie uwolni. Odchylił jej głowę do tyłu i wtulił twarz w jej szyję.

Teraz była już w końcu pewna, że Jake nie odejdzie. Dzisiaj na pewno już jej nie opuści.

Pochylił głowę do przodu a jego pieszczoty stały się bardziej intensywne. Gorące, wilgotne usta wędrowały wzdłuż skraju jej sukni, jego język delikatny i miękki pieścił, dotykał, podniecał. Czowała jak nabrzmiewają jej piersi lekko muskane językiem. Zsunął z jej ramion suknię i czule pieścił jej sutki.

Przywarli do siebie i Jill czuła ciało Jake'a przez ubranie. Chciała go dotykać i czuć jego dotyk. Zrobiła krok do tyłu i z jasnym uśmiechem zdjęła sukienkę, która miękko spadła na podłogę połyskując. Jake patrzył na Jill, kiedy zdejmowała halkę i stanęła naprzeciwko niego. Nie wstydził się.

Wtedy on zaczął zdejmować swoje ubranie. Jill przyglądała mu się. Zdjął wszystko i skierowała wzrok na cień jego sylwetki na ścianie, kiedy zbierał ich rozrzucone ubrania i kładł je na krześle. Podeszła blisko do niego, jej piersi nieomal dotykały go. Rozchyliła lekko nogi. Wtedy znieruchomiała i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Nagle poczuła, jak jego silne ramiona obejmują ją. Zaczęła bezwiednie drżeć z podniecenia.

Jego oczy były wilgotne i błyszczące, kiedy spojrzał na nią rozmarzonym wzrokiem.

- Właśnie weszliśmy na orbitę - wyszeptał.

- Mam nadzieję, że tak - wymruczała łagodnie.

Zacisnął ramiona wokół niej, po czym podniósł ją i skierował się do sypialni, gdzie położył ją na łóżku i usiadł

obok. Czują wyraźnie dotyk jego skóry, bioder, jego palce wędrujące po jej ciele. Niezwykłe, oszalamiające ją doznania.

Pochylił się i pocałował ją. Lekko drażnił ustami jej wargi, uszy, piersi, aż gorąco rozchodziło się do najdalszych zakamarków jej ciała. Przeniosła rękę z jego piersi w dół i powoli głaskała go po brzuchu. Wyczuwała palcami gładkość jego skóry. Drugą ręką objęła go i przyciągnęła do siebie, całując go delikatnie mokrymi ustami. Oddychał głośno, a jego oddech był podobny do uderzeń fal o brzeg, był jak jesienny wiatr hulający po polach. Najpiękniejszy dźwięk na świecie.

Poruszała spokojnie dłonią po jego piersi, kiedy nagle Jake odsunął jej rękę, a jego dłonie powędrowały w okolice jej talii i bioder. Jego palce pocierały ją delikatnie, coraz mocniej naciskając... naciskając... wibrując, zagłębiając się, aż doznania stały się tak intensywne, że oboje uwolnili się ze swoich uścisków tak nagle, jakby byli dotykani przez żywy ogień.

I wtedy Jake nakrył ją swoim ciałem, ich oddechy stały się bardziej intensywne, szybsze i bardziej gwałtowne. Jill prężyła się pod nim niecierpliwie, przyciskała go mocno do siebie. Jake obniżył się a ona unosiła się coraz wyżej, aby przybliżyć się do niego. Potem poczuła jego ciepło, poczuła, jak sama płynie w bezgranicznej przestrzeni. Nie była w stanie niczego powiedzieć, obejmowała go tylko i nie czuła niczego poza jego obecnością. Nie czuła świata poza nim.

Oboje byli pogrążeni w strumieniu, rzece płynącej gwałtownie, aż ów bystry nurt nagle wzniosł ich do góry i majestatycznie wyrzucił na brzeg niczym rozbitków.

Objęła go jeszcze silniej i wbiła mu paznokcie w ramiona. Czują jak w gardle narasta jej krzyk, lecz powstrzymała go aż do chwili, gdy całe napięcie eksplodowało. Fale gorąca stopniowo odpłynęły od nich.

Teraz Jill leżała zupełnie nieruchomo, nic nie mogło jej teraz poruszyć. Pochylony nad nią Jake całował ją cały czas. Drżąc otworzyła oczy.

- Jake, kocham cię - wyszeptała, wyciągając drżącą rękę, aby dotknąć jego twarzy. Trzęsła się tak bardzo, że ledwo mogła panować nad swoimi ruchami.

Uśmiechając się do niej czule, nagle opadł na nią miękko, a jego głowa zapadła się w poduszkę tuż przy niej.

- Nie wydaje mi się, żebyś straciła jakąś część siebie - wyszeptał. - Niczego ci nie brakuje - z trudem łapał oddech.

Odwróciła gwałtownie głowę w jego stronę, dotykając nosem jego nosa.

- Co takiego?

Obliczając suche usta, uśmiechnął się zadowolony.

- Powiedziałaś wcześniej, że czujesz jakbyś zostawiła gdzieś jakąś część siebie, pamiętasz?

Jego roześmiane oczy były tak świetliste jak nigdy dotąd, jak gwiazdy tańczące na niebie.

- Tak, pamiętam - przyznała.

- A więc jestem tutaj po to, moja panno, aby powiedzieć ci, że niczego nie zgubiłaś.

Przejechała opuszką palca po jego twarzy.

- Dobrze, że robisz inwentaryzację, kochanie, ale nigdy nie myślałam, że ta utracona część może być czymś, co można dotknąć lub policzyć - westchnęła zadowolona.

- Mimo to jestem szczęśliwa wiedząc, że przejąłeś się tym na tyle, żeby jej szukać.

Nagle przytulił ją bardzo mocno do siebie. Nie odzywał się, nie całował jej, trzymał ją tylko w ramionach tak mocno, że aż trudno jej było oddychać. Znowu zapomniała o całym świecie. Czowała tylko dotyk jego ramion, czowała tylko jego - Jake'a.

Potem zaczął mówić. Chociaż jego słowa były łagodne i spokojne, wydawały się głośne i wyraźne.

- Cokolwiek zdarzy się jutro, kochanie, nie będziemy mieli oboje innego wyboru, jak zaakceptować to. Jednak wydaje mi się, że mieliśmy szczęście, Jill. Było nam tak dobrze dzisiaj. Mieliśmy swój czas i nic nie może nam tego

zabrać ani jutro ani kiedykolwiek w przyszłości. Byliśmy razem w przestrzeni ponad Ziemią i spędziliśmy ze sobą czas na Ziemi. Przypuszczam, że człowiek naprawdę nie może wymagać niczego więcej.

Jego słowa wprawiły Jill w drżenie i niepewność.

- Co ty mówisz, Jake? To jest dopiero początek.

Pocałował ją czule.

- Wiem, Jill, wiem ...

Kołysząc jej głowę w swoich dłoniach, bawił się jej włosami, rozprostowywał je, owijał wokół palca i rozprostowywał znowu.

Jill leżała z uczuciem głębokiego spokoju i wielkiej satysfakcji, tuląc się do niego. Była tak szczęśliwa, że nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła, ponieważ sen zakradł się do niej tak cicho jak złodziej.

Rozdział X

Jill powoli otworzyła oczy i spokojnie zamknęła je z powrotem. Potem otworzyła je znowu nagle, spojrzała w sufit i gwałtownie potrząsnęła głową z boku na bok.

- Jake - zaczęła, ale reszta słów uwięzła jej w gardle, kiedy zobaczyła kartkę na nocnym stoliku. Wyciągnęła rękę, wzięła ją i przeczytała: „Jill, poszedłem się spakować. Do zobaczenia na lotnisku. J.”

Zerwała się i spojrzała na prześcieradło, na którym Jake w nocy spał obok niej lub może nie spał. Na jej twarzy pojawiło się rozczarowanie i poczuła się opuszczona. Dlaczego wyszedł nie budząc jej? Po to, żeby się spakować? Ona przecież też musiała się spakować.

Jej rozczarowanie pogłębiło się, kiedy przeczytała kartkę jeszcze raz. Poczuła, jakby wszystkie uczucia uchodziły z niej. Napisał: "Jill" (nie - kochanie czy najdroższa, tylko - Jill). I podpisał się - "J.", nie - „Jake” czy też - „Kocham cię, Jake”, ale tylko - "J.". Siedziała przez kilka minut bez sił na brzegu łóżka, trzymając w ręku kartkę.

Kiedy zadzwonił telefon, zerwała się szybko i podniosła słuchawkę.

- Jill? - powiedział chłodno Paul. - Samochód jest w drodze.

Otworzyła usta ze zdziwienia.

- Co takiego?

- Powinienem być u ciebie za niecałe dwadzieścia minut. Jesteś gotowa, prawda?

- Tak - skłamała. - Jestem gotowa.

- To dobrze. Do zobaczenia na lotnisku.

Odłożyła słuchawkę i złapała się obiema rękami za głowę. Pobiegła szybko do łazienki i w trzy minuty później była już z powrotem w sypialni, zawinięta w ręcznik. Wszędzie wokół zostawiała mokre ślady.

Otworzyła drzwi do szafy, wyciągnęła walizkę i położyła ją na łóżku, po czym wytarła się. Podbiegła potem z powrotem do szafy, ściągnęła z wieszaków białą, płócienną garsonkę i zieloną, jedwabną bluzkę i rzuciła je na łóżko. Założyła w pośpiechu majtki, stanik i rajstopy a na to bluzkę i spódnicę. Zobaczyła małe oczko w rajstopach. O, do diabła, mruknęła pod nosem i wzięła się do pakowania. W ciągu następnych trzech minut spakowała walizkę, włożyła trzy wieczorowe suknie do dużej torby i zamknęła ją.

Potem podeszła do toaletki. Nałożyła cienie na powieki, róż na policzki i przejechała szminką po wargach. Szybko rozczesała włosy, zwinęła je w węzeł i spięła na czubku głowy. Wyciągnęła rękę i zgarnęła wszystkie przedmioty leżące na toalecie do kosmetyczki. Kiedy zapinała ją, rozległo się pukanie do drzwi.

Wyrzuciła w górę obie ręce, westchnęła i spokojnie wyszła z sypialni. Przeszła przez salon i otworzyła drzwi, za którymi stał umumdurowany, uśmiechnięty szofer.

- Dr Danbury?

- Tak - odpowiedziała słabym głosem, ledwo łapiąc oddech.

- Samochód czeka - rozgrzał się po salonie. - Gdzie jest pani bagaż?

- W sypialni - odwróciła się i zaprowadziła go do sypialni, która wyglądała tak, jakby przeszło przez nią tornado. Zabiję cię, Jake, pomyślała, patrząc kątem oka na bałagan, który musiał oglądać zmieszany mężczyzna. Jake mógł przynajmniej zadzwonić i obudzić ją. Mógł zrobić przynajmniej to.

Wzięła kosmetyczkę i poszła za szoferem do drzwi, przy których zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

- Czy jest pani gotowa, dr Danbury? - spytał, spoglądając niepewnie na jej stopy.

Popatrzyła w dół.

- Och, moje buty! - roześmiała się zażenowana. - Dziękuję, że pan mi przypomniał.

Pobiegła z powrotem do sypialni i otworzyła szafę. Wtedy przypomniała sobie, że wrzuciła wszystkie swoje buty na dno walizki, nawet te, które zostawiła wczoraj na dywanie w salonie. Oprócz sandałów i tenisówek w szafie były tylko brązowe, skórzane, sznurowane buty na niskich obcasach, takie jakie zwykły nosić stare panny pracujące jako nauczycielki. Nie miała innego wyboru jak założyć je. Kiedy wkładała w nie stopy, potrząsała głową i pod nosem przeklinała Jake'a Whitneya.

Podeszła do samochodu, w którym szofer umieścił jej bagaż. Mężczyzna stał, czekając na nią, aż poda mu swoją kosmetyczkę. Spojrzał na jej buty, ale nie odezwał się.

Usiadła z tyłu za kierowcą tak, że mógł spoglądać rozbawionymi oczami na jej odbicie we wstecznym lusterku i zmęczona oparła głowę o siedzenie. Jake'u Whitney, jeżeli tylko spojrzysz w moim kierunku dzisiejszego ranka, to rzucę ci w twarz jednym z tych monstrualnych butów lub jakimś innym odpowiednim przedmiotem, przyrzekła w myśli.

- Ładna pogoda - powiedział kierowca przez ramię.

- Tak, śliczna - odrzekła.

- Zna się pani na przepowiadaniu pogody, prawda? - spytał grzecznie.

- Można tak powiedzieć - odpowiedziała równie uprzejmie. Był miłym mężczyzną. Miała nadzieję, że nie powie nikomu o bałaganie, który widział w sypialni. Nie wiedziała, dlaczego martwi się tak nieistotnymi rzeczami.

- Jakiego rodzaju to są chmury? - zapytał, wskazując przez boczne okno.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła drobne chmurki.

- To są cirrusy.

- A jak wyglądają z dużej wysokości? - pytał dalej.

- Prawie zupełnie tak samo - uśmiechnęła się - z tą różnicą, że zamiast nieba pomiędzy nimi, widzi się powierz-

chnię ziemi. Jednak chmury wyglądają podobnie z obu stron, tylko tło jest inne.

Nagle z jej twarzy zniknął sztuczny uśmiech i zapatrzyła się beznadziejnym wzrokiem w cienkie warstwy chmur. Nie mogła myśleć o tym, jak bardzo była zrozpaczona. Gdyby pozwoliła sobie na to, wybuchnęłaby płaczem. Jak Jake mógł wstać i wyjść, nie mówiąc jej o tym? Po prostu wyjść. Jak mógł?

- Jaki tłum! - powiedział kierowca, kiedy podjechali pod międzynarodowe lotnisko w Houston. Zagwizdał.

Jill wyrzała przez okno i zobaczyła wielki tłum ludzi przed budynkiem.

- Może - zaczęła mówić, ale nagle umilkła, kiedy zobaczyła powiewające flagi - czerwone, białe i niebieskie flagi z podobizną swojej twarzy pośrodku.

- Och, mój Boże! - wyszeptała. Paul nic jej nie wspominał o tym, co będzie się działo na lotnisku. Była zupełnie nie przygotowana.

Popatrzyła na niebo, potem z powrotem na kamery telewizyjne, a kiedy samochód zatrzymał się na parking, zobaczyła Paula prowadzącego w jej stronę grupę ludzi. Jill siedziała zupełnie sparaliżowana.

Wtedy Paul otworzył drzwi, uśmiechnął się szeroko i wyciągnął do niej rękę. Nie wiedziała, jakim sposobem udało się jej uśmiechnąć, ale nagle uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Nie poruszając się, rzuciła na Paula mordercze spojrzenie. Potem nie tracąc zimnej krwi i wciąż uśmiechając się, wysiadła z samochodu.

- Jill? - powiedział prosto do jej ucha. - Czy widziałas Jake'a?

- Nie - odpowiedziała, a jej uśmiech nieco przygasł.
- A ty?

- Też nie. Powinien być tutaj dwadzieścia minut temu - mówiąc te słowa, przeniósł wzrok z jej twarzy w dół. Spojrzał znów w górę zdziwiony. - Co ty, na Boga, masz na nogach, Jill? - syczał przez zaciśnięte zęby. - Buty - odpowiedziała zuchwale. - Mielście wszyscy tyle zastrzeżeń do

mojej sukni wczoraj wieczorem, pomyślałam więc, że dzisiaj ubiorę się bardziej tradycyjnie - obdarzyła go protekcyjnym uśmiechem.

Paul zwrócił się do kamerzystów:

- Czy moglibyście podnieść obiektywy trochę wyżej, panowie? Tak żeby ujęcie było od pasa w górę - odwrócił się do niej z powrotem. - Te buty mogłyby być dobre do zbierania bawełny.

- To są moje spacerowe buty - odpowiedziała Jill swobodnie.

- No, dobrze - mruknął - ale chyba wiesz, że my lecimy do Nowego Jorku, a nie idziemy.

Przestała go słuchać. Kątem oka zobaczyła pędzącego białego Mercedesa, który podjechał i zatrzymał się tuż za jej samochodem. Widziała, jak Jake otwiera drzwi i pośpiesznie wysiada.

Wystrojony w niebieski mundur Sił Powietrznych, wyprostował się i skierował w ich stronę.

Wpatrywała się w niego, nie mrugając oczami, a serce waliło jej dziko w piersi.

Jake z niechętnym uśmiechem pozdrowił reporterów i podszedł do Jill i Paula.

- Dzień dobry, Jill - przywitał ją bladym, wymuszonym uśmiechem. Paula zignorował zupełnie.

Zirytowana uniosła brwi, ale nie odpowiedziała. Jej niebieskie oczy obserwowały bacznie jego twarz. Po chwili zwróciła się do Paula:

- Co teraz? - spytała cicho.

- Mikrofony są umocowane przy głównym wejściu. Pozdrowisz tłum a potem odlecimy. Wszyscy inni są już w samolocie - rzucił chłodne spojrzenie na Jake'a - A ty możesz iść z nami albo wsiąść do samolotu, jak wolisz, pułkowniku.

- Pójdę do samolotu - odparł Jake zmęczonym głosem.

Jill wyciągnęła rękę i chwyciła go za rękaw munduru.

- Jake, wołałabym, żebyś raczej poszedł ze mną.

- Jest tylko jedna drobna sprawa - wtrącił Paul obojętnie- Ten tłum chce widzieć ciebie.

Patrzyła bezradnie, jak Jake idzie sztywnym krokiem przez zbiegowisko tłoczących się ludzi i znika z pola widzenia. Zwróciła wściekle spojrzenie na Paula.

- Dlaczego to zrobiłeś? Połowa sukcesu misji to jego zasługa, Paul. Dlaczego traktujesz go w ten sposób?

Początek podróży, która miała być wspaniała, na razie zapowiadała się nieciekawie.

Gdzieś z oddali usłyszała grupę śpiewającą chórem:

Lecimy w dziką, błękitną przestrzeń.

Żeglujemy wysoko... po niebie.

Nagle piosenka ucichła i Jill usłyszała:

Przebyłaś długą drogę, maleńka.

Spójrz, gdzie jesteś dzisiaj.

Szła tuż za Pauliem przez wiwatujący tłum. Podeszli do prowizorycznie skleconej platformy zastawionej mikrofonami. Siłą woli starała się uspokoić sensacje dziejące się w żołądku. Kiedy stanęła przed mikrofonami, w tłumie ludzi otaczającym ją gigantycznym półkolem zapadła natychmiast cisza. Jill przełknęła ślinę i zrobiła krok do przodu.

- To miła niespodzianka - powiedziała z uczuciem.

- Nie spodziewałam się, że będzie was dzisiaj tutaj tak dużo - patrzyła przed siebie spokojnym wzrokiem. - Uczestniczenie w misji „Wenus” było dla mnie wspaniałym doświadczeniem. Zawsze będę wdzięczna, za to, że dano mi taką możliwość, i chociaż to byłam właśnie ja, dotyczy to także wszystkich młodych dziewczyn, wszystkich młodych kobiet, które ośmielają się patrzeć w przyszłość i marzyć - przerwała i uśmiechnęła się szeroko. - To prawda, że przebyliśmy długą drogę, ale nie możemy jeszcze zwycięsko bić się w piersi. Myślę, że zostały przyznane pieniądze na to, aby zbudować nam kuchnię w środku kosmicznego laboratorium.

Roześmiała się głośno i serdecznie, tak jak to zrobili wszyscy inni z wyjątkiem Paula Tiptona, który nagle poblekł. Jill uniosła w górę obie ręce.

- Wspaniale jest mieszkać w Houston! Dziękuję wam!
- zeszła szybko z platformy i zaraz poczuła, jak ręka Paula wbija się jej w ramię.

Nic nie mówiąc, poprowadził ją przez tłum. W jego szeroko otwartych oczach widniało przerażenie i niedowierzanie. Kilka sekund później dotarli do wyjścia i w końcu znaleźli się w środku luksusowego odrzutowca Sił Powietrznych. Pierwsze spojrzenie Jill padło na Jake'a, a kiedy zobaczyła go siedzącego obok Harrisona Taylora z przodu samolotu, westchnęła, przeszła pokrytym dywanem przejściem między siedzeniami i wślizgnęła się na siedzenie z tyłu.

Paul usiadł obok niej nie pytając o zgodę.

- Jill, unikaj na przyszłość wszystkich tych feministycznych aluzji - powiedział kwaśno. - Rozumiesz mnie?

Odwróciła gwałtownie głowę w jego stronę.

- Na Boga, Paul! Czy to nie jest Ameryka? Czy nie mam swobody wypowiedzi? Nikt nie wziął tego poważnie.

- Tak, to jest Ameryka i masz swobodę wypowiedzi - mlasnął językiem o podniebienie - dopóki wszystko jest zgodne z programem. Poza tym, Jill, jesteś orędownikiem ... przepraszam, orędowniczką całego programu. Uwagi takie jak ta z pewnością nie zdobędą dla ciebie serca tych, którzy kierują badaniami przestrzeni kosmicznej - westchnął ciężko, przechylając powoli głowę z boku na bok. - Począwszy od Nowego Jorku będziemy przygotowywać przemówienia dla ciebie i będziesz musiała trzymać się tekstu. Muszę cię także ostrzec, że wszystkie te feministyczne grupy - radykalne, umiarkowane i konserwatywne - mają zamiar otoczyć cię jak hałaśliwa plaga i - przerwał dramatycznie - musisz unikać, Jill, unikać wszelkich kontaktów z tymi grupami. Rozumiesz mnie?

Nie było to oczywiście pytanie zadane po to, aby na nie odpowiedziała, ponieważ zaraz potem ciągnął dalej.

- Rozumiem, że kobiety mają pewne słuszne żądania, ale musisz zrozumieć, że program badań kosmicznych nie jest dobrym miejscem na rozwiązywanie takich problemów.

Jesteś kobietą, Jill i poleciałaś w kosmos. To powinno mówić samo za siebie.

Odwróciła się nagle i obdarzyła go sarkastycznym uśmiechem.

- Tak jest, panie Tipton. To bardzo wyraźnie mówi samo za siebie, zwłaszcza, kiedy weźmiemy pod uwagę, jak długo trwa ten program, jak wiele lat zabrało mnie - kobiecie, aby zostać powołaną do tej misji. To rzeczywiście bardzo wyraźnie mówi samo za siebie. Czy mam zawdzięczać ten wielki zaszczyt paru nadętym, starym politykom, którzy trzymają w rękach wszystkie sznurki i kierują programem, czy też mam zawdzięczać to tym grupom, które wywierały nacisk na tych starych polityków i które domagały się tego, żeby kobiecie astronautce pozwolono uczestniczyć w kosmicznej misji? Powiedz mi, komu to zawdzięczam?

- Czy nie widzisz, że to nie ma znaczenia - oświadczył.
- To nie ma znaczenia, że jesteś członkiem programu badań przestrzeni kosmicznej i że reprezentujesz go z powagą i godnością, jakiej się od ciebie wymaga - teraz Paul był już wyraźnie zirytowany. - Kobiety nie potrafią korzystać ze szczęśliwej okazji. Nigdy nie są zadowolone. Teraz kobiety są wszędzie - na najwyższych stanowiskach, są wysokimi urzędnikami, burmistrzami, gubernatorami. Czego wszystkie chcecie? Żeby kobiety rządziły światem? - fuknął wściekłe. - Czy chcesz, żeby kobieta rządziła w Białym Domu?

Jill uniosła jedno ramię w hardym geście.

- Po co, na Boga, miałybyśmy tego chcieć? Przecież wy, mężczyźni zrobiliście tak wspaniałą, zdumiewającą robotę. Spójrz tylko na ten świat. Czy nie jest doskonały? Spokojny i wspaniały? Nie ma wojen, głodu, chciwości, nie ma niebezpiecznej broni, która może wysadzić nas w powietrze tak, że dolecimy do Merkurego. Mężczyźni stworzyli doskonały świat. Dlaczego jakaś kobieta nie mogłaby chcieć im pomóc ulepszać świat? - powiedziała i zakończyła już mniej sarkastycznie. - Nigdy nie byłam związana z żadną feministyczną grupą, Paul, ponieważ nie chciałam martwić mojej

matki. Wychowała się na ranczo i przywykła do tutejszego życia.

Paul osunął się na krzesło.

- Jesteś niemożliwa, Jill. Naprawdę niemożliwa. Być może to lot tak wpłynął na ciebie, może rzeczywiście miał jakiś wpływ. Stałaś się tak agresywna i gniewna. Nie byłaś taka przed lotem. Co się z tobą stało?

Zamknęła oczy i powiedziała zamyślona:

- Myślę, że to ty wydobywasz ze mnie wszystko, co najgorsze Paul, naprawdę tak myślę - otworzyła oczy i spojrzała prosto na niego - nie podoba mi się sposób, w jaki traktujesz Jake'a. Zachowujesz się tak, jakby on nie miał nic wspólnego z sukcesem misji. Pomniejszasz jego zasługi, kiedy tylko masz okazję, jak na przykład teraz, parę minut temu. Ignorujesz go lub spychasz go w tło.

- Dr Danbury - zaskrzeczał - niepotrzebnie martwisz się o Jake'a Whitneya. Znam go już od dłuższego czasu. On tylko chwilowo jest w tle. Zaczekaj aż wylądujemy w Nowym Jorku i spotka się z Heleną Anderson. Znajdzie się na widocznym miejscu, wierz mi.

Oczy Jill stały się nagle martwe i nieobecne. Nie chciała wierzyć Paulowi, ale z jakichś powodów wierzyła mu. Nagle w jej głowie wyraźnie zabrzmiały słowa, które Jake powiedział ostatniej nocy: „Cokolwiek stanie się jutro, Jill, będziemy musieli to zaakceptować”. Czy to miał na myśli? To, że za parę godzin będzie musiała zaakceptować związek Jake'a z Heleną?

Kilka minut po wystartowaniu samolotu, Paul odpiął pasy bezpieczeństwa i spojrzał na Jill.

- Jill, czy od teraz mogę liczyć na twoją współpracę? Potrzebuję naprawdę prostej odpowiedzi - tak lub nie.

- Nie będę robić zamieszania w programie - wyszeptwała.
- Obiecuję.

- Dobrze - odetchnął z ulgą i stanął obok niej. - Musisz sobie uświadomić, że jesteś narodową sławą, jesteś sławną Amerykanką i że twoje nazwisko będzie umieszczone w książkach historycznych. Nie sędzę, żebyś już była oswojona

z tym faktem. Musisz to zrobić dla spokoju własnego umysłu. Musisz wiedzieć, kim jesteś - odchrząknął zakłopotany. - Przepraszam za tę wcześniejszą rozmowę. Wydaje mi się, że straciłem panowanie nad sobą. W każdym razie — przepraszam.

Jill powoli skinęła głową.

- W porządku, Paul. Ja też straciłam panowanie. Wydaje się, że ostatnio wszyscy łatwo się irytują.

Paul stanął w przejściu.

- Muszę popracować nad notatkami i relacjami prasowymi. Wróć do ciebie, zanim wylądujemy w Nowym Jorku.

Jill skinęła jeszcze raz głową, ale nie powiedziała nic.

Parę minut później, trzymając w ręku filiżankę kawy podaną jej przez obsługę samolotu, Jill oparła czoło na oknie i patrzyła w dół na wspaniałą krajobraz. Popijając kawę, spoglądała na kolorowe połacie Teksasu, który wyglądał jak we śnie, osnuty cienkimi, falistymi chmurami. Teksas. Houston. Jej mieszkanie. Kraina pięknych, niezwykłych baśni. Ziemia szybko przesuwała się pod nimi. Jej życie z Jake'm przechodziło do przeszłości.

- Czy mogę tutaj usiąść?

Odwróciła głowę w stronę przejścia i zobaczyła Jake'a.

- Oczywiście, proszę, siadaj.

Wślizgnął się z wdziękiem na miejsce obok niej.

- Próbowałem zadzwonić do ciebie dziś rano, Jill, ale mój telefon był zepsuty - zaczął łagodnie.

Uważnie obserwowała jego twarz.

- Dlaczego wyszedłeś i nie obudziłeś mnie?

- Spałaś tak spokojnie, że nie chciałem cię budzić. Pomyślałem, że pozwolę ci spać do czasu aż dojadę do domu i zadzwonię, aby cię obudzić. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, dlaczego mój telefon się zepsuł. Do mnie można było się dodzwonić, ale ja sam nie mogłem się połączyć.

- Czy ktoś dzwonił do ciebie?

Jake mówił dalej, nie odpowiadając na jej pytanie.

- Spakowałem się tak szybko, jak tylko mogłem i pojechałem z powrotem do ciebie, żeby upewnić się, że wstałaś. Kiedy tam przyjechałem, ciebie już nie było. To dlatego się spóźniłem.

Dzwoniła do niego Helena Anderson. Jill była o tym przekonana. To dlatego tak szybko wyszedł z jej mieszkania. Spieszył się do domu, aby odebrać telefon od ... tej kobiety.

Jake roześmiał się nagle wesoło.

- Słyszałem o twoich uwagach na lotnisku na temat kuchni. To było dobrze powiedziane. Prostota prawdziwie liberalnej sławnej astronautki.

- Wolałabym raczej o tym nie mówić - powiedziała z pewnym rozdrażnieniem.

- Dobrze - zgodził się z uśmiechem. Co powiesz na to, że podobają mi się twoje buty? Czy robi ci się lepiej?

Uśmiechnęła się lekko do niego.

- Jeżeli to prawda, Jake'u Whitney, to masz okropny gust, ale i tak cię lubię, bez względu na to, jaki masz gust. Chociaż, z pewnych powodów, powinieneś już o tym wiedzieć.

Wziął jej rękę w swoje dłonie, potem oparł się wygodnie w fotelu i zamknął oczy.

- Och, Jill, jak dziwne jest to, co się dzieje w naszym życiu.

Patrzyła w dół przez gęste, czarne rzęsy. Nie odpowiedziała. Kochała go, nie wstydząc się tego. Kochała go bez granic. Kochała go zupełnie i całkowicie.

Oparł głowę o jej ramię i zasnął. Jill przez chwilę obserwowała go, po czym osunęła się nieco w dół, oparła swoją głowę o jego i także zasnęła. Spali razem, niepomni zdziwionych spojrzeń innych ludzi, niepomni tego, że ich drzemka nie ma wpływu na szybkość, z jaką te wielkie, srebrne skrzydła niosły ich ku ich przeznaczeniu.

Rozdział XI

Trzydzieści minut przed lądowaniem na nowojorskim lotnisku Paul Tipton potrząsał Jake'a za ramię. Oboje - Jake i Jill obudzili się i otworzyli oczy.

- Nie chciałbym wam przeszkadzać w drzemce, bo najwidoczniej oboje jej potrzebujecie, ale muszę porozmawiać z Jill.

Jake patrzył długo na Paula, po czym odwrócił się i mrugnął do Jill. Bez słowa wstał i odszedł.

Paul usiadł na miejscu Jake'a obok niej.

- Jill, przynieśliśmy twoją walizkę. Musisz założyć rajstopy bez oczek i inne buty. Poza tym wszystko jest w porządku.

- Dziękuję - ziewnęła.

- Potem pokażę ci twoje przemówienie, dobrze?

- Dobrze.

Jill wyprostowała się w fotelu, aby zobaczyć, co robi Jake. Rozmawiał znowu z Harrisonem i jego dwoma asystentami. Jill potarła oczy i wstała.

W ciągu paru minut zmieniła rajstopy i buty i odświeżyła się. Potem wróciła na fotel, żeby przeczytać przemówienie, które Paul dla niej przygotował. Po przeczytaniu zmięła papier i oddała mu z powrotem.

- Będę mówić własnymi słowami, Paul, ale nie musisz się martwić.

Na lotnisku czekał helikopter, aby zabrać ich wszystkich na Manhattan. Zaspana Jill orzeźwiła się, kiedy śmigła wzniosły ich ponad lotnisko i uniosły w kierunku drapaczy chmur w centrum miasta. Kilka minut później helikopter

wylądował na dachu. Szybko zeszli do wind, a potem wsiedli do czekających limuzyn, które zawiozły ich na ratusz, gdzie mieli być oficjalnie powitani przez burmistrza i podekscytowany tłum.

Jill przypomniało to chwile przed startem w Cape. Wszystko działo się tak szybko, że nie miała nawet czasu, aby się nad tym zastanowić. Siedziała teraz pośrodku tylnego siedzenia w pierwszym samochodzie z Jakem i Pauliem po obu stronach. W limuzynie, torującej sobie z trudem drogę przez zatłoczone ulice, panowała niezręczna cisza.

- Chciałabym iść do sklepu Macy - powiedziała w końcu Jill. - Nigdy tam nie byłam.

- Nie będziesz miała czasu - odparł Paul oschle. - Nie mamy w planie zakupów.

- Do diabła! - wybuchnął Jake gniewnie. - Jeśli ona chce iść do sklepu, to wprowadź to do tego cholernego planu.

Paul odparł na to żałośnie:

- Plan nie może być zmieniony. Każda minuta jest wypełniona.

- W porządku, tak naprawdę to nie zależy mi tak bardzo na zakupach - powiedziała Jill, chcąc uspokoić kłótnię - tak sobie pomyślałam.

Powitanie w ratuszu przeszło bardzo dobrze. Burmistrz był sympatyczny i serdeczny, a tłum na zewnątrz olbrzymi. Po otrzymaniu symbolicznego klucza do miasta i wysłuchaniu kilku przemówień podczas uroczystości na świeżym powietrzu, Jill pospieszyła z powrotem do limuzyny, która zawiozła ich do hotelu Waldorf-Astoria, gdzie mieli się zatrzymać podczas pobytu w mieście.

Przed hotelem czekał na nią kolejny tłum. Kiedy wysiedli z samochodu, spojrzenie Jill zatrzymało się na kobiecie, którą wcześniej filmowali kamerzyści. Spotkała się w końcu twarzą w twarz z Heleną Anderson.

Oczywiście, kiedy samochód zatrzymał się, operatorzy kamer natychmiast zwrócili obiektywy w jego stronę. Jill uśmiechnęła się promiennie i pomachała do tłumu. Wiedzia-

ła, że Jake jest z nią, i bardzo chciała się odwrócić, aby spojrzeć na niego. Jednak z całych sił starała się patrzeć prosto przed siebie.

Helena Anderson była krzykliwie ubraną, rudowłosą kobietą z włosami zaczesanymi na boki. Kiedy się uśmiecha, jej usta wyglądają jakby były wypełnione wypolerowanymi, fortepianowymi klawiszami, pomyślała Jill.

Aktorka pierwsza podeszła do Jill.

- Dzień ... dobry, dr Danbury, miło mi panią poznać - powiedziała słodkim głosem.

Kobiety patrzyły na siebie dłuższą chwilę w milczeniu, zanim Jill odparła uprzejmie:

- Dziękuję.

Po tych słowach odwróciła się i zaczęła iść w stronę hotelu.

Kiedy usłyszała: „Jake, kochanie!”, musiała się odwrócić, nie mogła na to nic poradzić. W chwili, kiedy to zrobiła, ramiona rudej pochłonęły Jake'a. A kiedy zobaczyła jego ręce obejmujące aktorkę w talii, poczuła, jakby coś chwyciło ją za serce a jednocześnie coś innego zaczęło w niej usychać i umierać. Odwróciła się zuchwale, weszła do hotelu, przywitała się z uśmiechem z obsługą, podczas gdy Jake witał się dalej na chodniku z Heleną.

To jest początek końca, pomyślała Jill, kiedy rozgościła się w swoim apartamencie i usiadła samotnie w ciemności na wypolerowanym stoliku koło okna. Miała całe dziesięćdziesiąt minut dla siebie. Półtorej godziny samotności i poczucia dziwnej pustki. Nie miała wątpliwości, że Jake nie czuje ani samotności ani pustki. Kiedy zobaczyła jego ramiona wokół talii Heleny Anderson, poczuła się tak, jakby zabrakło jej powietrza w płucach. Po raz pierwszy zapragnęła, aby to, co wydarzyło się ostatniej nocy nie zdarzyło się, chciała zapomnieć o całym ostatnim roku, żałowała, że pozwoliła Jake'owi wejść w swoje życie i wypełnić wolne miejsce, które przeznaczyła dla ukochanego mężczyzny. Teraz kochała go i on o tym wiedział, a był z inną kobietą. Czowała się opuszczona i zazdrosna.

Siedziała długo, patrząc przez okno, potem chwyciła słuchawkę i zadzwoniła do domu.

Powitanie nie było bolesne, jak się tego obawiała, ale była wdzięczna, że nikt z rodziny nie może widzieć wyrazu jej twarzy. Głos mógł ukryć jej uczucia, ale poważnie wątpiła w to, czy jej twarz to potrafi.

Kiedy tylko odłożyła słuchawkę, zadzwonił telefon.

- Halo - powiedziała.

- Jill, co robisz? - zapytał Jake.

- Nic - zamilkła na chwilę. - Dlaczego pytasz?

- Może chciałabyś gdzieś wyjść na godzinę albo dłużej?

- Dokąd?

- Pomyślałem, że moglibyśmy złapać taksówkę i pojechać na zakupy. Przez półtorej godziny nie mamy nic zaplanowanego. Co o tym myślisz?

- Nie wiem - zawahała się. - Czy sądzisz, że możemy?

- Gdybym tak nie sądził, nie dzwoniłbym do ciebie.

Myślę, że należy nam się godzina wolności. Chodź, Jill. Kiedy wrócimy, będziemy mieć jeszcze mnóstwo czasu, aby ubrać się na wieczorne przyjęcie.

Przez chwilę panowała cisza.

- Gdzie jest twoja przyjaciółka?

- Tracisz czas. Chcesz iść na zakupy, czy nie? - odpowiedział po chwili lekko zirytowanym tonem.

- Tak, chcę iść.

- W porządku. Nie będę po ciebie przychodził. Spotkamy się na dole na chodniku przy wejściu za pięć minut.

- Niech będzie - zgodziła się.

Kiedy odłożyła słuchawkę, siedziała bez ruchu przez całą minutę, potem wstała i spojrzała przez okno na lekko zamglone, słoneczne popołudniowe niebo. Wstała i popatrzyła w dół na miasto. Było późne, złociste popołudnie i nagle Jill poczuła się znowu bardzo dobrze.

Wzięła torebkę, otworzyła drzwi i ze zdziwieniem zobaczyła dwóch mężczyzn stojących na zewnątrz.

- Wychodzisz gdzieś? - spytał Paul Tipton chłodno.

- Spojrzała najpierw na Paula potem na Harrisona. Uśmiechnęła się skrzępowana i powiedziała:

- Chciałam pospacerować na zewnątrz przez kilka minut. Czuję się jak uwięziona - potrząsnęła głową. - Nie będę szła daleko.

- Dobrze, że cię złapaliśmy - powiedział Paul oschle. - Mamy z tobą kilka spraw do omówienia i nie jest to dobry pomysł, aby spacerować samotnie po ulicach Nowego Jorku czy jakiegokolwiek wielkiego miasta.

- Czy możemy wejść, Jill? - spytał Harrison.

Spojrzała na niego.

- Oczywiście.

Odwróciła się i wprowadziła mężczyzn do środka. Zerknęła na zegarek. Pięć minut właśnie minęło. Patrzyła niecierpliwie to na Paula to na Harrisona.

- O co chodzi? - spytała, wyobrażając sobie Jake'a, jak chodzi po chodniku przed hotelem. Dotknęła brwi czubkami palców, dziwiąc się ironii sytuacji.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy usiedli, Jill? - zapytał Harrison, patrząc na nią nieco podejrzliwie piwnymi oczami. Zanim odpowiedziała, usiadł na kwiecistym krześle naprzeciwko sofy, nie odrywając oczu od Jill.

- Mamy kilka ważnych spraw dotyczących wieczornego przyjęcia - powiedział Harrison, bębniąc bezgłośnie palcami o oparcie krzesła. Kiedy uniosła pytająco brwi, mówił dalej.

- Dołączy do nas ambasador Narodów Zjednoczonych i senatorowie McInn i Penamen - odchrząknął. - Wiesz, Jill, zdaję sobie sprawę z tego, że dajemy ci mało swobody, ale...

- Na pewno nie powiem nic niewłaściwego - przerwała mu chłodno. - Rozmawiałam już o tym z Paulem.

Harrison potarł szyją o kołnierzyk koszuli. Jedna część jego twarzy zmarszczyła się i zaraz rozpogodziła.

- Nie martwię się o to, co możesz powiedzieć, ale zaczynam martwić się o ciebie, Jill.

Usiadła na oparciu sofy z daleka od Paula.

- Dlaczego, Harrison? Czy robię coś złego? - wzruszyła ramionami. - Jeśli tak, to powiedz mi, spróbuję się poprawić.

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, myślę, że radzisz sobie doskonale. Jednak kiedy patrzę na twoje uśmiechy i spokojne słowa, które publicznie wypowiadasz, mam wrażenie, że nie cieszysz się naprawdę z tego, co robisz.

Znowu zerknęła na zegarek. Minęło już piętnaście minut. Skierowała oczy do góry i lekko potrząsnęła głową. Nie zdziwiła się, kiedy w następnej chwili zadzwonił telefon. Wstała z sofy, lecz Paul pierwszy sięgnął po słuchawkę i powiedział:

- Ja odbiorę.

Otwierała już usta, żeby zaprotestować, kiedy usłyszała jak mówi:

- Apartament dr Danbury.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami, jak Paul potrząsa głową i odkłada słuchawkę.

- Przypuszczam, że komuś odechciało się z tobą rozmawiać.

Jill patrzyła na telefon, a potem zwróciła się z powrotem do Harrisona

- To nie jest tak, że nie podobają mi się te fanfary na moją cześć - powiedziała cicho. - Chodzi po prostu o to, że mam pewne trudności z przyzwyczajeniem się do tego. Nie spodziewałam się aż takiego zainteresowania - roześmiała się nerwowo.

Harrison wstał gwałtownie z krzesła.

- Nie zmuszaj się do niczego. Niech to przyjdzie naturalnie - klasnął w dłonie. - Paul porozmawia jeszcze z tobą o wieczornej uroczystości i spotkamy się na dole - zerknął na zegarek - za godzinę.

Patrzyła za nim, jak wychodzi, potem zwróciła podejrzliwe oczy na Paula.

- Czy mogę ci podziękować za to cholerne spotkanie? - powiedziała zniechęcona.

- Jill, byłaś taka głupia - powiedział nagle porywczym głosem. - Zupełnie głupia. Pozwoliłaś Jake'owi zniszczyć te

chwile swojego życia, które mogłyby być najszcześniejsze, najwspanialsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżyłaś.

Widziałem, jak patrzyłaś na niego, kiedy obejmował Helenę Anderson. Widziałem to, Jill i zabolął mnie ten widok. Przysięgam, że tak było.

Jill zacisnęła dłoń w pięść i patrzyła na Paula ze zdziwieniem.

- Nie wydaje mi się, żebyś mówił o tym, o czym wspomniał Harrisom Proszę, nie wtrącaj się do moich prywatnych spraw. Jeżeli chcesz powiedzieć coś na temat wieczornego przyjęcia, to na Boga, powiedz. A jeśli nie, to proszę cię, żebyś wyszedł, muszę zacząć się przygotowywać.

Skoczył na nogi i podszedł do niej. Jill odsunęła się, chciała uniknąć jakiegokolwiek kontaktu.

- Uciekasz ode mnie, Jill. Dlaczego? - spytał, zbliżając się do niej.

Nie odpowiedziała, tylko odsunęła się jeszcze dalej. Nagle pojawił się tuż przed nią, kiedy cofając się dotknęła plecami ściany.

- Czy zamierzasz pozwolić mu zburzyć swoją szansę na szczęście? - dopytywał się, wyciągając ręce i przyciskając jej ramiona do ściany.

- Szczęście? - wydusiła z siebie. - To nie Jake, Paul. To ty! Ty! Ty sprawiasz, że nie mam chwili spokoju. Już przed lotem miałeś swój prywatny plan, aby unieszczęśliwić mnie tak bardzo jak to tylko było możliwe. To nie Jake. Kocham go i on mnie kocha.

- Głupia jesteś! - nie mógł ukryć wściekłości, która w nim zawrzała. Widać ją było na jego twarzy i w oczach. Nagle porwał ją w ramiona i zaczął ją całować w napadzie wściekłości.

Oszalała Jill próbowała uwolnić się od niego, ale trzymał ją mocno.

- Paul! - wykrzyknęła.

Kiedy usłyszał swoje imię, zaczął całować ją jeszcze gwałtowniej i bardziej nieustępliwie. Przyciskał ją do ściany tak mocno, że aż sprawiło jej to ból.

Nagle w pokoju rozległ się jakiś dźwięk. Jill oswobodziła usta od natarczywych pocałunków Paula, aby spojrzeć prosto w twarz Jake'a, który stał bez ruchu w drzwiach z ręką na klamce.

- Jake! - wykrzyknęła.

Popatrzył na nich bez słowa, potem zrobił krok do tyłu i wycofał się, głośno zamykając drzwi. Jill znowu poczuła, jak ramiona Paula obejmują ją.

- To nie ma znaczenia, Jill, kochanie - wymamrotał niskim głosem. Jego usta zbliżyły się do niej, ale tym razem udało się jej wyrwać.

- Jeżeli zaraz stąd nie wyjdiesz, Paul, to będziesz musiał wytłumaczyć Harrisonowi, dlaczego nagle pojechałam do Denver.

Odsunął się od niej.

- Jill - nalegał drżącym głosem - czy nie widzisz? Kocham cię. Nie chcę cię skrzywdzić. Dlaczego miałbym to zrobić? Przecież cię kocham.

- Bardzo mi przykro - powiedziała ze spuszczoną głową, opanowanym i stanowczym głosem, cofając się kilka kroków - ale proszę cię, odejdz. Proszę.

Wpatrywał się w nią oszołomiony.

- Ja... ja nie wiem, dlaczego nie możesz tego dostrzec, Jill. Byliśmy przez te wszystkie lata o wiele bardziej sobie bliżsi niż ty i Jake. Pomyśl o tych wszystkich godzinach, które spędziliśmy razem. Z pewnością wiesz o tym, że cię kocham. Czy musiałem ci to mówić? Czy nie wiedziałaś tego wcześniej? Czy nie wiedziałaś tego już od miesięcy, od lat?

Podeszła do drzwi.

- Nie, Paul. Nie pomyślałam o tym ani przez chwilę. Wyobraź sobie, że jedynie z trudem zmuszałam się do tego, aby traktować cię jak przyjaciela. I nigdy nie przekonałam się do końca, że nim jesteś.

Przeszedł dystans dzielący ich.

- I pewnie myślisz, że Jake jest twoim najlepszym przyjacielem, co? Myślisz tak, ponieważ był twoim kochankiem, co uczyniło z niego najlepszego przyjaciela - prychnął

prosto w jej twarz. - No więc powiem ci, że twój największy przyjaciel i kochanek zamierza ożenić się z kobietą, która tak namiętnie przywitała go przed hotelem - zakończył ostro.

Chwilę później, kiedy Paul wyszedł, Jill zamknęła drzwi na zamek i oparła się o nie plecami. Czowała zawrót głowy, czuła się prawie tak, jakby straciła kontrolę nad sobą. Patrzyła prosto przed siebie.

Nie chciała wierzyć Paulowi. Chciała wierzyć, że chodziło mu tylko o to, aby jeszcze bardziej skomplikować jej, już i tak zbyt skomplikowane, życie. Nie chciała wierzyć w to, co powiedział o Jake'u i Helenie Anderson. Nie wierzyła także w to, że Paul ją kocha. Przypomniała sobie, że kiedy była małą dziewczynką i słyszała coś, w co nie chciała wierzyć, to po prostu nie wierzyła w to. Pewnego roku, gdy miała pięć lat, rodzice zabrali ją do wielkiego sklepu w Denver, aby zobaczyła Świętego Mikołaja. Z radością wdrapała się na jego wysokie kolana i wyszeptala mu do ucha swoje życzenie na temat prezentów, które chciałyby dostać. Potem wyszła ze sklepu trzymając mamę i tatę za rękę.

Kiedy wracali wtedy samochodem na ranczo, jej ojciec spytał ostrożnie:

- O co poprosiłaś Mikołaja, Jill?

Założyła ręce na piersi i oświadczyła:

- Nie mogę ci powiedzieć, tato. To jest tajemnica między mną a Mikołajem. Powiem ci rano w święta.

Przez następne dwa tygodnie rodzice na wszelkie sposoby starali się wydobyć z niej sekret, jaki powierzyła Mikołajowi. Nie udało im się, Jill nie chciała nic powiedzieć.

W końcu na dwa dni przed Bożym Narodzeniem zrozpaczony ojciec powiedział:

- Kochanie, jeśli nie powiesz tatusiowi, to Mikołaj nie przyniesie ci nic z tego, o co go prosiłaś.

Nie wierzyła w to.

W końcu ojciec przyznał się:

- Jill, to ja jestem Świętym Mikołajem. Twoja mama i ja, wszystkie mamy i wszyscy tatusiowie na całym świecie są Świętymi Mikołajami.

Jill zupełnie w to nie wierzyła.

Nadeszły święta, w których poznała prawdę. Kiedy wstała rano, znalazła pod choinką lalki i dom dla nich zamiast kucyka, o którego prosiła Mikołaja w sklepie w Denver. Powoli zaczynała wierzyć. Nie dlatego, że chciała, ale kiedy patrzyła na lalki, czuła, że nie ma innego wyjścia.

Teraz, wpatrując się w pustą przestrzeń przed oczami, doznawała takich samych uczuć jak wtedy. To była prawda. Nie chciała w to wierzyć, ale to była prawda.

Ubierała się na przyjęcie jak w transie. Wciąż na nowo usiłowała przypomnieć sobie, co zobaczyła w szaroniebieskich oczach Jake'a, kiedy spojrział na nią i Paula. Zdziwienie? Może. Szok? Być może też. Pogardę? Tak. Jej chaotyczne myśli niemal całkowicie uniemożliwiały jej logiczne myślenie.

Założyła różową jedwabną suknię, zakryła dekolt i sięgnęła po pojedynczy sznur pereł. Popatrzyła na suknię bez większego zainteresowania. Ramiona i szyja Jill były odsłonięte, ale dekolt był aż przesadnie zakryty. Nic nie przypominało niebieskiej sukni, którą miała w Houston.

Usiadła na krześle przy toalecie i ukryła twarz w dłoniach. Chociaż chciała znaleźć ulgę w łzach, nie mogła wycisnąć z siebie ani jednej. Siedziała przy długi czas nieruchomo z twarzą ukrytą w dłoniach. Poleciała razem z Jake'm w gwiazdną przestrzeń i kiedy siedziała tak samotnie w apartamencie nowojorskiego hotelu, wydawało się jej, że tylko tam mogła być z nim razem -pośród gwiazd.

Rozdział XII

Wieczorne spotkanie przebiegało bardzo pomyślnie. Wszyscy byli w dobrych nastrojach. Jill była czarująca i pewna siebie. Po powitaniach podano drinki i przekąski w prywatnej sali przyjęć w hotelu, a stamtąd przenieśli się do teatru, aby obejrzeć musical „Camelot”.

Jake w towarzystwie Heleny wydawał się być całkowicie swobodny i zadowolony. W teatrze siedział dwa rzędy niżej od Jill. Jego twarz miała taki sam wyraz, jak na początku wieczoru. Jill nie miała najmniejszego pojęcia, o czym Jake może myśleć. Bardzo chciała zapomnieć o jego twardym, ironicznym spojrzeniu, którym obdarzył ją zaraz na początku wieczoru.

Nie czuła się winna z tego powodu, że Jake zobaczył jej kłótnię z Paulem. Poczucie winy nie było tutaj odpowiednim uczuciem. Nie czuła, że zraniła go lub jego miłość do niej. Trudno jej było czuć się winną, kiedy widziała rudowłosą aktorkę uwieszoną u jego ramienia. Patrząc na ich dwoje, trudno jej było uwierzyć, że Jake kiedykolwiek ją kochał.

Otrzymała przyjacielskie pozdrowienie od aktorów i zareagowała na nie ze wzrastającą dumą. Czuła się zmuszona do tego, aby pobudzać w sobie dumę i radość z sukcesu. Kiedy to robiła, łatwiej jej było pozbyć się zapędów, jakie miała ostatniej nocy, aby rozpaczliwie próbować trzymać Jake'a z dala od towarzystwa tej kobiety, która siedziała teraz przy jego prawym boku. Strach przed tym, że Jake odejdzie od niej do tej zaborczej aktorki, siedzącej teraz z uniesionymi brwiami, skłonił ją wczoraj wieczorem do uwodzenia Jake'a. Tak, to prawda, była jedyną osobą odpowiedzialną za to. Sama złapała się w pułapkę. Myśląc

o tym, poczuła nagle pulsowanie w zaczerwienionych policzkach. Rzuciła krótkie spojrzenie na Jake'a, a potem z powrotem zapatrzyła się na scenę, wzdychając skonsternowana. Czuła, że osiągnęła wielki sukces i jednocześnie poniosła równie wielką porażkę.

Kiedy sir Lancelot śpiewał: „Jeśli kiedykolwiek cię porzucę...”, Jill przeniosła wzrok z profilu ambasadora z powrotem na Jake'a. Tym razem jego ponure, szaroniebieskie oczy spojrzały na nią. Nie odwrócił głowy, tylko zwrócił na nią oczy. Serce w piersi Jill waliło jak oszalałe. Czy nie wiedział, jak bardzo go kocha? Jak to się mogło stać, że ostatnia noc była taka szczęśliwa a dzisiejszy wieczór taki straszny? Dlaczego to nie ona siedzi obok niego? Dlaczego nie dotyka jego ramienia, nie czuje jego ciepła? Ona była jego, ale on nie należał do niej. Bała się trochę swoich myśli. Pragnęła Jake'a Whitney'a. Pragnęła być z nim przez całe życie. Chciała go poślubić.

Kiedy zamilkły ostatnie słowa pięknej piosenki: „Nie, nigdy nie mógłbym cię opuścić - nigdy”, Jill wciąż patrzyła nieruchomo na Jake'a. Odwrócił się lekko i patrzył na nią wielkimi, łagodnymi oczami. Chciała się uśmiechnąć, ale nagle zwrócił oczy gdzie indziej. Był obcy i chłodny w stosunku do niej po tym, jak zobaczył ją z Paulem w pokoju.

Tej nocy, leżąc samotnie w łóżku, Jill przypomniała sobie pierwszą noc, jaką spędzili w kosmicznym laboratorium „Wenus”.

Nie mogła wtedy zasnąć, oszołomiona widokiem rozciągającym się z wahadłowca. Czuła się jak ziarenko piasku w wielkim wszechświecie. Każde z nich leżało, zapięte wygodnie w swoim śpiworze, we wnękach znajdujących się naprzeciwko siebie. Jake spał, a ona patrzyła na niego, podczas gdy wahadłowiec leciał przez niezmierną, pustą przestrzeń.

Jake otworzył wtedy w końcu jedno oko i popatrzył na nią.

- Zaśnij, Jill - polecił. - To wszystko będzie tutaj także rano, jak się obudzisz.

Tak też się stało.

Myśląc o pierwszej nocy spędzonej razem z Jake'm w przestrzeni kosmicznej, zapadła w głęboki sen.

Nastał piękny nowojorski poranek. Bładoniebieskie niebo powitało Jill, kiedy odsunęła zasłony i wyjrzała przez okno swojego apartamentu. Tego ranka miała odbyć się parada, a po południu odlatywali do Waszyngtonu.

Przeszła przez pokój, usiadła przy toalecie i rozczesała włosy. W pewnej chwili usłyszała ciche pukanie do drzwi. Nakładając szlafrok, wyszła z sypialni, przeszła przez salon i uchyliła drzwi na korytarz. Za nimi stał Jake. Szybko otworzyła drzwi na oścież.

- Cześć, Jake - powitała go ciepło.

- Dzień dobry, Jill - odpowiedział chłodnym tonem.

- Dobrze spałaś?

- Tak - skinęła głową.

Jednak zanim zdążyła zapytać, jak jemu minęła noc, mówił dalej.

- Pomyślałem, że wpadnę do ciebie, aby zawiadomić cię o paru zmianach w planie.

Wytrzeszczyła oczy w zdumieniu.

- Dobrze, wejdz, proszę.

Zawahał się, po czym wszedł do środka, ale sprawiał wrażenie jakby nie chciał wchodzić dalej.

- Jill, przyszedłem, aby powiedzieć ci o tym osobiście, żebyś nie zroszczyła tego źle.

Poczuła dziwne napięcie w okolicy serca.

- Żebyś czego źle nie zroszczyła, Jake? - spytała, próbując uśmiechem pokryć ogarniający ją niepokój.

- Po wizycie w Waszyngtonie dziś po południu, wracam do Houston.

Poczuła, jak część napięcia znika. Napięcia, które było związane ze strachem o to, że uwagi Paula na temat ślubu z Heleną Anderson potwierdzą się. Jednak w miejsce tych obaw pojawiły się inne.

- Dlaczego, Jake? - zapytała zdumiona z trudem łapiąc oddech.

Wzruszył ramionami.

- Och, trudno jest mi to wyjaśnić. Przegadaliśmy z Harrisonem prawie całą noc, Jill i tak naprawdę mówiłem już o tym dwa razy. Powtarzanie tego po raz trzeci mogłoby być trochę monotonne. Poza tym, to są naprawdę twoje własne występy. Nikt nie jest zainteresowany oglądaniem mnie, Jill i słusznie. Jestem jedynie tym facetem, który zabrał cię w kosmos, ale ty jesteś tą damą, która pierwsza tam poleciała - znowu wzruszył ramionami. - Szkoda, że nie uświadomiliśmy sobie tego lepiej na samym początku, nie musiałbym tutaj przyjeżdżać. To naprawdę o to chodzi.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie wierzę w to! Nie wierzę, że ty w to wierzysz! Tworzymy zespół, Jake. Poleciliśmy razem i gdybyś ty nie wrócił, ja też bym stamtąd nie wróciła - rzuciła mu błagalne spojrzenie. - Nic z tego, co mówisz nie ma sensu, więc powiedz mi naprawdę, dlaczego chcesz wyjechać?

Westchnął.

- Powiem ci za chwilę.

- Czy z powodu niej? - spytała Jill, nie mogąc już dłużej czekać.

- Kogo?

Wzięła głęboki oddech, próbując uspokoić drżenie głosu.

- No, panny Anderson. Czy ona ma coś wspólnego z twoim wyjazdem?

- Na Boga, Jill - powiedział ostro. - Czy nie możesz sobie w końcu zdać sprawy z tego, że ta kobieta jest aktorką? Chce zdobyć sobie publiczność. Tak naprawdę to wcale nie podoba mi się fakt, że jestem wykorzystywany do tego, aby wspomóc jej spadającą popularność - spojrzał prosto na Jill.

- Nie lubię być przez nikogo wykorzystywany, Jill. To nie jest zgodne z moją naturą.

- Paul powiedział mi, że zamierzasz się z nią ożenić - powiedziała po chwili wahania, patrząc na niego zakłopotana. - Powiedział mi o tym wczoraj.

Jake wzruszył ramionami.

- Kiedy zobaczyłem was oboje, nie wyglądało na to, żebyście rozmawiali - powiedział zgaszonym głosem.

Mogę ci wszystko wyjaśnić. To wcale nie było tak, jak tobie się wydaje.

- Oczywiście, że nie było - powiedział ostro, lekko się czerwieniąc. - Moje oczy zawsze mnie zwodzą. W gruncie rzeczy umysł też. Stałem wtedy na dole na chodniku, myśląc, że zaraz zejdziesz. Byłem przekonany, że chcesz iść na zakupy - jego oczy drwiły - ale okazało się, że mój umysł mnie zawodzi. Nie przychodziłaś, tak więc poszedłem zobaczyć, co cię zatrzymało. Drzwi do twojego apartamentu były uchylone, wszedłem więc do środka. I wtedy znowu moje oczy spletały mi figła. Mógłbym przysiąc, że zobaczyłem ciebie i Tiptona, jak miło sobie spędzacie czas tylko we dwoje.

- To nieprawda! - powiedziała Jill drżącym głosem. - Chciałam właśnie zejść na dół, żeby się z tobą spotkać, ale kiedy otworzyłam drzwi, zobaczyłam Paula i Harrisona. Przyszli ze mną porozmawiać. Nie miałam innego wyjścia, jak **wysłuchać** tego, co Harrison miał mi do powiedzenia. Jest przecież dyrektorem programu.

Jake słuchał jej w milczeniu, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Okazało się, że znowu moje oczy źle widziały - potrząsnął głową. - Nie udało mi się zobaczyć Harrisona.

Zrozpaczona Jill wykrzyknęła:

- On był tutaj! Wtedy właśnie wyszedł!

- No tak, to przecież stare sztuczki Harrisona ze znikaniem - skinął głową. - Już wszystko rozumiem. To było złudzenie - zaśmiał się nerwowo. - Ostatnio bardzo często mnie ogarniało. Po prostu złudzenie - przerwał, wciąż patrząc na nią - ale teraz już nie mam żadnych złudzeń, dr Danbury. Przejrzałem je wszystkie bardzo dokładnie.

- Jake, co ty mówisz? - Jill popatrzyła na niego błagalnie. - To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Wysłuchał jej z chłodną uprzejmością i uśmiechnął się krótko i ironicznie.

- To, co powiedziałem jest bardzo proste. Po Waszyngtonie nasze drogi się rozchodzą. Ty będziesz kontynuować swoje publiczne występy jako ulubienica Ameryki, a ja wrócę do Houston. Wśród całej ekipy panuje zgoda co do tego, że cała podróż potoczy się o wiele lepiej, jeżeli zostaniemy uwolnieni nawzajem od swojego towarzystwa.

Popatrzyła na niego z obawą.

- A co z naszymi planami? Co będzie, kiedy podróże się skończą? Powiedziałeś, że chcesz jechać ze mną do Wyoming. Zapomniałeś już o tym, Jake? - chciała wyciągnąć rękę i dotknąć go, ale jej coś podpowiadało, że nie powinna teraz tego robić.

Nie patrzył na nią, kiedy odpowiadał bezbarwnym, pozbawionym uczuć głosem.

Czy ty naprawdę myślisz, że pojedziesz do Wyoming, Jill? Czy nie wiesz nic o tym, co czeka cię w ciągu nadchodzących miesięcy? To nie będzie taka krótka podróż jak myślisz. Tipton przygotował dla ciebie plany na całe miesiące, nie wiesz o tym? Pojedziesz nawet za ocean. We wrześniu szykuje ci się podróż po Europie, która i tak nie obejmuje wszystkich szkół i uniwersytetów, które ciebie zapraszały - zrobił zdesperowany ruch ręką. - Ja sam nie wiedziałem o tym wszystkim aż do wczorajszej nocy. Uświadomiłem sobie także coś, czego do tej pory nie dopuszczałem do siebie, ale zrozumiałem to dziś rano. To, że zakochaliśmy się w sobie, Jill, nie wyszło nam obojgu na dobre. Wiedziałem to od samego początku, od tej nocy, kiedy pierwszy raz przyszedł do mojego domu. Wiedziałem przez cały czas, że jeśli pozwolę sobie zakochać się w tobie, to będę musiał stanąć któregoś dnia przed tobą i powiedzieć ci coś bardzo podobnego do tego, co mówię w tej chwili. Odbiliśmy razem daleką podróż, Jill, bardzo daleką podróż, ale dzisiejszego popołudnia nasze drogi się rozchodzą. Od teraz pójdziemy swoimi własnymi drogami.

Podniosła na niego załzawione oczy.

- Dobrze. Myślę, że powinnam ci podziękować za to, że zabrałeś mnie w tę podróż, prawda? - spytała miękko.

Uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Nie musisz dziękować. To była dla mnie przyjemność.

Jill?

- Tak. Co? - spytała, z trudem przełykając ślinę.

- Jeżeli nie będziemy mieli już okazji być sami, a najprawdopodobniej tak będzie, chciałem ci życzyć dużo szczęścia.

- Dziękuję ci, pułkowniku - odpowiedziała z trudem.

- Wydaje mi się, że szczęście towarzyszy mi wszędzie, gdzie się pojawię. Jednak zawsze wierzyłam w to, że to my sami stwarzamy sobie dobre lub złe sytuacje.

Popatrzył na nią przelotnie i otworzył drzwi.

- Do zobaczenia na paradzie.

Skinęła głową, patrząc jak wychodzi z pokoju. Wydawało się, że jego ramiona nie były już tak wyprostowane a krok tak energiczny jak zwykle.

Jill stała bez ruchu przez długi czas, patrząc na zamknięte drzwi. Na jej twarzy malowało się niedowierzenie i desperacja. Uczucia szalały w niej z taką siłą, jak nigdy dotąd.

Lojalność. Słowo to przyprawiało ją o drżenie. Nie chciała być nielojalna wobec programu, który umożliwiał jej spełnienie celu jej życia, jakim był lot w kosmos.

Zamknęła na chwilę oczy, potem odwróciła się powoli i zaczęła się ubierać. Lojalność - to było ciężkie słowo. Na każdym kroku mogła odczuć jego wagę, która ją przyniałała.

Parada była uwieńczeniem jej sukcesu. Stała przez dwie godziny odbierając pozdrowienia od setek tysięcy ludzi. Przez dwie wspaniałe długie godziny mogła siedzieć obok Jake'a, uśmiechać się i machać do tłumów. Wiedziała, że wspomnienia z tej parady pozostaną w jej pamięci na zawsze.

Upajała się zafascynowana widokiem olbrzymiego tłumu aż w końcu, tak jak wszystko inne, parada skończyła się i Jill znowu znalazła się w helikopterze lecącym nad miastem, tym razem w stronę lotniska.

W samolocie panowała wesoła atmosfera. Wszyscy śmieli się i rozmawiali. Wszyscy z wyjątkiem Jake'a Whitney'a,

który siedział samotnie, zamknięty w sobie, nie biorąc udziału w beztróskich rozmowach.

Zaraz po starcie steward przyniósł dzbanek świeżej kawy. Pierwszą filiżankę podał Jill, ale ona grzecznie odmówiła.

Zerknęła na Jake'a i zobaczyła, jak zamyka oczy i opiera głowę na oparciu fotela. Ogarnęło ją poczucie bezsilności. A więc to tak wygląda koniec. To tak kończy się coś tak wyjątkowego jak miłość. Przepęniało ją rozgoryczenie nie do wytrzymania. Do diabła z nimi wszystkimi, pomyślała. Poczowała ucisk w żołądku, kiedy odrzutowiec wspinał się powoli coraz wyżej, aby osiągnąć wysokość, na której w ciągu trzydziestu minut miał dolecieć do Waszyngtonu.

Jill nie знаła do tej pory takich uczuć jak te, które ją ogarniały. Zaczynała powoli przyzwyczajając się do życia nieco innego od zwykłego, ale nie sądziła, że będzie ono aż tak poplątane. Jak niezwykle proste było życie przed lotem, a jak strasznie pogmatwane jest teraz. Świat mówił jej: „Jesteś śmiałą kobietą, dr Danbury. Śmiałą i odważną. Pierwsza poleciałaś w kosmos. Jesteś bohaterką”. Jednak Jill nie czuła się ani śmiała ani odważna. Czuła się jak mała, zagubiona dziewczynka, zasypywana pochwałami, o których nie była pewna, czy na nie zasługuje.

Jake otworzył powoli oczy, popatrzył na nią, po czym westchnął i zamknął je znowu.

Paul siedzący kilka rzędów dalej, pomachał do Jill.

- Jill, czy masz chwilkę czasu? - wykrzyknął.

Podeszła bez słowa i spojrzała na niego pytająco.

- O co chodzi?

- Usiądź - wskazał miejsce koło siebie. Musimy porozmawiać na temat przyszłych planów.

Skinęła głową.

- Dobrze się składa, mam właśnie kilka swoich pomysłów, o których chciałam ci powiedzieć.

- Po paru dniach, które spędzisz w domu, zaczniemy...

- Nie po, paru dniach, Paul - przerwała mu - ale być może po paru miesiącach, a może nawet latach, jednak z pewnością nie po paru dniach.

- Nie zaczynaj znowu utrudniać - powiedział nosowym głosem - Po tygodniu, najwyżej po tygodniu.

- Paul - odparła spokojnie - zamierzam spędzić w domu tyle czasu, ile będę chciała, niezależnie od tego, czy pasuje to do tych twoich cholernych planów czy nie. Potrzebuję trochę czasu i będę go miała.

- Do cholery, Jill! - zaklął. - Dlaczego wybierasz zawsze najmniej odpowiednią chwilę na to, żeby robić trudności? Za dwadzieścia pięć minut będziesz podawać rękę prezydentowi Stanów Zjednoczonych. Czy nie wiesz - dlaczego?

Odwróciła głowę i popatrzyła na niego.

- Nie muszę o to pytać, ja wiem - dlaczego.

- Mogę ci powiedzieć, jak ja widzę całą tę sprawę - powiedział ponuro. - Wydaje mi się, że nie doceniasz tego, co ten program zrobił dla ciebie osobiście. Wiesz, że na twoim miejscu równie dobrze mogłaby być Gail czy ktokolwiek inny - wzruszył ramionami - a teraz, kiedy jest po wszystkim, masz zamiar odwrócić się od tych wszystkich, którzy cię kochają i opiekują się tobą.

Zastanawiała się przez chwilę nad tym, co powiedział, a kiedy w końcu odpowiedziała, jej głos był cichy.

- Doceniam to, jaką korzyść przyniósł mi ten program, naprawdę. Jednak sama z siebie dałam tyle samo, ile otrzymałam, Paul. Nie prosiłam o to, żebym była pierwsza, ale zostałam do tego wybrana z powodu moich zawodowych kwalifikacji. Ten program rzeczywiście dał mi szansę, abym urzeczywistniła marzenie mojego życia. To jest kluczowe słowo, Paul - życia. To ja ryzykowałam swoim życiem a nie ktoś inny. To było coś, na co sama się zdecydowałam. Zrozum teraz więc mnie - moje życie należy do mnie i ja o nim decyduję. Potrzebuję trochę czasu, aby zastanowić się nad tym, co mam robić dalej. Potrzebuję czasu, który mogłabym spędzić z dala od tego wszystkiego, a zwłaszcza z dala od tych, którzy mnie kochają i opiekują się mną. Już od dawna nie podejmowałam żadnych decyzji i wydaje mi się, że właśnie zaczęłam to robić. Jeżeli powiedziałam zbyt dużo, to przepraszam.

Paul wysunął szczękę.

- Wiesz co, Jill, mam takie paskudne uczucie, że któregoś dnia włączę telewizor o szóstej i zobaczę ciebie, jak podajesz prognozę pogody. Czy chcesz pozwolić, aby cały twój sukces i wszystkie potencjalne możliwości przepłynęły ci przez palce?

Oczy Jill na próżno szukały odrobiny zrozumienia. Po chwili wzruszyła ramionami.

- Być może uświadomiłam sobie, że ten sukces i otwierające się możliwości nie są jednoznaczne z moim szczęściem. I to jest właśnie to, z czym muszę się liczyć. Muszę to wziąć pod uwagę ze względu na samą siebie.

Spojrzał na nią chłodnym wzrokiem.

- A co pułkownik Whitney ma wspólnego z twoimi duchowymi poszukiwaniami, dr Danbury? Jaką rolę on odgrywa?

Uśmiechnęła się smutno i zerknęła do tyłu na Jake'a śpiącego kilka rzędów dalej.

- Pułkownik Whitney odszedł z mojego życia, Paul, ale nie powinno to być dla nikogo większą niespodzianką, zwłaszcza dla ciebie. Planowałeś to już od dawna.

Kilka sekund później Jill siedziała z powrotem na swoim krześle, patrząc na Paula i Harrisona, którzy nachyliwszy ku sobie głowy, rozmawiali ściszymi głosami. Jednak nie obchodziło jej to, o czym rozmawiają. Żadne słowa nie były w stanie zmienić decyzji, jaką podjęła.

Jakiś czas później stała w jednym z pokojów Białego Domu twarzą w twarz z najbardziej wpływowym człowiekiem na świecie - z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Był swobodny, przyjacielski, łatwo się z nim rozmawiało, szczerze się uśmiechał. Jill ogromnie spodobało się to spotkanie.

W pewnej chwili spytał Jill ostrożnym głosem:

- Jill, powiedz mi, czy mogliście widzieć Biały Dom z góry, kiedy leciałaś?

Uśmiechnęła się otwarcie do niego.

- Nie, nie mogliśmy, ale mogliśmy go czuć, nawet z tak wysoka.

Roześmiał się wesoło a w jego oczach zabłyśły iskierki. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia Jill.

- Jeżeli myślicie, że mogliście czuć presję polityczną nawet tak wysoko, to pewnie nie wiecie nic o tym, na czym tak naprawdę polega moja praca - trzymając jedną rękę na ramieniu Jake'a, spojrzął na Jill. - Powiedz mi Jill, tak dla zaspokojenia mojej ciekawości, czy gdybyś jeszcze raz miała dokonać wyboru, to czy zdecydowałabyś się jeszcze raz na ten lot?

Patrzyła na niego przez długi czas. Nadeszła chwila prawdy. Uśmiechnęła się lekko i skinęła głową.

- Tak, gdybym miała jeszcze raz wybierać, wybrałabym to samo.

Rozdział XIII

Minęło jeszcze dziesięć dni i uroczystości świętujące pomyślne ukończenie lotu dobiegły końca. Zamiast, zgodnie z poprzednim planem, wracać do Houston i potem lecieć do Colorado, Jill wsiadła do samolotu lecącego prosto do Denver. Nikt nie mógł jej rozpoznać, ponieważ miała wielkie słoneczne okulary i włosy ukryte pod skromnym kapeluszem.

Na lotnisku w Denver wypożyczyła samochód. Także tam jej nie rozpoznano - na formularzu wpisała imię Mary J. Danbury. Jak wspaniale było zachłystywać się wolnością, jadąc wypożyczonym samochodem przez kraj.

Już prawie zapomniała, jak piękne może być w Colorado latem. Drzewa po obu stronach szosy były pokryte soczystą zielenią, w oddali widniały majestatyczne szczyty gór. Patrzyła na to wszystko tak, jakby widziała pierwszy raz w życiu.

Pozostała przy swoich planach, mimo niezadowolenia Paula i Harrisona Taylora. Argumenty Harrisona były jednak inne niż Paula. Chciał tylko, żeby Jill najpierw wróciła do Houston i dopiero stamtąd jechała do domu. Jednak ona nie chciała ryzykować powrotu do Houston. Bała się, że może tam spotkać Jake'a. Minęło już dziesięć dni od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni w Waszyngtonie i od tej pory nie miała z nim żadnego kontaktu. To był jego wybór i chociaż Jill czuła się zraniona i tęskniła za nim, nie mogła pozwolić sobie na to, żeby wtrącać się w jego decyzje. Niepewność jego miłości była nie do zniesienia. Wydawało się, że jednocześnie kocha ją i nie kocha. Wyglądało to tak,

jakby miał niewidzialny kwiat, z którego codziennie odrywał płatki, mówiąc: „Dzisiaj cię kocham. Dzisiaj cię nie kocham”. Skoro sam tak naprawdę nie wiedział, czy ją kocha, jak ona mogła to wiedzieć. Och, Boże. Zaciśnęła mocniej palce na kierownicy. Gdyby tylko wiedziała, czego Jake chce, czego oczekuje od niej. Jednak wciąż tego nie wiedziała.

Dziesięć minut później pchnęła frontowe drzwi domu i usłyszała wesoly okrzyk Buda dochodzący z obory:

- Hej, mam, tato, Jill wróciła!

Po radosnych powitaniach, rodzina zaprosiła ją do domu, nie przestając zadawać tysięcy pytań. Jill rozplakała się tak bardzo z radości, że nie mogła odpowiedzieć na żadne z nich. Jednak w końcu opanowała łzy i wszyscy usiedli razem w salonie.

- Dlaczego nie zawiadomiłaś nas, że dzisiaj przyjedziesz, Jill? - spytał zaintrygowany ojciec. - Wyjechalibyśmy po ciebie.

Usiadł na brzegu krzesła i położył rękę na jej ramieniu.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, ale tak bardzo chciałam poprowadzić sama samochód. Mam nadzieję, że nie macie mi tego za złe.

Bud przyglądał się jej z nieukrywanym podziwem.

- Czy mogę jej powiedzieć? - mówiąc nieśmiało te słowa, spojrzał najpierw na matkę a potem na ojca.

Jill zobaczyła, jak zarówno matka i ojciec potrząsają energicznie głowami.

- Nie - odpowiedziała matka. - Ona ma na to jeszcze dużo czasu.

Jill wyprostowała się.

- O co chodzi? - dopytywała się, zwracając oczy na Buda.

Bud uśmiechnął się szeroko. Uniósł brwi i mrugnął do niej porozumiewawczo.

- Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć, siostrzyczko, ale nie ma w tym domu demokracji, odkąd wyjechałaś. Prze-

głosowują mnie za każdym razem. Nie ośmielam się buntować, bo za**amkną** mnie w oborze i każą karmić krowy.

Jill odchyliła się do tyłu na krześle i opuściła ręce w dół.

- No dobrze, ukrywajcie sobie przede mną, co chcecie
- roześmiała się serdecznie i spojrzała w górę. - Jeżeli o mnie chodzi, to wolałabym się buntować i karmić krowy.

- Hej, siostrzyczko - przerwał Bud entuzjastycznie.
- Jestem w chórze na uniwersytecie. Czy chcesz usłyszeć jeden z moich najlepszych numerów?

- Jeśli muszę - odpowiedziała żartobliwym tonem, patrząc na tajemnicze uśmiechy rodziców siedzących na sofie. Była już w domu prawie piętnaście minut i do tej pory nie padło jeszcze żadne pytanie na temat lotu i późniejszych uroczystości. A teraz Bud - nieśmiały, lękliwy Bud miał jej coś zaśpiewać. Widocznie napięcie, jakie przeżywała jej rodzina było większe niż Jill się spodziewała.

Bud wyprostował ramiona i odchrząknął dwa razy. Potem przyciągnął podbródek bardzo blisko szyi i zaśpiewał głośno i czysto:

Froggy poszedł się zalecać i jechał... jechał... ho, ho.
Potem wyprostował głowę i zaśpiewał jeszcze głośniej:
Froggy poszedł się zalecać
i jechał... jechał... ho, ho Froggy poszedł się zalecać
i jechał z pistoletem przy boku
ho, ho, ho

Przerwał dramatycznie, wywrócił oczami tak, jak to robił piosenkarz Eddie Cantor i zaśpiewał po raz ostatni:

ho, ho, ho

Jill spojrzała na matkę i uśmiechnęła się.

- Kiedy Bud zwariował?

Pani Danbury patrzyła na wyglupiającego się syna z nieukrywanym zadowoleniem. Śmiejąc się, odpowiedziała:

- Twój brat miał **zawsze** poczucie **humoru**. Przynajmniej zabawi cię trochę, kiedy ja pójde przygotować kanapki. Jesteś głodna, kochanie?

Jill skinęła głową i ucisnęła rękę ojca spoczywającą na jej ramieniu.

- Tak, umieram z głodu.

Zaraz potem wyszła z Budem na zewnątrz, aby zabrać bagaż z samochodu. Bud niosąc walizkę, spojrzał na nią przez ramię.

- Wiesz co, Jill. Przez ciebie musiałem się nieźle namęczyć z tym śpiewaniem.

- To trzeba było tego nie robić - poradziła serdecznie, kiedy mijali pokój gościnny. Drzwi do niego były uchylone a na podłodze obok łóżka stał bagaż.

- Kto mieszka w gościnnym pokoju? - spytała Jill zdziwiona.

- Och, to mój przyjaciel - odpowiedział Bud niepewnie.

- Nazywamy go Froggy.

- Jakie wspaniałe imię. Gdzie on jest? - zapytała śmiejąc się.

- Pojechał rano do miasta, ale powinien zaraz wrócić. Pojechał samochodem. Na pewno go polubisz.

- No tak, jak mówi stare powiedzenie - każdy twój przyjaciel jest także moim przyjacielem.

Bud zatrzymał się przed drzwiami do pokoju i uniósł brwi.

- Miło mi to słyszeć, Jill. Froggy obawia się nieco spotkania z tobą.

- Obawia się! Wielkie nieba, Bud, mam nadzieję, że powiedziałeś mu, że nie jestem potworem.

Bud uśmiechnął się, kładąc walizkę na jej łóżku.

- Postanowiłem pozwolić mu, żeby się sam przekonał - jego oczy błysnęły spod jasnej, potarganej grzywki.

- Opowiedz mi o swoim pilocie, Jill.

Oczy Jill nagle pociemniały.

- Wolalabym raczej nie opowiadać, Bud. Jestem w domu po to, żeby odpocząć i zapomnieć o tym. Być może opowiem ci kiedyś o nim, ale nie teraz.

Wzruszył ramionami z figlarnym uśmiechem na twarzy.

- Jak ci pasuje. W każdym razie słyszałem, że jest strasznym kobieciarzem.

- Bud, naprawdę wolałabym o tym nie rozmawiać - powiedziała cicho.

- W porządku - spojrzał na nią z dziwnym uśmiechem na ustach. - Nie siedź tutaj zbyt długo. Mama zaraz poda do stołu, a wiesz jak się denerwuje, kiedy jedzenie stygnie.

Jill roześmiała się znowu.

- No dobrze, idź już sobie.

Kiedy wyszedł, usiadła na łóżku i zdjęła buty. Przebrała się w dzinsy i czerwoną, bawełnianą koszulkę. Założyła tenisówki, po czym przeciągnęła się, uśmiechając się i myśląc, jak wspaniale jest znowu poczuć się wiejską dziewczyną.

Myślała trochę o przyjacielu Buda. Dziwny czas wybrała sobie jej rodzina na zapraszanie gości. Wiedzieli przecież, że ona ma przyjechać. Nagle roześmiała się, przypominając sobie jego imię Froggy. Szkolni koledzy często wymyślają sobie nawzajem takie dziwne imiona.

Poruszała się ostrożnie po pokoju, rozpakowując walizki, układając rzeczy w szafie i w szufladach. Nagle zaczęła nucić sobie pod nosem piosenkę Buda: „Froggy poszedł się zalecać”. Rozpakowywała rzeczy i nuciła.

Kiedy usłyszała na zewnątrz podjeżdżający samochód, pomyślała, że to Froggy wrócił z miasta. Jej usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Włożyła buty do szafy, wyprostowała się i uśmiech zaczął powoli znikać z jej twarzy. Ogarnęła ją mieszanina przedziwnych uczuć. Przypomniały się jej słowa Jake'a, które powiedział jej na plaży przed lotem: „Nigdy się do siebie nie zalecaliśmy, kochanie”. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi, niewidzącymi oczami. Poruszając bezgłośnie wargami powiedziała: „Froggy... poszedł się... zalecać”.

Wtedy jej wargi zamarły w niezwykłym zdumieniu. Froggy. Przecież to był Jake. Rzuciła się w kierunku drzwi. Tam przystanęła i zawahała się chwilę. Co będzie, jeśli się pomyliła i okaże się, że to naprawdę jest jakiś kolega Buda. Jednak nie pomyliła się.

Szybko wybiegła z pokoju i zeszła na dół, potrząsając głową oszołomiona. Dlaczego Jake miałby być tutaj? Dlaczego nie powiedzieli jej, że jest tutaj?

Pchnęła drzwi do kuchni, a tam przy stole siedział Bud, ojciec i Jake. Stała jak sparaliżowana, wytrzeszczając oczy.

Jake wstał powoli z krzesła, łyżeczkę, którą trzymał w ręku położył na stole i podszedł do Jill.

- Cześć, Jill - powiedział miękko. - Mimo wszystko zdecydowałem się przyjechać do Wyoming. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Stał zakłopotany kilka kroków od niej, trzymając ręce w kieszeniach.

Z trudem opanowała szalejące w niej uczucia. Co on sobie wyobraża? - pomyślała - że może wchodzić w jej życie i wychodzić, kiedy tylko chce!? Przyjechała do domu po to, aby uporządkować swoje życie w jakiś sensowny sposób, a teraz on stoi w jej kuchni jakby był jednym z domowników!

- Jak długo jesteś tutaj, Jake? - spytała w końcu.

- Od wczoraj - uniósł lekko brwi - ale byłem w kontakcie z twoją rodziną, od kiedy wróciłem z Houston. Miałem przemożne pragnienie spotkać się z nimi i kiedy usłyszałem, że nie wracasz do Houston przed powrotem do domu, przyleciałem tu wczoraj.

Skinęła głową.

- Rozumiem - rozejrzała się po kuchni i zobaczyła kilka par oczu wpatrzonych w nią nieruchomo. Wzięła głęboki oddech i nagle rysy jej twarzy złagodniały. - A więc, czy możemy jeść, skoro wszyscy już są?

Zobaczyła, jak Jake natychmiast odprężył się i całe napięcie wyparowało. Wziął ją za rękę, zaprowadził do stołu i przysunął krzesło.

Bud, siedzący naprzeciwko Jill, uśmiechnął się do niej z diabelskimi iskierkami w oczach. - Wiesz co, Jill, niektóre kobiety przebywają długą drogę, aby zdobyć mężczyznę, ale ty siostrzyczko, przebyłaś najdłuższą.

- Bud, wpadłeś już wcześniej w poważne kłopoty, śpijąc tę twoją piosenkę - ostrzegła go, żartując - i powinieś wiedzieć, że nieładnie jest mówić z pełnymi ustami.

Posiłek upłynął im wśród żartów i przy miłej rozmowie. Jill mogła się przekonać, że Jake zjednął sobie ich wszystkich swoim urokiem, ujmującą osobowością i magicznym spojrzeniem szaroniebieskich oczu.

Jill skończyła pić herbatę, wytarła powoli usta serwetką i położyła ją na brzegu talerza. Kiedy wszyscy skończyli już jeść i pić, zapytała:

- Pomóc ci przy zmywaniu, mamó?

- Nie, kochanie. Włóżę to wszystko do zmywarki - pani Danbury ogarnęła ich wszystkich wzrokiem. - No a teraz, kochani, wyjdźcie wszyscy z kuchni, mam pracę do wykonania.

Kilka minut później Jill i Jake spacerowali razem po podwórku. Jake spojrzał na nią pytająco.

- Nie cieszysz się z tego, że przyjechałem, prawda?
- spytał łagodnie.

Jill nie odpowiedziała. Zamiast tego przypomniała sobie dni, które właśnie minęły - mroczne dni, pełne łez i rozmyślań na temat ich związku, o którym wydawało się, że nie ma przed sobą możliwości do przyjęcia przyszłości.

- Czy powiesz mi? - spytał Jake znowu, zatykając kciuki za pasek od dżinsów.

- Dlaczego tu przyjechałeś?

Szli bardzo powoli przez trawnik miękkie jak zielony aksamit.

Wczesne popołudniowe słońce rozświetlało krajobraz wokół nich. Jill poczuła się trochę bezradna, kiedy Jake zastanawiał się nad pytaniem, które mu zadała.

- Masz wspaniałą rodzinę, Jill - powiedział w końcu.
- Przebywanie z nimi, nawet tylko przez dwa dni, pozwoliło mi zrozumieć, dlaczego jesteś taka, jaka jesteś.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Co przez to rozumiesz?

Jake stanął nieruchomo i zapatrzył się na wzgórze w oddali.

- No - przebiegł palcami po włosach - nie każda kobieta pragnie latać w kosmos - roześmiał się krótko - ale ty

zapagnęłaś i zrealizowałaś to. Chciałem po prostu poznać ludzi, którzy się do tego przyczynili - popatrzył nieruchomo do przodu - i tak, jak już powiedziałem, rozumiem cię teraz lepiej.

Popatrzyła na niego trochę zdesperowana.

- Jake, nie potrafisz zaakceptować faktu, że jestem astronautką, prawda? To o to chodzi. Nie możesz po prostu tego zaakceptować.

Podeszli w milczeniu do żelaznej furtki, która otwierała się na pastwisko. Jake oparł się o nią i powiedział w zamyśleniu:

- Akceptuję ten fakt, ale trudność polega na zaakceptowaniu faktu, że cię kocham, Jill. Naprawdę cię kocham i nie wiem, co zrobić z tą miłością.

Jill oparła się o ogrodzenie i patrzyła na stado na pastwisku, pasące się niemal nieruchomo. Czuła, jak uczucia powoli zamierają w niej.

- Co chcesz z tym zrobić, Jake?

Potrzebowała go bardzo. Potrzebowała go każdego dnia. Była nieszczęśliwa bez niego, a w chwilach takiej niepewności, jak teraz, była nieszczęśliwa będąc przy nim.

Uniósł głowę i spojrzał prosto w jej oczy.

- Chciałbym się z tobą ożenić, Jill - kiwał głową w górę i w dół. - To jest to, czego chcę - chcę cię poślubić.

Nastała długa cisza.

- Nie żartujesz, Jake?

W głębi jego oczu zabłysło dziwne światło.

- Przemyslałem to wszystko, rozważyłem wszystkie punkty widzenia. Wiem, że moje podróże w kosmos jeszcze się nie skończyły i być może twoje także nie. Nie wiem, jaki to będzie miało wpływ na naszą przyszłość. Wydaje się, że małżeństwo zbudowane w oparciu o to może być czymś niepewnym - wziął ją za rękę i poszli razem wzdłuż ogrodzenia.

Jill uśmiechnęła się.

- W życiu nic nie jest pewne, Jake, oprócz niepewności. Kiedy wyjechałeś z Waszyngtonu, resztę dni spędziłam

myśląc o tobie i sobie i o tym, jak bardzo pasujemy do siebie. Wiem, że się kochamy, ale wygląda to tak, jakbyśmy odpychali od siebie nasze szczęście. Wiem teraz, że chciała-bym dalej brać udział w programie. Czuję, że to jest moje miejsce, podobnie jak twoje. Dlaczego nasze kariery mają być wrogiem naszej miłości? To jest to, czego nie rozumiem. Kiedy powróciliśmy z misji - nawet już wtedy, gdy lecieliśmy w kierunku Ziemi - zaczęłam zastanawiać się nad tym, czy naprawdę mnie kochasz. Myślałam, że tak, a potem zdarzyło się coś, co spowodowało, że w to zwątpiłam. Nie byłeś już takim samym człowiekiem odkąd wróciliśmy.

Spojrzał na nią uśmiechając się. Promienie słońca rozjaśniły jego oczy.

- Ani ty, kochanie. Zachowywałaś się trochę dziwnie. Nie miałem pojęcia, co działo się w twojej głowie. Me wiedziałem, czy to spotkania z publicznością tak cię pochłonęły i zmieniły, odciągnęły zupełnie ode mnie. A skoro to było to, czego chciałaś, nie mogłem ci przeszkadzać. Mogłem tylko siedzieć z boku i patrzeć. Potem zaczęły się parady, przemówienia i przyjęcia, to, czego się tak bardzo obawiałem. Poczulem się bardzo oddzielony od ciebie - objął ją i czule przytulił do siebie. - Bałem się, że cię stracę, Jill. Kiedy misja dobiegła końca i wracaliśmy na Ziemię, zacząłem uświadamiać sobie, jak bardzo cię kocham i że mogę cię stracić. Możesz wierzyć w to lub nie, ale byli ludzie wśród ekipy naszego programu, którzy próbowali doprowadzić do tego, próbowali nas rozdzielić - nachylił się i pocałował ją.

Jill czuła, jak powoli wzrasta w niej napiętność do Jake'a. Dotknęła delikatnie jego policzka i powoli odsunęła rękę.

- Kocham cię, Jake - wyszeptała. - Trudno mi wyrazić, jak bardzo cię kocham.

Pocałował ją znowu lekko.

- Czy chcesz wyjść za mnie? - spytał, dotykając jej ust swoimi.

Skinęła głową.

- Tak... chcę.

- I chcesz razem ze mną wychowywać gromadkę małych astronautów?

Roześmiała się wesoło.

- Myślę, że tak, przynajmniej jedno lub dwoje - wzruszyła ramionami - a może troje.

- A co zamierzasz im powiedzieć, kiedy będę gdzieś wysoko nad ziemią i zapytają się, gdzie jest ich tatuś? - spojrzał w górę na błękitne niebo.

- Powiem im, że tatuś jest w pracy.

Objął ją mocno, podniósł z ziemi i podrzucił do góry. Potem postawił ją z powrotem na nogach i długo i czule całował.

- Hej! - zawołał ktoś głośno z ganku.

Odwrócili się oboje i zobaczyli Buda machającego do nich.

- Tylko nie wchodźcie do stodoły - krzyknął do nich.

Jake zrobił taki ruch ręką, jakby mówił mu, żeby sobie poszedł.

- Jak myślisz, co z niego wyrośnie? - spytał Jake odwracając się do Jill.

Odpowiedziała z figlarnym uśmiechem:

- Figlarz. Taki był do tej pory przez całe swoje życie. Jake nagle spowaźniał, uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Jill, zróbmy małe wesele, tylko dla rodziny.

- Dobrze - westchnęła.

Nagle Jake roześmiał się znowu.

- Wyobrażasz sobie, co będą mogły mówić nasze wnuki? „Moja babcia była astronautką”. Wyobrażasz to sobie? Jak wiele dzieci jest w stanie powiedzieć coś takiego?

Jill uniosła brwi.

- Tak naprawdę nie myślałam jeszcze o wnukach. Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz. Czy najpierw nie powinniśmy pomyśleć o weselu?

- Wszystkie moje dokumenty mam ze sobą - poklepał ręką po kieszeni spodni. - Byłem dzisiaj rano w Denver i załatwiłem parę spraw - uśmiechnął się szeroko. - Wszystko odbędzie się bardzo dyskretnie.

- Byłeś bardzo pewny siebie, prawda?

Wzruszył ramionami.

- Człowiek mojej profesji musi być pewny siebie. Nie ma miejsca na omyłki.

Wziął ją w ramiona, pocałował w oba policzki a potem czule w usta.

- Byłoby błędem - wyszeptał jej do ucha - gdybym pozwolił ci odlecieć z mojego życia. To byłaby pomyłka.

Rozdział XIV

Przed schodami kościoła w Denver zgromadził się wielki tłum. W drzwiach pojawiła się Jill, ubrana w śliczną, białą, lnianą suknię i odpowiedni do tego kapelusz. Nie odrywała niebieskich oczu od swojego męża, którym był od pięciu minut Jake, wyglądający niezwykle przystojnie w mundurze. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, Jill uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jestem taka zadowolona, że udało ci się załatwić to wszystko tak dyskretnie, kochanie.

- Mam tylko nadzieję, że oni wszyscy nie pojedą za nami do Wyoming. Nie uda im się znaleźć kryjówki wujka Richarda, prawda? - spytał Jake z obawą.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Bud zgodził się ich jakoś zatrzymać, kiedy pojedziemy z powrotem na ranczo, aby zabrać nasze rzeczy. Ojciec zna boczną drogę prowadzącą do autostrady, więc mam nadzieję, że za godzinę będziemy już w drodze.

W końcu dopiero po czterech godzinach znaleźli się w drodze. Jechali sami autostradą w stronę gór, w kierunku drogi do Wyoming. Jej krewni wyjechali, zostawiając tam dla nich pusty dom.

Jill siedziała, obserwując uważnie Jake'a prowadzącego samochód. Kochała go namiętnie w każdej mijającej sekundzie. Mieli spędzić razem miesiąc. Całe trzydzieści dni tylko we dwoje. Przez chwilę Jill zagłębiła się we wspomnieniach. Przypomniała sobie moment startu wahadłowca „Wenus”, kiedy oboje opuścili Ziemię, pozostawili cały świat za sobą. Teraz znowu będą sami.

- Wiesz co? - Jake rzucił krótkie spojrzenie na Jill.

- Co? - wymruczała.

Wziął głęboki oddech.

- Pomyślałem, że mógłbym zapuścić brodę. Nie goliłbym się przez trzydzieści dni. Co o tym myślisz?

- Myślę o tym tyle, ile o naszych wnuczkach - czyli niewiele, ale jeśli chcesz, to zrób to.

- Nie lubisz mężczyzn z brodą?

- Nie wiem. Nigdy nie pałałam namiętnością do żadnego zarosniętego Adama, tak że trudno mi powiedzieć.

- Czy chciałabyś mnie wtedy całować?

- Kochanie, chciałabym cię całować nawet wtedy, gdybyś wyhodował sobie pióra na twarzy. Tak, chciałabym cię całować.

- A teraz? Czy chcesz mnie teraz pocałować?

- Teraz prowadzisz samochód, a ja nie chciałabym dojechać do Wyoming w kawałkach.

- Mogę przysunąć się do ciebie.

- Nie, kochanie, nie możesz się przysunąć, tutaj nie ma miejsca.

Jake dotknął palcem prawej strony swojej twarzy.

- Pocałuj mnie tutaj. To jest bezpieczne miejsce.

Jill nachyliła się powoli w jego stronę i pocałowała go delikatnie w policzek, dokładnie w to miejsce, które wskazał.

Jake roześmiał się.

- Kłamałem. To nie było bezpieczne miejsce. Zrób coś szybko, zanim zatrzymam się przy zboczu tej góry.

Jill odsunęła się jak najdalej od niego i oparła się o drzwi.

- Dobrze, Jake, mam zamiar porozmawiać teraz z tobą o pogodzie - powiedziała miękko.

- Dobrze - powiedział, wypuszczając z ulgą powietrze.

- To coś, o czym nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy na osobności. Zaczynaj, chętnie posłucham.

Patrząc prosto w okno, Jill roześmiała się.

- Fala gorącego powietrza w samochodzie. Zbliży się jednak ulga dla tych, którzy cierpią na ostre załamanie

nerwowe. Jeszcze tylko dwieście mil. Radzimy więc nie zatrzymywać się.

Jake skrzywił się.

- Och, może porozmawiamy o czymś innym, pogoda jest zbyt załamująca.

Jill roześmiała się. Czowała się taka wolna i odprężona. Spojrzała na swoją ślubną obrączkę na palcu. Był na niej szafir otoczony maleńkimi diamentkami.

- Bardzo mi się podoba ta obrączka - wyszeptwała. - Jest taka piękna.

- A ja kocham palec, na który jest założona, rękę, do której należy ten palec, ramię, do którego należy ręka i ciało, do którego należy ramię. Krótko mówiąc, kocham kobietę, która nosi tę obrączkę - jego słowa były niezwykle czułe.

Nastąpiła chwila ciszy. Wydawało się, jakby samochód znieruchomiał i cały świat zamarł. Patrząc na regularny profil Jake'a, Jill myślała o tym, że jest on jedynym mężczyzną, którego kocha i z pewnością jedynym, którego kiedykolwiek kochała. Czowała się tak bardzo częścią jego, że aż przyprawiało ją to o drżenie.

Rzucił na nią krótkie spojrzenie i powiedział miękko, ale poważnie:

- Wiesz, bardzo przeraża mnie to, kiedy pomyślę, jak bliscy byliśmy tego, żeby się nawzajem utracić.

- Wiem - zgodziła się - ale tak się nie stało, Jake. Nie straciliśmy się nawzajem i to jest ważne.

- Jednak naprawdę wtedy myślałem, że tak się stało. Byłem pewny, że już nie będziemy razem.

- Ja tak samo. Prawdę mówiąc, to pojechałam do domu, aby spróbować o tobie zapomnieć. Moim głównym celem było zapomnieć o tobie. Nie wiedziałam tylko, czy potrafię.

- Bardzo się cieszę, że twoja rodzina zaprosiła mnie tutaj. Oni są naprawdę bardzo spostrzegawczymi ludźmi, Jill. Już nawet wtedy, gdy rozmawiali z tobą przez telefon, wiedzieli, że coś jest nie tak, że nie jesteś tak szczęśliwa jak powinnaś. Rozmawiali ze mną kilka razy i zaczęli się

domyślać, o co chodzi. Wiedzieli, gdzie leży problem. A twój brat jest wspaniałym facetem. Pierwszy zorientował się w tym, co się dzieje. Może rzeczywiście jest trochę roztrzepany, ale jest także bardzo bystry.

Jill uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że lubisz nas na tyle, aby związać się z nami.

Skinął głową.

- Pojedziemy za kilka miesięcy do Kaliforni, żebyś poznała mojego brata i siostrę.

- Z przyjemnością tam pojedę.

- Wiesz, wydaje mi się, jakbym przez całe życie szukał szczęścia gdzieś daleko poza granicami świata, a kiedy w końcu je znalazłem, okazało się, że jest tutaj, bardzo blisko. Tutaj na Ziemi.

Było już bardzo ciemno, kiedy w końcu dotarli na miejsce przeznaczenia. Ostatnie promienie letniego słońca zgasły już dawno. Kiedy zatrzymali samochód przed chatą, stojącą w lesie w odosobnieniu, Jake zostawił włączone światła. Oświetlały one dom zbudowany z okrągłaków i kamieni, którego krańce rozplywały się w ciemności.

- Podoba mi się - powiedział Jake. - Bardzo mi się podoba. Wydaje mi się, jakbyśmy byli Adamem i Ewą.

- Jesteśmy na pełnym pustkowiu - roześmiała się Jill.

- Mówiłam ci, że tak będzie.

- To jest raj. Popatrz na kwiaty. Boże, tutaj jest tysiące kwiatów - Jake otworzył okno i wziął głęboki oddech.

- A jak pachną! Powietrze pachnie jak perfumy. Jill, tutaj jest | wspaniale.

- Cieszę się, że ci się podoba - roześmiała się - ale **1**
powiedz mi, czy masz w ogóle zamiar wysiąść z samochodu?

Popatrzył na nią krótko.

- Tak. Z pewnością musimy wysiąść z samochodu i nie **1**
tylko to, musimy też rozładować bagażnik, wyjąć jedzenie i przygotować obiad. Mamy tyle dni dla siebie - to cudowne

- Jake otworzył drzwi i wysiadł z samochodu. - Czy masz klucze?

- Są tutaj.

Jill sięgnęła do torebki i podała mu klucze.

- Zaraz wrócę.

Uśmiechnęła się, patrząc jak biegnie do drzwi frontowych i otwiera je. Potem wrócił do samochodu i pomógł jej wysiąść.

Jill wygładziła sukienkę i podeszli razem do drzwi wejściowych, przy których Jake wziął ją na rękę i przeniósł przez próg.

Kiedy znaleźli się w środku, Jake wciąż trzymał ją na rękach. Zwróciła twarz w jego stronę.

Pocałował ją.

- Kocham cię, dr Danbury-Whitney. Kocham cię, a miejsce, do którego mnie przywiozłaś, jest rajem -uśmiechnęła się, ponownie zbliżając swoje usta do jej ust.

Jill przylgnęła do niego i z wielką namiętnością odwzajemniała jego pocałunki.

W pewnej chwili odchylił lekko głowę i spojrzał jej w twarz.

- Jesteś piękna.

Na jego ustach pojawił się uśmiech, a w oczach zabłysła radość.

- Myślałam - powiedziała Jill, zwilżając usta - że mamy zamiar rozładować samochód, przynieść jedzenie i przygotować obiad. Myślałam, że mamy jeszcze tyle dni przed sobą.

- Nic takiego nie powiedziałem.

- Właśnie, że powiedziałeś.

- To w takim razie kłamałem. Miałem na myśli to, że mamy wiele dni na to, żeby rozpakować samochód i zrobić jedzenie.

- Och! -roześmiała się rozkosznie. - T o miałaś na myśli. A ja myślałam, że chcesz mi znowu pokazać, jak silną masz wolę, tak jak wtedy na plaży na Florydzie.

Jake pocałował ją, rozchylając jej wargi. Pożądanie ogarnęło ich oboje z równą siłą. Nagle postawił ją na nogi i lekko musnął wargami jej usta.

- Czy mogłabyś mnie oprowadzić po tym wspaniałym domu, kochanie? Zaczynając od sypialni.

Jego ciepły oddech upajał ją całkowicie.

- Oczywiście - powiedziała, biorąc go za rękę i prowadząc do sypialni, do której przez wielkie okno wpadało światło z rozgwieźdzonego nieba. - To jest nasza sypialnia - popatrzyła na niego figlarnym wzrokiem - a to jest nasza podłoga, to są nasze ściany, a tam jest nasze łóżko.

Pochylił się do przodu i powiedział głosem ochryplym od pożądania:

- To wszystko jest piękne, ale największe wrażenie wywarło na mnie łóżko. Jest wystarczająco szerokie ... ale raczej puste, nie sądzisz? - powiedział, prowadząc ją w stronę łóżka.

Usiadła na łóżku i patrzyła, jak Jake rozbiera się, zrećnie ściągając ubranie i rzucając je na miękkie, pluszowe dywan. Siedziała jak zahipnotyzowana, zafascynowana widokiem jego pięknego ciała. Tak naprawdę dopiero po raz pierwszy mogła się dokładnie przyjrzeć jego nagiemu ciału i była oszołomiona jego doskonałością. Miał potężne ramiona, wąskie biodra a mięśnie nóg niezwykle proporcjonalne. Patrzyła nawet na jego kolana i stopy. Czowała, że kocha nawet jego palce u nóg, kocha nawet te śmieszne, małe kępki włosów, które je porastały. Wstała powoli z łóżka i zaczęła odpinać sukienkę, która po chwili także leżała zwinięta na dywanie. Wyciągnęła ręce i dotknęła delikatnie Jake'a.

Chwycił ją w ramiona i przytulił blisko do siebie.

- Kocham cię, Jill wyszeptał czułym, niemal bliskim łez głosem prosto w jej włosy. - Kocham cię tak bardzo już od dawna. - Tak, och, tak, wiem - odwróciła lekko głowę i pocałowała go w szyję. - Możesz mi wierzyć lub nie, mój kochany mężu, ale ja kocham cię tak samo długo.

Przyciągnął ją bliżej, uniósł dłonią jej podbródek i patrząc w jej oczy, powiedział łagodnie:

- Posłuchaj mnie uważnie, Jill. Może me jestem najlepszym mężem na świecie, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby spróbować nim być. Kocham cię i zawsze będę cię kochał i zrobię dla ciebie wszystko, co tylko będę mógł. A kiedy będziemy musieli być przez jakiś czas oddzielnie, będę próbował to zrozumieć i będę strasznie tęsknił za tobą, gdy ciebie nie będzie - przełknął ślinę - Chciałbym, abyś ty też za mną tęskniła, kiedy ja akurat wyjadę. Kiedy będziemy razem, chciałbym czuć się dokładnie tak jak w tej chwili.

Łzy spływały jej po policzkach, a usta drżały ze wzruszenia.

- Kochanie, nie mówmy o rozłące. Nie myślmy o tym, przynajmniej teraz. Pomyślmy o tym, kiedy przyjdzie czas. Nie chcę być smutna, w każdym razie nie w ciągu tych wspaniałych, cennych dni, które spędzimy tutaj razem.

Jake uśmiechając się, pochylił się do przodu i zaczął całować jej łzy, najpierw na prawym policzku, później na lewym. Potem przestał i dotknął jej ust językiem.

- Wiesz, Jill, bzy smakują dokładnie tak samo jak ocean. Zupełnie jak ocean. Jill uśmiechnęła się. Jej twarz promieniowała miłością.

- Możliwe, całkiem możliwe - powiedziała, wolno cedząc słowa - że z nich właśnie składa się ocean. Biliony łez zebrały się od początku świata i stworzyły ocean. Teraz pieniać się, uderzają o brzegi i mówią: „Nie płacz już więcej, bądź szczęśliwy... żyj... kochaj... nie płacz już”.

Pochylił się i pocałował ją znowu.

- A co z przestrzenią? - wyszeptał. - Skąd ona się wzięła? Dlaczego istnieje?

Oczy Jill błyszczały w półmroku.

- Gwiazdy musiały mieć miejsce do tańca, a my musieliśmy mieć miejsce, w którym moglibyśmy się spotkać, czy nie tak?

Dotknęła ustami jego warg, po czym odchyliła głowę i spojrzała na niego.

Wyciągnął ręce i rozplótł jej włosy, pozwalając im spadać swobodnie na jej nagie ramiona. Potem jego palce powędrowały w dół do jej piersi, dotykały ich i pieściły, przyprowadzając ją niemal o szpizmy. Powiedziała w końcu:

- Jake, bądź miły.

Uśmiechnął się spokojnie.

- Nigdy ci tego nie obiecywałem, prawda?

- Czego?

- Tego, że będę miły - roześmiał się. - Obiecywałem, że będę cię kochał i opiekował się tobą zawsze, dopóki śmierć nas nie rozdzieli - mlasnął językiem o podniebienie - ale nigdy nie obiecywałem, że będę miły i ksiądz wcale nie pytał mnie o to, czy będę, prawda?

- A czy musiał?

Jake kiwnął głową, uśmiechając się złowieszczo.

- Powinien.

Spojrzała na jego łagodną, przystojną twarz.

- Nie wydaje mi się - powiedziała stanowczo, śmiejąc się.

- No dobrze, mój mały, złoty motylku, wśród wszystkich ludzi w tym pokoju jesteś jedyną osobą, która powinna się o to zapytać - z tymi słowami na ustach, podniósł ją do góry i rzucił na łóżko. Przygniótł ją swoim ciałem, nogami dotykając jej nóg rozkładając szeroko jej ramiona.

Jill rzucała głową z boku na bok, usiłując oswobodzić usta.

- Przemocą nic nie działasz, mój panie - wybuchnęła śmiechem, przekręcając głowę w stronę poduszki tak, że jej śmiech i słowa były stłumione. - To jest twoja ostatnia szansa, żebyś się zmienił i był miły.

Jego usta wpiły się w tył jej szyi, potem dosięgnęły ucha i zagłębiły się w jej miękkich włosach. Całował jej uszy, sięgając językiem do środka. Czowała jego ciepły oddech. W końcu jęknęła niewyraźnie, uchylając głowę, czując nagłą falę podniecenia. Jego usta były tuż przy jej uchu, a ręce krążyły po jej ciele w górę i w dół.

- Nie zachowujesz się jak trzeba - powiedziała ochryplym głosem.

- Wiem - roześmiał się. - Jestem łobuzem. Zapamiętaj sobie to na przyszłość - mówiąc te słowa, puścił ją, położył się obok i przerzucił przez nią jedno ramię - ale ja także mam swoją dumę. Nigdy nie będę kimś, kto wykorzystuje słabszą płęć - mrugnął do niej, leżąc z szeroko rozrzuconymi nogami.

Naraz Jill skoczyła na niego i usiadła na nim okrakiem opierając biodra na jego biodrach. Ramionami zakryła swoje nagie piersi.

- No i co, kto jest słabszy?

Jake zaśmiał się.

- Nie wiem, ale za to wiem, kto jest sprytniejszy.

To jej nie wystarczyło.

- No powiedz, kto? - dopytywała się.

Na jego twarzy pojawił się wyraz lekkiej ironii i zadowolenia.

- No, dobrze - ty, moja droga. Przecież widzisz, że teraz muszę cię błagać o litość.

Przygryzła koniuszek języka, dostrzegając lekką ironię na jego obliczu. Uniosła w górę jedną powiekę. Obserwowała go, jego twarz, włosy, szyję, mocną pierś, płaskie, ciemne sutki widoczne między wijącymi się, czarnymi włosami, które zarastały nawet jego płaski brzuch aż do pępka. Wydawał się być taki mocny i taki delikatny, taki porywczy i zarazem bezwolny. Jego ciało było piękne i, gdy siedziała na nim wygodnie, poczuła w sobie narastające pożądanie, któremu chciała dać upust. Powoli nachyliła głowę i zanurzyła twarz we włosach na jego opalonej piersi. Pieściła językiem jego sutki i obserwowała oniemiała jak podnoszą się i twardnieją.

Jego oczy śmiały się.

- Kochana - wyszeptał - najdroższa Jill, chciałbym dotykać i całować każdy centymetr twojego ciała.

Uniosła głowę i spojrzała na niego zagadkowo. Rumieniec oblał jej twarz.

- Jake - szepnęła nieśmiało.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Kocham cię, Jill, kocham twoją niewinność. Zdobyłaś sobie sławę i mimo tego jesteś wciąż w pewnym stopniu naiwną, małą dziewczynką. I to właśnie mi się podoba. Kocham cię dokładnie taką, jaka jesteś.

Objął ją mocno i położył na plecach. Jego usta wędrowały powoli od jej stóp aż ku długim, szczupłym udom. Poczowała w sobie ogień. Zaczęła się więc, gdy jego usta dotykały ją delikatnie. W końcu cała wygięła się spazmatycznie i jęczała głośno:

- Jake, Jake.

Nie mogła już dłużej opierać się swoim namiętnościom i zaczęła wzdychać, czując się wypełniona. Trwali w połączeniu, a zewnętrzny świat przestał dla nich istnieć.

Księżyc odpłynął, zbladły gwiazdy i przez szpary żaluzji do sypialni przedostawały się pierwsze promienie poranka. Ich głowy spoczywały na tej samej poduszce.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteś moja.

To były jego ostatnie słowa, zanim zmorzył go sen.

- Jestem twoja, Jake i zawsze byłam - odpowiedziała, bawiąc się włosami koło jego uszu i patrząc jak zasypia. W owej chwili zdała sobie sprawę z tego, że istotnie zawsze należała do niego i należeć będzie na zawsze.

Wpatrywała się z uśmiechem w swojego śpiącego kochanka, aż wreszcie wyczerpana zasnęła również.

Dni spędzone w samotnej chacie na pustkowiu Wyoming były czymś najcudowniejszym w ich życiu. Łowili ryby w czystych strumieniach, spacerowali po lesie, zrywali dzikie kwiaty, a kolacje przygotowywali sobie pod gołym niebem, piekąc mięso na rożnie. Jill chciała, żeby to trwało wiecznie, niestety ich miesiąc miodowy dobiegał końca. Zawsze kiedy się pieścili, odkrywali się nawzajem na nowo jak za pierwszym razem. Jake rozpalał ją swoimi delikatnymi palcami.

Zawsze kiedy się kochali, ich dusze stapiały się w jedność, wspinali się na nowe wyżyny rozkoszy, a ich pożądanie wydawało się nieskończone jak niebo nad nimi.

Jill uświadomiła sobie, że przede wszystkim jest kobietą i że wszystko inne ma mniejsze znaczenie. Była kobietą, która obdarzyła namiętnością ukochanego mężczyznę. Dzielili się szczęśliwymi uśmiechami, ofiarowywali sobie rozkosz i ekstazę. Byli wolni... przynajmniej w Wyoming.

W końcu nadeszła ostatnia noc. Jill leżała w jego ramionach i patrzyła mu w oczy. Na jej twarzy pojawił się dziwny smutny uśmiech zadowolenia.

- To były najpiękniejsze dni mojego życia - powiedziała i westchnęła. - Jestem zrozpaczona, że dobiegają końca.

- Wiem.

Dotykał podbródkiem jej włosów.

- Gdybyśmy mieli więcej dni do swojej dyspozycji, to myślę, że zostalibyśmy tu na zawsze i zamienili się w dwójkę zakochanych pustelników - powiedział czule. - Jednak jestem optymistą, myślę, że nieważne gdzie będziemy, ważne jest to, że będziemy razem.

Oparła głowę na jego piersi i przez otwarte okno obserwowała tysiące gwiazd świecących na niebie.

- Podobało mi się to, co powiedziałeś mi tamtej nocy w moim mieszkaniu, to że cokolwiek przyjdzie jutro, to dziś byliśmy szczęśliwi, mieliśmy tak wiele szczęścia. To się nigdy nie skończy, prawda? - spytała z zadumą.

- Nigdy - odparł. - Nasze szczęście dopiero się zaczęło - pogładził czule jej policzek.

- Tak - rzekła, a w jej głosie zabrzmiała nuta pewności.

Leżeli razem bardzo spokojnie, nic nie mówiąc, wpatrując się tylko przez otwarte okno w błyszczące cudownym blaskiem gwiazdy, które rozświetlały ich przeszłość... teraźniejszość... i przyszłość.

Mieliśmy tak wiele szczęścia, pomyślała Jill i zamknęła oczy.